



Richard Hey, ur. w 1926 r., pisarz z RFN, zdobył wielką sławę wśród czytelników literatury sensacyjnej i miano „odnowiciela gatunku”. Bohaterką „Fabrykanta aniołków i spółki”, powieści kryminalnej o mocnych akcentach krytyki społecznej, jest inspektor policji zachodniobermberskiej Katarzyna Ledermacher, rozwiązująca zagadkę zamordowania młodej dziewczyny, a zarazem zmaga-jąca się z problemami, jakich przysparza jej dojrzewająca córka.

Richard  
**Hey**  
**fabrykant  
aniołków  
i spółka**

CZYTELNIK



Richard

Hey

fabrykant aniołków i spółka

*przełożyła*  
*Irena Naganowska*

Czytelnik Warszawa 1979

Tytuł oryginału niemieckiego Engelmacher und co

© C. Bertelsmann Verlag München 1975

Okładkę i kartę tytułową projektował

ZBIGNIEW CZARNECKI

O Copyright for the Polish edition

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,

Warszawa 1979

ISBN 83-07-00014-9

„Czytelnik”. Warszawa 1979.

Wydanie I.

Nakład 120320 egz. Ark, wyd. 9,6; ark, druk. 13.

Papier offsetowy ki. VII, 60 g, 93 cm.

Oddano do składania 5 IV 1979 r.

Podpisano do druku 23 VIII 1979 r.

Druk ukończono w październiku 1979 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

w Warszawie

Zam. wyd. 662; druk. 2352/K. C-47

Cena zł 35 -

Printed in Poland

## 1.

W pięć godzin po znalezieniu w piwnicy zdewastowanej willi nad Wannsee zwłok dziewczyny Katarzyna Ledermacher rozpoczęła urlop.

Było pół do siódmej rano, na dworze panował jeszcze mrok, łagodny poranek w końcu lutego. W hali dworca lotniczego Tempelhof pierwsi pasażerowie czekali przed okienkami. Katarzyna z zadowoleniem przyglądała się, jak ważą jej bagaż, po czym wymachując torebką przeszła do kontroli paszportów.

Drżała z zimna. Była przemęczona i nie wydobrała jeszcze zupełnie po ciężkiej grypie jelitowej. Chociaż w hali było ciepło, podniosła kołnierz wytartego brązowego płaszcza z jagnięcej skóry. - Przecież nie będzie ci tam potrzebny - mruknął jeszcze nagi, zaspany Robert, gdy na dole rozległ się krótki klakson taksówki. A Katinka, za-grzebana w prześcieradła i poduszki, niechętnie otworzyła jedno oko, gdy Katarzyna weszła do jej pokoju i pochyliła się, by ją ucałować na pożegnanie. - Pa, mamó - powiedziała Katinka, zamykając z powrotem oko. - Zgaś tylko światło w przedpokoju.

Katarzyna gmerała właśnie w torebce, szukając paszportu, gdy usłyszała za sobą basowy głos:

- Pani Ledermacher!

Odwróciła się lekko.

Przez halę biegł ku niej Gerfried. Starał się przy tym rozjaśnić ponury wyraz swojej pomarszczonej twarzy i przytłumić donośny głos.

- Dobrze, że jeszcze panią złapałem.

Gerfried i Katarzyna pożegnali się trzy godziny temu przy zdemolowanej bramie ogrodowej willi nad Wannsee, gdy wynoszono już zwłoki dziewczyny na ulicę, kolega od zabezpieczania śladów sortował swoje plastikowe woreczki

i folię w świetle reflektorów samochodu policyjnego, a fotograf, mrukliwy jak zawsze, rzucił kamerę na tylne siedzenie swego wozu. Gerfried spojrział na księżyc do połowy zasłonięty powoli sunącymi chmurami i życzył jej przyjemnego urlopu.

- Gerfried. - Katarzyna starała się uśmiechnąć, ale spostrzegła, że jej się to nie udaje. - Jeżeli przysłał pana szef, proszę mu powiedzieć...

Wydatne jabłko Adama pod kołnierzem jasnego, jedwabistego golfu Gerfrieda poruszało się w górę i w dół.

- Torebka - szepnął.

W torebce tamtej dziewczyny poza kosmetycznymi drobiazgami i notesikiem z wieloma adresami znaleziono starannie zasnurowaną paczuszkę, owiniętą w papier z napisem: REINHARD - Zabawki. Bazylea.

- Tam był granat ręczny - szepnął Gerfried tak wyraźnie, że kilka osób obejrzało się. - Starszy typ, brytyjski - dodał trochę ciszej, ale znacząco, jak gdyby brytyjskie granaty ręczne starszego typu były szczególnie niebezpieczną bronią wybuchową.

- Niech pan to omówi z Doris i Zoblem - powiedziała Katarzyna i podała paszport urzędnikowi, który nieufnie spoglądał na Gerfrieda. Urzędnik zaczął natychmiast wertować księgę poszukiwanych.

- Ale szef - szepnął znowu głośno Gerfried - szef prosi panią, żeby przez wzgląd na tę okoliczność...

- Proszę go pozdrowić - odparła Katarzyna, chwyciła paszport i ruszyła w stronę kabiny, gdzie sprawdza się, czy pasażerowie nie mają przy sobie broni. Po trzech krokach odwróciła się nagle. Zobaczyła to, czego oczekiwała: na twarzy Gerfrieda malowała się ulga. Jej odmowa zrezygnowania z urlopu z powodu brytyjskiego granatu starszego typu oznaczała, że kierownik wydziału przekaże sprawę do wyjaśnienia Gerfriedowi. Skinęła głową. Lubiła go, pomimo staromodnego, usłużnego sposobu bycia i

powtarzania od czasu do czasu uwagi, iż z zasady nie uznaje kobiet jako zwierzchników mężczyzn.

- Na pewno rozwikła pan tę sprawę z torebką, Gerfried - powiedziała.

Dwadzieścia minut później zobaczyła z góry światła wieży radiostacji zachodniobерlińskiej i wieży telewizyjnej przy placu Aleksandra. A półtorej godziny później, w Dusseldorfie, biegła do okienka biletowego charterowej maszyny, zdecydowana w żadnym wypadku nie zważać na ewentualnie nadawane przez głośnik komunikaty, wzywające panią Ledermacher z Berlina Zachodniego w pilnej sprawie do telefonu. Żadnego komunikatu jednak nie nadano. Blondynka za ladą, wydająca karty pokładowe, powiedziała tylko, nie podnosząc wzroku:

- Pani jest z Berlina Zachodniego, czy pani wie, że tam właśnie uprowadzono jakiegoś polityka? - Jakiego, nie wiedziała.

Katarzyna, trzęsąc się z wyczerpania, dobiegła ostatnia do wypełnionego po brzegi samolotu, z dezaprobatą obserwowana przez stu osiemdziesięciu pasażerów, i możliwie najskromniej usiadła na wskazanym miejscu obok masywnej pary małżeńskiej.

Bezpośrednio po starcie małżeństwo zaczęło się nawzajem karmić keksami. Wkrótce owionęły Katarzynę kłęby dymu z papierosów sąsiadów. Przyjemnie ogłuszona hukiem motoru i wesołym gwarem dookoła, Katarzyna myślała o granacie w torebce denatki i o politykach z Zachodniego Berlina, którzy mogli wchodzić w rachubę w związku z uprowadzeniem. Potem zasnęła.

## 2.

Jeszcze trzy tygodnie temu, dręczona wysoką gorączką, wymiotami i skurczami jelit, nie ważyła się myśleć o urlopie. Z ubiegłego roku pozostało jej pięć dni, ale chciała je wykorzystać na wyjazd z Robertem do Pragi w czasie świąt Wielkanocy. Katinka zostałaby wtedy u swego ojca w Szwajcarii. Kiedy jednak szef Katarzyny, masując w zamyśleniu łysą głowę, niemalże służbowo zarządził, żeby natychmiast wzięła czternaście dni urlopu na wyjazd „gdzieś tam na południe”, a ponadto doktor Martin, lekarz policyjny, i jej współpracownicy Gerfried, Zobel i Doris Wingert nalegali na nią, przede wszystkim zaś gdy Robert i Katinka zaczęli ją namawiać, nie wspomniała już o Pradze i zmęczona uległa im wszystkim.

Robert wbił sobie do głowy, że muszą to być koniecznie Wyspy Kanaryjskie.

Ale wszystkie przeloty na Wyspy Kanaryjskie były już wyprzedane. Przez dwa popołudnia Robert biegał po biurach podróży w Charlottenburgu, gdy tymczasem ona, siedząc na swym ulubionym miejscu przy stole kuchennym i popijając słabą herbatę, opracowywała akta. Albo też pijąc herbatkę miętową siedziała w fotelu na biegunach w gabinecie Roberta i patrzyła ponad z roku na rok coraz to rzadszymi koronami akacji na wieżę kościoła Świętej Trójcy naprzeciwko; z pokoju Katinki słyszała nową płytę Cheta Bakera i kołysząc się spokojnie zastanawiała się, czy sprzedawca samochodów Friedrich Löboldt naprawdę tylko z zazdrości zastrzelił prokurentkę Helgę Engelhard i robotnika Rudiego Wankuma. I dlaczego czterej pracownicy policji kryminalnej potrzebowali aż trzech lat, by to rozwiązać.

W końcu Robertowi udało się wykupić u Hertiego za rogiem ostatnie miejsce w samolocie z Dusseldorfu na Lanzarote.

- Problem w tym, żeby się tam dostać. Wolnych pokoi hotelowych jest dosyć. Ale od czasu podwyżki cen ropy towarzystwa zmniejszyły liczbę przelotów charterowych. A przelot samolotem liniowym wypada za drogo i trwa też dużo dłużej z powodu trzech przesiadek. Poza tym wyszukałem ci bardzo dobry hotel.

Katarzyna stwierdziła zaskoczona, że pozwoliła rozporządzić sobą. Co prawda w ciągu tygodnia, który dzielił ją od odlotu, trochę przysłała do siebie. Wytrzymała nawet osmiogodzinne przesłuchanie kobiety, która na przemian to przyznawała się do zabójstwa trzech mężów, to wszystkiemu przeczyła. Potem uznała nawet, że wyjazd na urlop jest właściwie zbyteczny. Ale wkrótce przekonała się, jak niewiele może wymagać od siebie. Ledwo zdołała wyrwać z rąk gwałtownie protestującej córki żółty plastikowy płaszcz z podszewką, który Katinka pożyczyła od niej ubiegłego lata, gdy wybierała się na tanią samolotową wycieczkę grupy młodzieżowej na dwa dni do Moskwy. Płaszcz pozostał oczywiście później w szafie Katinki. Przy tym siedemnastoletnia córka była o cztery centymetry wyższa i dużo szersza w ramionach od matki. Musiała paradować po Moskwie jak żółty serdelek.

Podczas lotu Katarzyna budziła się czasem, widziała w dali wiszące chmury i słyszała, jak sąsiedzi wciąż jeszcze lub znowu chrupią keksy. Raz poczęstowali nimi z miłym uśmiechem Katarzynę. Nie chciała odmówić. Mężczyzna wskazał przez okno w dół: Morze Śródziemne. Katarzyna trzymała ciastko w ręku i zamknęła oczy, żeby nie być zmuszoną do mówienia.

Morze Śródziemne widziała ostatni raz przed dwoma



laty. Leciała wtedy na Majorkę, tropiąc bandę z Domu Starców. Rzeźcy starszankowie, zamaskowani i występujący pod nazwą OPS, Organizacji dla Polepszenia Samopoczucia, napadli na kilka banków i spokojnie usadowili się ze zdobytymi pieniędzmi na Majorce. Korzystając z dobrej opieki prawnej do dziś żyli sobie beztrudnie w pięknych, komfortowych willach nad morzem.

Katarzyna postanowiła nie myśleć więcej o przeszłości, lecz radośnie i swobodnie, jak się należy, lecieć na urlop.

Pomyślała o drzewcu chorągwi.

Drzewce było spróchniałe, złamane i leżało nad głową martwej dziewczyny. Oświetlono je lampką kieszonkową, którą Gerfried trzymał w ręku. Leżało trochę nazbyt dekoracyjnie, nazbyt celowo ułożone nad głową. Na głowie nie widać było zewnętrznych skaleczeń, obrzęku czy wylewu krwi. Ciasne pomieszczenie piwniczne wypełniał gruz, spróchniałe leżaki i gnijące, rdzewiejące akcesoria do łodzi. Trudno sobie wyobrazić, żeby w tych warunkach mógł ktoś zamachnąć się bądź co bądź prawie trzy metry mierzącą resztką drzewca, by uderzyć nim dziewczynę w głowę.

Prawdopodobnie zginęła gdzie indziej!

Ale gdzie? I jak?

Znaleziono ją po bójce między policjantami a grupą okupującą dom. Mogła więc być zabita przez walące się mury, a potem zawleczona do piwnicy przez uciekających w panice. Ale w takim wypadku Katarzyna i doktor Martin musieliby odkryć bodaj otarcia skóry. I dlaczego okupujący dom mieliby wybierać akurat to pomieszczenie? Znajdowało się ono pod tarasem, na tyłach willi, nie miało połączenia z pozostałymi piwnicami i było dostępne tylko z zewnątrz, od strony brzegu.

A może zanim nadeszła policja, doszło do kłótni między okupującymi dom a dziewczyną i przy tym ją zabito. Ale w takim razie po co to drzewce. Wreszcie: ręczny granat.

Dziewczyna nie wyglądała na anarchistkę. Tylko czy anarchiści wyglądają na anarchistów? A czy anarchistki, które chcą uprowadzić polityka, opakowują granaty jak dziecięce zabawki, a potem dają się zamordować przez okupujących dom? Dziewczyna była blada, ani ładna, ani brzydka, nos miała trochę zbyt mięsisty, niezbyt dobrze wykrojone nadąsane usta, popielate włosy uczesane à la "Brigitte", ładne, długie rzęsy, plama wątrobiana za prawym uchem. Na twarzy wyraz zaskoczenia. Katarzynie wydawała się też zniekształcona, choć niepodobna było odkryć najmniejszego zadrapania. Figura przeciętna, ani szczupła, ani gruba. Odzienie takie sobie, ani modne, ani niemodne: spodnie, pulower, tencz, chustka na głowie.

Katarzyna otworzyła oczy. Trzymała ciastko w ręku. Sąsiedzi wciąż jeszcze patrzyli w dół, na Morze Śródziemne. Wsunęła keks pod siedzenie, pochyliła się naprzód, spojrziała również przez okno. Widziała tylko chmury. Odetchnąwszy opadła w tył na oparcie, szybko zamykając oczy, zanim sąsiedzi zdążyli do niej zagadać. Za dwie godziny wylądują. Przestać myśleć o drzewcach chorągwi i młodych, martwych kobietach.

Pomyślała o Katince.

Przed dwoma laty córka mieszkała jeszcze u swego ojca w Zurychu. Nagle zachciało jej się koniecznie zamieszkać z Katarzyną i Robertem. Przeprowadzono to w porozumieniu ze wszystkimi zainteresowanymi. Początkowo też Katinka dobrze się czuła na Pestalozzistrasse. Z pewnością podobało jej się, że matka, chociaż komisarz policji kryminalnej, żyje sobie tak po prostu, bez ślubu, z nauczycielem. Ale w ostatnim czasie zmieniła się. Często wynosiła się z przyjaciółkami i przyjaciółmi do kawalerki Katarzyny, położonej kilka minut drogi od mieszkania Roberta, na ósmym piętrze wysokościowca. Katarzyna rzadko zachodziła do swojej kawalerki i to najwyżej rano, zanim wyruszyła kolejką podziemną do biura. Patrzyła wtedy,

czy nie ma poczty, i zerknęła przez okno na samochód, który stał na podwórzu, nie używany i zabłocony. Jeżeli Katinka była tam poprzedniego dnia, Katarzyna zastawała w kuchni stosy brudnych naczyń.

Katarzyna chętnie porozmawiała przy okazji z córką na temat tych przyjaciół i przyjaciółek. Ale Katinka, poza tym bynajmniej nie małomówna, za każdym razem odpowiadała z niechęcią. Robert uważał to, zdaje się, za rzecz normalną. Od początku dobrze rozumieli się z Katinką. Ale przynajmniej w niedzielę rano, gdy siedzieli we trójkę w łóżku Roberta, otoczeni pogniecionymi gazetami i przy wtórze dzwonów z kościoła Świętej Trójcy pochłaniali grzanki z marmoladą (Robert) lub salami (obie panie), przynajmniej wtedy nie było ani śladu problemów.

Zanim znowu zasnęła, Katarzyna zobaczyła przed sobą twarz zamordowanej dziewczyny z willi nad Wannsee. Próbowała dociec, dlaczego zrobiła na niej wrażenie niekształconej.

### 3.

Autobusy rozwoziły ich z lotniska małego miasta do rozmaitych hoteli. Hotel Katarzyny znajdował się około trzydziestu kilometrów od miejscowości. Widziała żółtawe niebo, ani jednego drzewa, ani jednego krzaka. Wyspa składała się z hałd, rumowisk zastygłej lawy, wzdłuż których jechali. Przemęczona pilotka, niezręcznie trzymająca mikrofon przy ustach, powitała podróżnych „na tym cudownym skrawku ziemi”. Katarzyna widziała wciąż tylko pumeksowate rumowiska koloru ciemnej ochry lub brązowe. Kiedyś, już w czasach historycznych, jak informował prospekt, istniały tu lasy i łąki.

Pilotka zwróciła uwagę pasażerów na pewną budowlę. W odległości tysiąca metrów Katarzyna zobaczyła w polowie wysokości góry lawy samotny, błyszczący biały wiatrak z wielkimi, czarnymi skrzydłami i czarnym hełmem. Z poprzecznie ustawionego skrzydła zwisało coś ciemnego. Dowiedziała się, że wiatrak zbudował pewien Amerykanin, który osiedlił się tu z oszczędnościami z kilkudziesięciu lat handlu zegarami. A stracha na wróble umieścił tu zapewne po to, by ptaki nie niszczyły trawy, świeżo zasianej na z trudem zwiezionej ziemi ogrodowej. Katarzyna widziała kilka większych ptaków krążących dokoła stracha. Uważała je za mewy.

Mijali place budowy i pojedynczo rozsiane, białe bungalowy. Tu i ówdzie otoczone kwitnącymi krzewami, które podlewali mężczyźni niskiego wzrostu, ubrani w spłowiałe ciemne koszule i wypchane, połatane spodnie. Tylko nieliczne bungalowy wyglądały na zamieszkałe w tej chwili. Ich właścicielami, jak poinformowała pilotka, byli przede wszystkim Niemcy, Skandynawowie i Amerykanie. Gdy zbliżali się do hotelu, Katarzyna była już zmęczona. Doktor Martin przygotował ją w swój ceremonialny sposób na to, że klimat Wysp Kanaryjskich obniża ciśnienie krwi i dlatego nie jest obojętny dla osób o niskim ciśnieniu.

Hotel, imponująca budowla z betonu, szkła i marmuru, stał blisko brzegu morza, pośród trawników i klombów z kwiatami. Drogę do wejściowego portalu okalały kwitnące krzewy, kilka nowo posadzonych palm i drzewa z czerwonymi kwiatami. Tutaj także mężczyźni mniej niż średniego wzrostu w ciemnych, wyblakłych koszulach z poważnymi minami kierowali strumienie wody z węzów na trawniki i rabaty.

Po miękkich brązowych dywanach Katarzyna weszła za służącym w ciemnoczerwonej marynarce na drugie piętro. Pokój był dobrze urządzonej, kołdra i zasłony

koloru ochry, meble palisandrowe. Ale okno wychodziło na północny zachód. Katarzyna będzie miała słońce na swoim balkonie dopiero późnym popołudniem albo wcale.

Nie oczekiwała niczego innego. Żaden hotel nie przydziela dobrych pokoi samotnie podróżującym kobietom. Czuła się zbyt słaba, żeby zaprotestować. Ma czas do jutra. Przez telefon nadała telegram do Roberta, potem zamówiła litr wina. Przyniósł je zaraz bardzo młody, nieśmiały służący o lekko skrzywionych rachitycznych nogach. Westchnąwszy z ulgą, połknęła kilka otrzymanych od doktora Martina tabletek na krążenie, wypiła dwie szklanki wina i odrzuciła kołdrę. Półtorej godziny snu i urlop mógł się zacząć. Zdjęła już spodnie i rozpięła bluzkę, gdy usłyszała lekkie skrzypienie drzwi.

Odwrociła się. Przed nią stał starszy służący, który popatrzył na nią znacząco i zaczął zdejmować marynarkę. Jeżeli to należy do powitania, pomyślała, jest w każdym razie przedwczesne.

- Tego nie zamawiałam - powiedziała.

Nie miała pojęcia, czy służący ją zrozumiał. Ale spiesznie nałożył marynarkę i wyszedł z pokoju.

Wieczorem, w pustej jeszcze sali jadalnej, zobaczyła go znowu. Siedziała sama przy małym stoliku i podszedł do niej, żeby zapytać, czego sobie życzy. Sam szef sali osobiście ją zaszczycił. Uśmiechnął się do niej, jakby się dobrze znali. Po pewnym wahaniu odpowiedziała mu uśmiechem, ale miała nadzieję, że powściągliwie i z godnością. Nagle odechciało jej się jeść. Wypiła szklankę wody mineralnej i wróciła do pokoju.

W nocy śniła jej się twarz dziewczyny z willi nad Wannsee. Sprawy zawodowe odbijały się w jej snach tylko wtedy, gdy była nerwowo wyczerpana. Nad ranem przebudziła się i słuchała bicia fal w oddali. I szmeru wody, sączącej się i tryskającej z węzów, już o świcie skierowanych na

drzewa i krzewy przez milczących mężczyzn. Słuchając zasnęła ponownie.

Wszystkie dziewczęta, które chciały zostać przedszkolankami, stały w kaplicy i śpiewały. Obok Katarzyny śpiewała kobieta, która być może zabiła trzech mężów. Okrągły brzuch sterczał pod jej letnią suknią w czerwono-białą kratkę. Była w ciąży. - „Wbrew smokowi złemu - śpiewały seminarzystki jasnymi głosami - wbrew piekłu całemu, mimo śmierci, znoju, choć świat huczy burzą, śpiewam całą duszą, bezpieczna w spokoju”. - Katarzyna chętnie prześpiewałaby wszystkie strofki, ale stojąca obok ciężarna nie dawała jej spokoju, i obudziła się.

Podczas mycia zębów postanowiła się rozerwać i wziąć udział w wycieczce, organizowanej przez biuro podróży.

Przy śniadaniu dowiedziała się, że rzekomy strach na wróble przy wiatraku wcale nie był strachem na wróble, lecz samym Amerykaninem. Prawie dwa lata budował swój wiatrak. Kiedy był gotowy, kiedy każdy mebel, każdy obraz i kieliszek do whisky, każdy dywan i krzak w ogródku znalazły się na wyznaczonym miejscu i gdy należało już tylko przesunąć dźwignię, żeby wiatr przy pomocy skrzydeł młyna wprowadził w ruch elektrownię, powiesił się na skrzydle wiatraka. Stało się to trzy dni temu. Ale prawdopodobnie do dziś nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby na skrzydłach młyna nie siedziało podejrzanie dużo ptaków.

Ta nowina była głównym tematem rozmów gości, podczas gdy autobus wiózł ich do wielbłądów.

- Tak - rzekł kiwając głową z zadwoleнием mężczyzna, który jadł śniadanie obok Katarzyny i skonsumował przy tym siedem rogalików z masłem i marmoladą - wiadomo, że Lanzarote jest wyspą samobójców.

Potem wyniośle patrzące wielbłądy zawiozły ich na krater. Każdy wielbłąd niósł dwie osoby, jedną z lewej, drugą z prawej strony, w koszach połączonych przy pomocy szerokich rzemieni w środku między garbami. Katarzynie robiło się niedobrze z powodu inochodu zwierząt. Patrzyła na ciemnobrązowy, garbowany kark poganiacza, który przez chwilę szedł obok niej, chudy, niski, w ludowej czapce na głowie. Od czasu do czasu rzucał wielbłądom kilka słów ochrypłym głosem. Wielbłąd kołyszący się przed Katarzyną był chory na biegunkę. Nieustannie wyciekała z niego cienka, żółta strużka. Sierść miał matową, startą i idąc drżał pod ciężarem, który musiał dźwigać. Katarzyna usiłowała patrzeć w bok, na rumowiska, żeby nie mieć wciąż przed oczyma zaognionego wielbłądziego zadu. Słyszała, że jajko położone na szczycie natychmiast ścina się od gorąca wulkanicznych skał. Pilotka miała przy sobie jajko, żeby to zademonstrować. Potem mieli oglądać jaskinię, połyskującą najwspanialszymi barwami, bo przebiegały przez nią żyły rudy miedzi.

Katarzyna niczym się już nie interesowała. Była zadowolona, gdy znowu znalazła się w hotelowym łóżku. Nie miała jeszcze ochoty na kąpiel. Czekwała, aż o osiemnastej słońce dotrze na jej balkon.

Panowie za szklaną szybą w hallu obiecali, że od jutra postarają się dla niej o inny pokój.

Schodząc na kolację włożyła długą, ciemnozieloną suknię z aksamitu. Zobaczyła ją na wystawie boutique przy Kurfürstendamm w cenie dwustu pięćdziesięciu marek. Faktycznie jednak kupiła ją u C & A za dwadzieścia marek z powodu drobnych uszkodzeń. Obejrzała się uważnie w lustrze. Suknia opadała gładko i miękko aż do podłogi, tak że nie dostrzegało się prawie, że Katarzyna ma trochę za krótkie nogi. Figura wydała jej się możliwa. Zeszczuplała

w czasie choroby. Znowu, jak w dziecięcych latach, wystająca kość biodrowa odznaczała się przez aksamit. Potrzebna mi do przytrzymania się, mawiał wówczas ojciec Katarinki. Nakładając cienie na powieki obserwowała fałdę między oczyma. Była głębsza, niż Katarzyna oczekiwała. Bardzo ciemne włosy, uczesane na „pazia”, podobały jej się. Twarz natomiast wydawała się za blada. Dzieci z przedszkola nazywały ją ongiś „oczkiem”. Żadna sēminarzystka nie miała tak dużych oczu. Teraz uważała je za normalne.

Zanim weszła do sali jadalnej, usłyszała zgiełk głosów i brzęk naczyń. Okrągło licząc pięćdziesiąt osób spożywało kolację. Siedzący blisko drzwi spojrzeli na nią, niektóre kobiety natychmiast ją oszacowały, jakby się zastanawiając, czy Katarzyna chce upolować sobie któregoś z ich zatłuszczonych, sześćdziesięcioletnich mężów. W głębi sali odkryła małżeństwo z Dusseldorfu. Oboje kiwali do niej wesoło zapraszając na wolne krzesło przy swoim stole i Katarzyna dosiadła się do nich.

Wstrząsnął nią widok nagich czerwonych ramion kobiety. Również jej twarz była czerwona, obrzmiała, błyszcząca od oliwy. Mężczyzna wyglądał podobnie. Oboje opowiadali z zadowoleniem, zaciągając z nadreńska, o swoich doświadczeniach. Czuli się dobrze. Katarzyna wyobraziła sobie, jak przez cały dzień nad basenem pływackim lub morzem starannie obracali na wszystkie strony wałki sadła i brzuch piwosza, żeby żaden kawałek tłustego mięsa nie pozostał nie przypieczony. Pomyślawszy to Katarzyna zganiła samą siebie za zarozumiałość. Ostatecznie tych dwoje korzystało tylko z urlopu, byli wprawdzie nieokrzesani, ale zgodni. Katarzyna zazwyczaj poznawała takich na wskroś normalnych ludzi dopiero, gdy znaleźli się w nienormalnej sytuacji: zginęli gwałtowną śmiercią lub sami zabili pod działaniem silnej emocji.

Przysłuchiwała się więc i uśmiechała uprzejmie.



- Ach niee - mówiła kobieta - że też ci uprowadzili akurat tego tam, Lorenza.

- Billa tego nie rozumie - wyjaśnił Katarzynie mężczyzna. - Oczywiście, jest to bardzo szczęśliwy pomysł biura wyborczego CDU.

I położył czerwoną rękę na grubym, czerwonym przedramieniu żony, śmiejąc się gromko. Katarzyna krzyczałaby z bólu, gdyby na jej spalone od słońca ramię ktoś położył ciężką rękę. Ale kobieta nie krzyknęła. Szturchnęła męża i śmiała się razem z nim.

Dopiero teraz Katarzyna zauważyła, że młody, nieśmiały kelner stoi za nią, trochę z boku. Usiłował zawiadomić ją, że ktoś prosi ją do telefonu. Poderwała się, przewróciła szklankę, przeprosiła.

Kilku gości patrzyło za nią, gdy opuszczała salę. Nie było tu w zwyczaju, żeby do kogoś telefonowano.

W ciasnej, dusznej kabinie obok recepcji nie było czym oddychać. Zostawiła więc drzwi otwarte i czekała niecierpliwie na połączenie.

To był Robert. Jego głos brzmiał blisko i był pełen ciepła. Zaraz zobaczyła go przed sobą, jak siedzi przy biurku, opierając łokcie na papierach, ubrany w brudne welwetowe spodnie i rdzawoczerwony pulower. Nigdy nie wkładał nic innego. Kiedy mówiła: naprawdę potrzebne ci ubranie, wtedy szedł niechętnie do sklepu i wracał z brązowymi spodniami z welwetu i nowym rdzawoczerwonym pulowerem. Oczywiście nie dostał telegramu i niepokoił się o nią.

- Nie ma powodu do obaw - odparła.
- Na pewno? - Dobrze znał jej głos. - A krążenie?
- Trochę.
- Czy masz słoneczny pokój?
- Trochę.
- Mamo? - Teraz Katinka była przy aparacie. - Czy nie zdradzasz nas w tym urlopowym raj?
- Nie mogę. Tutejsze tłuste baby zanadto pilnują

swoich tłustych mężów. - Katarzyna nie potrafiła odpowiedzieć dość dowcipnie. - A co u was?

- U nas? O, właściwie nic szczególnego.

- Nic...?

- Nic szczególnego.

Przerwa. Trzask.

- Mamo - powiedziała Katinka - ty przecież chciałaś usłyszeć tylko o Lorenzu.

- Lorenz mnie nie interesuje. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o młodej kobiecie z willi nad Wannsee.

- O czym?

- Co jest ze zwłokami. - Trzask w aparacie. - Halo?

- Mamo?

- Ze zwłokami dziewczyny. Musiało coś być o tym w gazetach.

- Zostaw tę lalę w szopie nad Wannsee. Myśl lepiej o urlopie.

- Daj mi Roberta.

- On ci powie to samo.

- Moja ślicznotko - rzekł Robert - naprawdę zostaw ten cały berliński kram w spokoju.

- Ale jestem ciekawa.

Robert westchnął. - W „Wieczorze” piszą, że młoda kobieta, którą znaleźliście w piwnicy...

Gwizdy. Trzaski. - Halo! - mówiła Katarzyna. - Halo!

- Ona nie zginęła od ciosu w głowę. Już parę godzin wcześniej nie żyła. Słyszysz mnie?

- Bardzo dobrze.

- Umarła na skutek niefachowo przeprowadzonego przerwania ciąży.

Zmiany pigmentowe na twarzy dziewczyny. Wskazywały na ciążę.

- Zidentyfikowana? - Katarzyna pytała, jak gdyby otrzymała właśnie służbową informację. Robert zaśmiał się swoim głupim, bulgoczącym śmiechem.

- Nie, pani nadkomisarz.
- A granat ręczny. Czy został...

Katinka włączyła się.

- Powiedz no, nadkomisarzu, czy sądzisz, że któraś z twoich tłustych bab mogłaby umrzeć na skutek niefachowego spędzenia płodu?

- Nieprawdopodobne.

- No, widzisz. Nie, zostaw mi. - To się odnosiło do Roberta. - Twój Robert wciąż mi wyrywa słuchawkę z ręki.

- To ty mu ją przecież wciąż wyrywasz z ręki.

- To co innego. Chciałam ci jeszcze powiedzieć, że twoje gliny przesłuchują teraz bez przerwy tych, co zajęli dom. W jaki sposób wpakowali tam zwłoki. Ale ja ci mówię, że oni nie wpakowali żadnego trupa. Ani też żadnego nie rąbnęli belką czy czymś tam w głowę. Znam ich.

- Kogo?

- Facetów, którzy zajęli budę. Nie mają nic wspólnego z trupem.

- Skąd ich znasz?

- Ach, tylko tak. Przez chłopaków ze szkoły. Naprawdę żaden z nich nie ma nic wspólnego z trupami.

- Czy twoi faceci mają coś wspólnego z granatami?

Chichot na drugim końcu drutu.

- Mamo, chcesz rozwiązać sprawę z odległości pięciu tysięcy kilometrów? Zostaw to twemu Gerfriedowi. Lepiej wykuruj się.

- Przyłączam się do tego.

- Co robią twoje wypracowania z niemieckiego, profesorze? - spytała szybko. Nie chciała, żeby rozmowa już się skończyła. Robert miał często kłopoty z powodu niekonwencjonalnych tematów wypracowań z niemieckiego w wyższych klasach. Ale zawsze potrafił nie tylko przeprowadzić swoje plany, ale zyskać za nie potem pochwały: albo sprzymierzał się z uczniami i komitetem rodzicielskim przeciwko niemile dotkniętemu kierownictwu

szkoły, albo z uczniami i kierownictwem szkoły przeciwko zatroskanym rodzicom. Tej taktyki nauczył się w czasie pracy w związkach zawodowych. W ostatnim jednak czasie trudno mu było przeciągać większość na swoją stronę.

- No tak - rzekł Robert. - Jeden temat o Tomaszu Mannie, oczywiście, jeden o historii wojny trzydziestoletniej Schillera, jeden o więźniach.

- O więźniach?

- Jeszcze nie wiem dokładnie. Co to jest i jakiemu celowi służy stosowanie kary. Coś w tym sensie. Właśnie o tym dyskutujemy. Sądysz, że możemy poprosić Doris Wingert o zreferowanie tego tematu?

Asystentka Katarzyny pracowała dawniej w różnych zakładach karnych. Była lubiana przez kolegów, a nawet przez więźniów. Ale nie wytrzymała obcowania wyłącznie z więźniami i ich nadzorcami. Dlatego zgłosiła się do policji kryminalnej. - Ponieważ - jak wyjaśnił najmłodszy asystent Katarzyny, Manfred Zobel, krzywiąc się uśmiechem bohatera z westernu - ponieważ człowiek, którego aresztujemy, nie jest jeszcze więźniem, tylko człowiekiem prawie że wolnym, a ten, kto nie pozwala uciec temuż prawie-wolnemu, też prawie nie jest jeszcze dozorcą. - Zawsze godna zaufania, przeważnie uprzejma, tylko czasami trochę zgryźliwa, staropanieńska, dzielna i zwiędła zarazem, pełniła swoją służbę. Jej gęste, jasne włosy z roku na rok stawały się w zadziwiający sposób coraz wspanialsze.

- Spytaj ją - odparła Katarzyna. - Na pewno przyjdzie. Jeżeli będzie miała czas - dodała.

- Napiszesz?

- Do mnie też - wtrąciła się Katinka.

- Ależ tak - odparła Katarzyna szczęśliwa. - Oczywiście, że do was napiszę.

- No to cześć, mamó. Trzymaj się.

- Spraw się dobrze, moja ślicznotko. Odpocznij.

Kiedy spocona opuściła kabinę, zauważyła, że kierownik przygląda jej się badawczo z recepcji. Co on słyszał? - pomyślała. Czy dotarło doń coś o zwłokach i granacie ręcznym? Postanowiła na przyszłość być ostrożniejsza. Nie chciała, żeby dowiedziano się tu o jej zawodzie. Podała, że jest wychowawczynią. Była nią zresztą jeszcze dziesięć lat temu.

W salonie goście stali i siedzieli przed telewizorem. Pokazywano zdjęcia z Berlina Zachodniego, opuszczony mercedes, fotografia uprowadzonego polityka opozycyjnego, burmistrz. Katarzyna nie rozumiała, co mówił hiszpański komentator.

W pokoju położyła się na łóżku, patrzyła, jak wieczorny wiatr wydyma zasłony przed otwartymi drzwiami balkonu, słyszała z zewnątrz szum nawadniania.

Wypiła resztę wina z butelki stojącej koło łóżka i zastanawiała się, w czyim interesie mogło leżeć, żeby znaleziono tę zmarłą młodą kobietę w piwnicy willi nad Wannsee. I czy ci, którzy ją tam przynieśli i położyli pod drzewcem chorągwi, wiedzieli, czy nie wiedzieli, że w jej torebce znajduje się granat. Zastanawiała się, na co potrzebny granat kobiecie, która udaje się na spędzenie płodu. Albo dlaczego ktoś podkłada granat do torebki kobiety, umierającej z powodu przerwania ciąży. I skąd Katinka знаła ludzi okupujących dom? Nagle przypomniały jej się bliźniaczki Gerfrieda. Spotkała je kiedyś w ogrodzie zoologicznym. Dwie poważne małe dziewczynki o odziedziczonych po ojcu za starych twarzyczkach cierpliwie i dokładnie tłumaczyły mu przed klatką z małpami teorię mnogości pod warunkiem, że potem on wyjaśni im kilka szczegółów na temat powstawania dzieci.

Zdjęcie.

Zdjęcie ładniej, mile uśmiechniętej kobiety, które

Robert przechowuje pomiędzy starymi rupieciami w szufladzie biurka. Gdyby cztery lata temu Helga wolniejjechała samochodem pełnym dzieci przez Aleję Claya, albo gdyby szybciej zahamowała, Robert spojrzalby może na Katarzynę w sklepie Schuberta-katastrofisty, ale prawdopodobnie by jej nie zapamiętał, podczas gdy łagodny, stary człowiek ponurym głosem opowiadał o okropnościach i nieszczęściach na wszystkich kontynentach. A Katarzyna uległaby, przynajmniej przejściowo, zalotom kierownika literackiego z Teatru Schillera.

Sklep.

Opuszczony sklep Schuberta-katastrofisty obok Hertiego, zerwane staromodne szyldy: „Delikatesy” i „Najprzedniejsze wędliny”, jego głos, cztery tygodnie trwało, zanim ostatecznie się poddał: umrzeć natychmiast jest w takim wypadku lepiej, niż długo cierpieć.

Katarzyna usiadła, zapaliła światło, szukała papieru. Nie będę miała spokojnego urlopu, powiedziała sobie, dopóki nie wyjaśnię sobie i nie spiszę wszystkiego. Ale wiedziała, że gdyby znalazła choć kilka odpowiedzi na swoje pytania, nie miałaby już na pewno spokojnego urlopu.

Napisała: obudziłam się około drugiej nad ranem.

Niechętnie budziła się z głębokiego snu. Leżała mocno przytulona do ciepłego ciała Roberta, gdy usłyszała z gabinetu chrapliwe dzwonienie telefonu. Dzwonek aparatu uległ parę tygodni temu uszkodzeniu, gdy Katinka rozmawiała ze swoim ojcem w Zurychu i zrzuciła przy tym telefon na podłogę. Katarzyna ostrożnie odsunęła się od Roberta, który spał dalej spokojnie, wyszła z łóżka, nie

zapalając światła, po omacku dotarła do telefonu. Gerfried zawiadamił ją, że zaraz po nią przyjedzie.

Nic nie rozumiała. Zapaliła lampę na biurku Roberta i spojrzała na elektryczny zegar, który Katinka podarowała Robertowi na urodziny. Od dwóch godzin miała urlop. Ktoś nie wpisał tego tam, gdzie powinno być wpisane. Dla wyrównania nie zawiadomiono Zobla i Doris, tylko kolegów, z którymi Gerfried i Katarzyna jeszcze nigdy nie współpracowali.

W milczeniu jechali torem Avus.

Kiedy zбочyli z Kronprinzessinenweg w kierunku Wannsee, na ulicę Am Sandwerder, wyjechał im naprzeciw ciemnoszary mikrobus marki volkswagen, powoli, jakby kierowca był niezdecydowany, czy ma jechać dalej. Ulica była zalana jasnym światłem księżycy. Okna mikrobusu zasłaniały firanki w ciemną i jasną kratkę. Katarzyna ziewnęła i powiedziała do Gerfrieda:

- Chciałabym mieć takie zasłony w kuchni.

Gerfried spojrział na nią, nie rozumiejąc. Mikrobus wjechał właśnie w krąg światła ulicznej latarni. Katarzyna nie mogła rozpoznać kierowcy, ale obok niego siedziała kobieta, która nieruchomo patrzyła w ich kierunku. Nie wyglądała na żonę amatora campingu, szukającego miejsca do przenocowania. Była przerażona. Nagle mikrobus ruszył szybciej i zniknął w kierunku Avus.

- Tak - powiedziała Katarzyna - zasłony w czerwono-białą kratkę.

Zapisała: mikrobus volkswagen z zasłonami w czerwono-białą kratkę.

Przed ponurą, romantycznym księżycowym światłem oblaną ruiną przy Am Sandwerder 19B stały dwa wozy policyjne i pogotowie Straży Pożarnej. Okna sąsiednich will były jasno oświetlone, pomiędzy zaparkowanymi na

skraju jezdni prywatnymi samochodami dyskutowali wzburzeni mieszkańcy. Trzej członkowie patrolu i dwaj strażacy w hełmach stali niezdecydowani w zawalonym gruzami, rozdeptanym ogródku. Za samochodem Gerfrieda zatrzymała się taksówka i wysiadł z niej doktor Martin. Ściągnięto go z przyjęcia. Kiedy strażacy nakładali jemu, Katarzynie i Gerfriedowi hełmy na głowę z powodu niebezpieczeństwa zawalenia się ruiny, doktor nucił „Jazdę Walkirii” Wagnera.

- Kto odkrył denatkę? - spytała.
- Starszy sierżant Witt - odparł jeden z patrolu. Katarzynie nie udało się rozpoznać jego twarzy. Miał sumiaste wąsy. Górna część twarzy była ukryta w cieniu hełmu.
- Gdzie jest starszy sierżant Witt?
- Po zakończeniu akcji wycofano pogotowie policyjne - wyjaśnił jeden z patrolu. Mówił jak spiker radiowy.
- Kiedy?
- Dziesięć minut temu.
- A ludzie zajmujący dom?
- Zabrani - odparł inny z patrolu. - Dla sprawdzenia personaliów.
- Ilu ich było?
- Pięciu.
- Zgarnięci - mruknął Gerfried. - Teraz możemy gończyć za Wittem i tymi tam z willi.
- Ja nie - odparła Katarzyna.

Gerfried spojrzął szybko na Katarzynę. Dopiero w tej chwili pojął, zdaje się, że będzie odpowiedzialny za rozwiązanie tej sprawy.

Katarzyna stała na parterze domu na kupie gruzu. Zawałiła się część stropu pierwszego piętra. Przez belkowanie dachu widać było księżyc. Dom był prawdopodobnie od dawna nie zamieszkały. Mury były wilgotne, a drzewo zmruszałe. Ale to nie wystarczało jeszcze do wyjaśnienia stopnia zniszczenia.



- Są ranni?
- Nie.
- Jak postępowała policja?
- Wyłącznie defensywnie.
- Żadnych siekier, łomów?
- Nie.
- Ale rzeczywiście - powiedział trzeci z patrolu - wygląda tu, jakby użyli pół tuzina granatów.

Zapisała: niewspółmiernie duże zniszczenie domu Am Sandwerder 19 B przez okupujących go ludzi.

Kiedy obudziła się nazajutrz, stwierdziła, że spała przy zapalonym świetle. Włożyła kartkę z trzema zdaniami do torebki i postanowiła nie myśleć więcej o Berlinie.

Przedpołudnie spędziła nad morzem, wczesne popołudnie nad basenem kąpielowym. Tak jak inni goście starannie obracała swoje ciało w promieniach słońca, szukała śladów cellulitis. Były, ale nie alarmujące. Po południu, gdy nasilił się wiatr, owinięta w żółty płaszcz z podniesionym kołnierzem przez dwie godziny spacerowała brzegiem morza. Trzej rybacy w zniszczonych podartych spodniach, spłowiałych koszulach i wielkich zabłoconych butach szli jej naprzeciw, uśmiechnęli się, szybko podnieśli zaciśniętą pięść w pozdrowieniu. Była zaskoczona, uśmiechnęła się niepewnie. Później, w swoim pokoju, odkryła przy kołnierzu płaszcza małą odznakę. Katinka opowiadała, że jakiegoś młodemu Rosjaninowi bardzo podobał się jej długopis. W zamian podarował jej odznakę Aeroflotu. Katarzyna zdjęła ją i schowała do kieszeni płaszcza.

Potem zatelefonowała do Gerfrieda.

Wiedziała, jak lubiani są szefowie, którzy dzwonią z urlopu. Pomyślała też, że postanowiła sobie nie myśleć więcej o Berlinie. Namiętność zawodowa czyniła ją nieufną, robić coś dla siebie samej wydawało jej się wątpliwe.

Będzie musiała bardziej uważać na siebie. Ale teraz chciała pomówić z Gerfriedem.

Z bardzo daleka słyszała jego zaskoczony, niezadowolony głos. - Proszę się nie gniewać, Gerfried - powiedziała łagodnie. Siedziała na łóżku i obserwowała, jak słońce powoli dosięga balustrady balkonu. Z telefonu wydobywało się coś, jak odległy szum morza, szczekanie maszynówki, start rakiety.

- Hallo - powiedziała.

- Pani Ledermacher? - Głos Gerfrieda brzmiał nagle zupełnie blisko i bez trzasków.

- Pamięta pan, jak powiedziałam, że takie zasłony w czerwono-białą kratkę chciałabym mieć w kuchni?

- Co by pani chciała? - Teraz głos znowu dochodził z oddali.

- Kiedy jechaliśmy do willi Am Sandwerder, gdy zobaczyłam w mikrobusie volkswagen...

- Zasłony?

- Tak. W czerwono-białą kratkę.

- Nie rozumiem. Dlaczego pani chce mieć zasłony w czerwonej i białą kratkę? Nie wiem, jak mam je pani posłać.

To było beznadziejne.

- Jak idzie dochodzenie? - krzyczała Katarzyna.

- Dziękuję, dobrze - odparł Gerfried, jakby Katarzyna pytała o jego samopoczucie.

- Co z dziewczyną?

- Jaką dziewczyną?

- Tą z willi nad Wannsee.

- Ach, z tą. Nie wiem.

- Co? Jak to pan nie wie?

- Słucham?

- Przecież musi pan wiedzieć, co z tą dziewczyną. Z granatem.

- Nie mogę pani nic powiedzieć, pani Ledermacher. -

Głos Gerfrieda był znowu zupełnie bliski. Brzmiał zrezygnowanie.

- Jak to nie może pan powiedzieć?
- Tego nie mogę teraz wytłumaczyć.
- Co się dzieje, Gerfried?
- Ano, wszystko, pani Ledermacher. Jeżeli pani rozumie, co mam na myśli.
- Ani słowa.

Znowu szum morza, gąsienice wozu pancernego, gwizdy. Potem cisza.

- Gerfried?

Połączenie zostało przerwane. Później wpadło jej na myśl, że to popołudnie sobotnie. Gerfried musiał więc siedzieć w biurze w sobotę po południu. Normalnie znaczyło to, że jest dużo pracy. Zdaje się jednak, że nic nie robił.

W nocy, przed zaśnięciem, i nazajutrz, nad morzem, rozmyślała o tej rozmowie telefonicznej. Istniały dwie możliwości. Po pierwsze dziewczyna z granatem w torebce mogła być anarchoterrorystką. Wówczas sprawą zajmowałby się teraz ktoś inny. Co prawda nie pasowałby do tego fakt, że młoda kobieta była w ciąży. A może podano to do publicznej wiadomości, żeby odwrócić uwagę? Po drugie możliwe, że zginęła w czasie bójki pomiędzy grupą okupującą dom a policją. Mogła ją zabić policja. Wtedy też sprawa nie byłaby w rękach Gerfrieda. Trudno byłoby stwierdzić, w czyich. Ale do tej możliwości nie pasuje granat.

Po południu, otulona w żółty płaszcz, poszła szarobrazową plażą między morzem a pumeksowymi skałami do najbliższej miejscowości, gdzie w małym walącym się porcie, obok nędznych lanzarotańskich domów i niedaleko bungalowów obcokrajowców, znajdował się supermarket. Kupiła gazety i wino, tańsze tutaj niż w hotelu, i usiadła na tarasie małej cafeterii obok supersamu. Patrzyła na stare

wysłużone kutry rybackie. Dął tak silny wiatr, że nie mogła czytać gazety.

Rybacy przeszli, pozdrowili, tym razem nie zaciskając pięści, zawrócili, przysiedli się do niej. Jeden z nich, zaledwie około trzydziestu pięciu lat, miał siwe włosy i głębokie bruzdy na twarzy. Pracował przez rok we Frankfurcie jako monter. Drugi był marynarzem. Mówili twardym hiszpańskim językiem, przetykanym z grzeczności niemieckimi i angielskimi wtrętami. Najmłodszy, rudowłosy, przystojny, tylko patrzył na Katarzynę i uśmiechał się. Był prawie że bezzębny. Upierali się przy tym, że zapłacą za koniak caliente Katarzyny, i zaprosili ją, żeby popłynęła z nimi nazajutrz na połów.

Wieczorem w sali jadalnej ludzie coś sobie szeptali, gdy przechodziła między stolikami. Przy stole zwróciło jej uwagę, że małżeństwo z Dusseldorfu było niezwykle milczące. Barwa skóry ich obojga przechodziła już w fiolet, gdy tymczasem Katarzyna powoli robiła się czerwono-brązowa. Rzuciła parę słów, wyrażając podziw i stwierdzając, że nie zdoła nadrobić zaległości. Ale tamci widocznie nie chcieli rozmawiać z nią na ten temat. Już w recepcji Katarzyna odniosła wrażenie, że wprawdzie odnoszą się do niej uprzejmie, ale o kilka stopni chłodniej. Myślała, że to z powodu butelki wina, którą niosła w otwartej plastikowej torbie, przechodząc obok recepcji do swego pokoju. Ale również po kolacji, w salonie przed telewizorem, kiedy relacjonowano warunki, pod jakimi terroryści byli gotowi uwolnić opozycyjnego polityka, inni goście usilnie starali się trzymać od niej z daleka. Zapewnie z powodu rozmów telefonicznych. Granatów. Albo jej uwagi o tłustych babach.

Spała tak głęboko i tak długo, jak to się nie zdarzało od miesięcy. Kiedy obudziła się, wiedziała, że rybacy dawno

już wyruszyli w morze. Siedząc w łóżku napisała listy do Roberta i Katinki.

Potem zeszła na dół, wypła kawę, podała recepcji numer telefonu biura swego szefa. Chciała usłyszeć, że jest pilnie potrzebna. Że musi natychmiast wracać. Ale połączenie z Berlinem Zachodnim napotykało widocznie na trudności. Dość długo trwało, zanim wezwano ją z salonu do kabiny telefonicznej. Przez szklane drzwi hallu widziała gości leżących koło basenu.

- Proszę! - zawołała. - Halo.
- Cóż za niespodziewana przyjemność, pani Ledermacher - rzekł szef, zaskakująco blisko. Zdawało jej się, że słyszy pykanie fajki. W tle głosy.
- Ma pan konferencję?
- Tak. I wszyscy tutaj chcielibyśmy mieć tak dobrze, jak pani.
- Jak sprawy wyglądają?
- Pani Ledermacher - odparł szef. - Pani jest na urlopie. Niech pani zapomni o dziewczynie z willi nad Wannsee.
- Sztuka. Nie trzeba było mnie do niej wzywać przed samym odlotem.
- Tak, to był błąd. Ale, jak powiedziałem, pani Ledermacher, niech pani dobrze wypocznie. Kiedy pani wróci, będziemy więcej wiedzieli.
- O czym?
- Mam panią serdecznie pozdrowić od wszystkich zebranych.

Wtorek i środę spędziła głównie na tym, żeby wywalczyć u pilotki przyspieszenie terminu odlotu. W sali jadalnej nakryto dla niej znowu przy małym stoliku, małżeństwo z Dusseldorfu siedziało z innymi ludźmi przy stole, śmiejąc się i gadając, a szef sali przyjął jej zamówienie bez

uśmiechu. W telewizji pokazano krótko wymęczoną twarz opozycyjnego polityka, który został wypuszczony, i Katarzyna przypomniała sobie, że przecież w Berlinie Zachodnim odbywały się wybory. Papiery na listowne głosowanie nosiła ze sobą w torebce. Zapomniała je wysłać. Z pewnymi oporami głosowała na SPD.

Potem po raz ostatni spacerowała kilka godzin brzegiem morza w żółtym płaszczu, z chustką Katinki na głowie. Ale nie spotkała już rybaków.

Dowiedziawszy się o terminie odlotu, zadzwoniła do domu. Tym razem uzyskanie połączenia trwało kilka godzin i głos Roberta brzmiał słabo i z oddali.

- Wracam jutro wieczorem! - wołała. - Jutro wieczorem ostatnim samolotem z Dusseldorfu!

- Zostań jeszcze, Katarzyno - Odległy, słaby głos Roberta był jakby zduszony i przypominał tym głos Gerfrieda. Katarzyna była zaskoczona.

- Halo! - wołał Robert. - Więc zostaniesz jeszcze, dobrze?

- Robert, posłuchaj no, stary.

- Poza tym, mam - wtrąciła się Katinka - pomyliłam się.

- Co zrobiłaś?

- Pomyliłam się. Tych, którzy zajęli tę budę w Wannsee, nie znam. Mam przyjaciół w Kreuzbergu, ci od dawna już szukają domu na centrum młodzieżowe. Myślałam, że zagarnęli sobie tę budę nad Wannsee. Ale to nie oni. Inni. Więc z tego powodu nie musisz wracać. Dostyc już glin w Berlinie.

- Naprawdę możesz jeszcze zostać! - zawołał Robert.

- Dobrze - odparła Katarzyna. - Zatem będę jutro wieczorem.

Samolot z Lanzarote tak wcześnie wylądował w Dusseldorfie, że Katarzyna zdążyła na wcześniejszy samolot

do Berlina. Kiedy Robert otworzył drzwi, wybierając się właśnie po nią na lotnisko, Katarzyna stanęła przed nim.

- Katia - powiedział i ściskając starał się tak ją odwrócić, żeby nie mogła od razu spojrzeć na mieszkanie.

Oderwała się od niego i rozejrzała, a tymczasem on wnosił walizki.

Stała w jasno oświetlonym korytarzu i przez otwarte drzwi kuchni widziała zdemolowaną maszynę do mycia naczyń. Nawet armatury były wyrwane. Druty zwisały luźno.

Przez otwarte drzwi łazienki zobaczyła rozbityą szybę pralki.

Weszła do, sypialni. Wbudowana szafa była rozebrana. Deski leżały ułożone pod ścianą. Przeszła do gabinetu. Wszystkie półki z książkami zostały oderwane od ściany i prowizorycznie postawione. Książki leżały w nieładzie na podłodze. Katinka wyszła ze swego pokoju zostawiając otwarte drzwi. Katarzyna omijając ją wzrokiem spoglądała na rozbite drzwi szafy i rozdarty dywan.

- No, co ci, mamó - powiedziała Katinka i ucałowała matkę. - Tylko zaraz nie zemdlej. To przecież zupełnie normalne. Twoi kumple szukali tu tylko anarchistów.

Wczoraj mieli swój wielki dzień.

#### 4.

- Jeżeli wolno mi zreasumować, pani Ledermacher - rzekł Gerfried i chrząknął Czasami brzmiało to tak, jakby zachłystywał się swymi skrzypiącymi strunami głosowymi.

Było późne przedpołudnie. Katarzyna miała już za sobą trzy godziny urzędowania, powitanie kolegów i zwierzchników

oraz nieodzowne pytania o urlop. Teraz siedziała w biurze, na swoim ulubionym miejscu, na ciepłym kaloryferze. Na dworze przedwiosenne słońce, lekki wiatr. Niewiele inaczej niż na Lanzarote. Bezczyinnie trzymała notes i długopis w prawej ręce. Zazwyczaj, zastanawiając się lub przysłuchując dłuższym wywodom, rysowała trójkąty cieniowane kreskami. Przy biurku z tabliczką: „D. Wingert” siedziała Doris, wyprostowana, z rękami na aktach, czujna nauczycielka w zapiętej po szyję bluzce, która pokazuje dzieciom, jak należy zachowywać przyzwoitą postawę. Wspaniałe, jedwabiste, złote włosy owinęła dokoła głowy, ale była blada, miała zaczerwieniony nos, a pudełko z tabletkami przeciwgrypowymi leżało w zasięgu jej ręki. Krzesło obok biurka Doris, na którym zazwyczaj Manfred Zobel rozsiadał się jak szeryf, umieszczając nogi na stojaku do akt, stało puste. Drzwi do sąsiedniego pokoju były przyknięte.

Obok brzęczał telefon. Nikt nie podnosił się, żeby tam przejść. Gdy ktoś telefonował i nikogo nie zastał, i tak zaraz tutaj dzwonił. Gerfried, przy biurku Katarzyny, przerwał, gdy telefon umilkł, i patrzył na leżący obok spodek pełen niedopałków i popiołu. Ale aparaty obok Doris i Gerfrieda nie odzywały się. Gerfried wprawił więc znowu w ruch jabłko Adama pod kołnierzem golfu, sortował papiery i mówił dalej.

Katarzyna nie słuchała uważnie. Biegła jeszcze w myślach brzegiem morza po szarobrązowym piasku, słyszała szmer wody sączącej się z węzów do nawadniania, widziała martwego Amerykanina, wiszącego na skrzydle wiatraka niby ponury strach na wróble, otoczony chmurą ptaków. Była zmęczona. A przecież dawno już powinna się obudzić. Z samego rana, gdy zameldowała się u szefa i zaprotestowała przeciwko zdemolowaniu mieszkania nauczyciela Tillmanna przez funkcjonariuszy policji, nastąpiło pierwsze śpięcie. Kierownik wydziału, który jak zawsze



palił fajkę, masował sobie czaszkę i przekładał papiery, wyraził jedynie ubolewanie z powodu zajścia, zaproponował spotkanie z Möllingiem, szefem pogotowia policyjnego, dziś o 18-ej i zapewnił, że sprawa zostanie zbadana, ale jednocześnie zaznaczył, że odnośni funkcjonariusze spełnili tylko swój obowiązek i to na polecenie wydziału bezpieczeństwa. Córka Katarzyny, Katinka Scheidt, znajduje się obok stu innych osób na liście podejrzanych o sympatyzowanie z anarchistami. Ale na liście nie było zaznaczone, że matką podejrzanej jest pani nadkomisarz Ledermacher. Przeprowadzający rewizję funkcjonariusze nie wiedzieli też, że pani nadkomisarz Ledermacher mieszka nie w swoim mieszkaniu, lecz w mieszkaniu nauczyciela Tillmanna. Kierownik wydziału powiedział to bez cienia ironii. I dodał: Katarzyna nie powinna tego brać tragicznie. Znamy przecież młodych ludzi. Prawie każdy przechodził fazę anarchistyczną. To nie musi być nic kryminalnego. Ale obowiązkiem policji jest upewnić się. - Upewnić się co do tego, ilu anarchistów Katinka ukrywa w maszynie do zmywania naczyń? - spytała Katarzyna. - Albo za półkami bibliotecznymi Roberta Tillmanna? Albo pod dywanem? - Kierownik wydziału starał się ją uspokoić i ona też ku własnemu niezadowoleniu dała się uspokoić, bo lubiła kierownika wydziału, który w trudnych sytuacjach zawsze zachowywał się w stosunku do niej fair. Pomimo to była zdecydowana domagać się zbadania sprawy. Drugie pięćcie nastąpiło godzinę później z komisarzem policji politycznej przybyłym z Hamburga. Przyleciał trzy dni temu wraz z tuzinem kolegów z Monachium, Frankfurtu, Kolonii, Hanoweru, Wiesbaden do Berlina Zachodniego, żeby nadać intensywniejszy bieg ściganiu anarchoterrorystów. Ale z początku wszyscy ci polityczni koledzy wzmogli tylko zwykłe trudności na Gothaerstrasse. Sparalizowali pracę całych wydziałów, zajęli pomieszczenia, blokowali dalekopisy, założyli nowe połączenia telefoniczne i

posługując się swoim potężnym komputerem w Wiesbaden zagarnęli i analizowali wszystkie sprawy, które choćby w najmniejszym stopniu mogły zahaczać o działalność anarchistyczną. Po czym stopniowo i z ociąganiem się byli gotowi zwrócić te sprawy odnośnym urzędnikom z Gothaerstrasse, zanim usunęli się wreszcie z ich przewróconych do góry nogami pokoi i odlecieli do różnych krajowych urzędów kryminalnych czy do biura federalnego. Koledze z Hamburga przypadło w udziale zbadanie sprawy martwej dziewczyny w willi nad Wannsee. W sali konferencyjnej, która jemu i jego pomocnikom służyła jako gabinet, w otoczeniu właśnie demontowanych, prowizorycznie założonych telefonów i dalekopisów, zwrócił akta sprawy Katarzynie i Gerfriedowi. Otrzaskany człowiek, lat trzydziestu kilku, chłodna twarz z błyszczącymi okularami buchaltera, przypominał Katarzynie jednego z północnoniemieckich krewnych. Był on teraz funkcjonariuszem opiekującym się przesiedleńcami, posłem jednej z partii mieszczańskich i ostrożnie sterował ku stanowisku senatora od spraw budowlanych. Wszystko wykalkulowane, spokojnie wyjaśniał Katarzynie, poprawiając okulary, za sześć lat dojdę do celu, jeżeli nie z SPD, to z CDU, możesz być pewna. Równie spokojnie i w północnoniemiecki sposób odpowiedział hamburski komisarz na protest Katarzyny w związku ze zniszczeniem mieszkania: to, co przy poszukiwaniu kryjówek anarchistów w poszczególnym wypadku może być godne pożałowania, dla ogółu jest bezwarunkowo korzystne. Zresztą kierowano się berlińskimi listami. Przy tym również poprawił sobie okulary. Katarzyna nie umiała nic odpowiedzieć, gdy hamburczyk dał jeszcze jej i obładowanemu aktami Gerfriedowi do zrozumienia, że wprowadzicie ich metody pracy pochodzą z epoki kamiennej, sądzi jednak, że po tym, co on wstępnie zrobił, dadzą już sobie radę z dziwką z burdelu w Wannsee.

- Dochodzenie - powiedział Gerfried i podniósł głos.

Zauważył roztargnienie Katarzyny. Czekał, aż spojrzy na niego, dopiero potem mówił dalej: - Dochodzenie, dopóki było prowadzone przez nas, miało toczyć się na trzech płaszczyznach. Po pierwsze: grupą zajmująca willę Am Sandwerder 19B. To wziął Zobel. Po drugie: sprawdzenie adresów w notescie zmarłej. Wzięła to Doris. Po trzecie: granat. To było moje zadanie. Może należałoby z góry uprzedzić, że mimo wszelkich starań, powołuję się przy tym również na działalność naszego hamburskiego przyjaciela, dotychczas nie ustaliliśmy, kim jest właściwie zmarła młoda kobieta. Zdaniem doktora Martina miała około dwudziestu pięciu lat. Wydaje się, że nigdzie nie zgłoszono jej zaginięcia. Nawet wykorzystanie notesu nie dało żadnej wskazówki w tym kierunku. Ponieważ Doris napomknęła kiedyś, że denatka przypomina jedną z jej kuzynek imieniem Hildegarda, przywykliśmy nazywać ją Hildegardą.

Chrząknięcie.

- Powodem śmierci Hildegardy, żebym nie zapomniał, była tak zwana embolia tłuszczowa, wywołana przez silny szok lub ból. Obdukcja stwierdziła powód tego szoku: przerwania ciąży dokonano przy pomocy ssaka próżniowego, ale nieprawidłowo. Macica została poważnie uszkodzona. Faktycznie części macicy zostały wessane razem z płodem. Przy tym zdaniem doktora Martina Hildegarda musiała już być w trzecim miesiącu. Na pomyślne przerwanie ciąży tą metodą było więc, według doktora Martina, za późno.

- Książeczka adresowa - powiedziała Doris - zawierała sześćdziesiąt jeden adresów, z tego pięćdziesiąt pięć z numerami telefonów. Ale również wszystkie inne adresy miały telefony. Dwadzieścia dziewięć w Berlinie Zachodnim, reszta w średnich lub małych miejscowościach w Republice Federalnej, trzy w Bazylei. Jeden w Rzymie. Niemiecki reżyser telewizyjny, stale zamieszkały we

Włoszech. Pomiędzy adresami z Bazylei jeden dotyczy sklepu z zabawkami, z którego pochodzi papier, w jaki zawinięto paczkę z granatem. Właściwie: mógł pochodzić, bo firma Reinhard ma jeszcze kilka filii w innych miastach szwajcarskich i wszystkie używają tego samego papieru pakunkowego. Dalej były tam adresy siedmiu lekarzy, dwóch w Berlinie, innych rozsianych po całej Republice. Zrobiłam zestawienie również innych zawodów, które były podane lub dały się stwierdzić. Ze wszystkimi osobami, wymienionymi w notesie, lub z członkami ich rodzin przeprowadziliśmy rozmowy telefoniczne i posłaliśmy zdjęcie Hildegardy, o ile mieszkają w kraju. Tych z Bazylei i reżysera z Rzymu wziął hamburczyk. I on też doszedł do ostatecznego wyniku: żadna z osób figurujących w notesie nie przyznaje się, żeby kiedykolwiek widziała Hildegardę. Zdaje się, zapomniałam zaznaczyć, że lista obejmuje nazwiska trzydziestu dziewięciu mężczyzn, nie licząc lekarzy. Być może ten czy ów mężczyzna lub ta czy owa kobieta ma powody, by zaprzeczać znajomości z Hildegardą. Ale przecież nie wszyscy. Chyba że Hildegardą była czymś w rodzaju biseksualnej call girl. Ale temu przeczy jej bielizna, ubranie, make np. fryzura. Przede wszystkim miała bardzo złe uzębienie.

- Może chciała jako call girl zarobić pieniądze na wyreperowanie zębów - rzekł Zobel, który nagle pojawił się w drzwiach sąsiedniego pokoju i skrzywił się w uśmiechu. Usiadł z hałasem na swoim krześle i położył nogi na stojaku do akt. Miał skarpetki koloru czerwonego wina.

- Poza tym - mówiła dalej Doris, która kichnęła i spojrzała na Zobla jak na hałaśliwego ucznia - przeciwko call girl przemawia też fakt, że Hildegardą chcąc przerwać ciężę trafiła do takiego nędznego partacza. Dobrze zarabiające dziewczyny mają, jak wiemy, swoich lekarzy.

- Tak jest, Doris - szepnął Zobel. - Ty znasz świat. Gerfried westchnął.

Doris nie dała się zbić z tropu.

- Doszliśmy zatem do siedmiu lekarzy. Mieszkają w Husum, Kassel, Opladen, Rottweil, Hof. Dwaj, jak mówiłam, w Berlinie. Wszyscy ci lekarze mniej lub więcej cieszą się opinią, że w razie konieczności idą na rękę. Żadnemu nic dotychczas nie udowodniono. Potwierdzili to zgodnie kompetentni koledzy. Według własnych informacji żaden z lekarzy w Republice Federalnej nie ma doświadczenia w obchodzeniu się z pompą podciśnieniową do wysysania płodu. Tylko jeden z berlińskich lekarzy, doktor Bernward Jeremy, umie się z tym obchodzić. Jedyńm lekarzem, z którym nie skontaktowałam się osobiście, jest drugi berliński ginekolog, doktor Herman Tronck, przez c k. Ma siedemdziesiąt dziewięć lat, oficjalnie już nie praktykuje, tylko po porozumieniu we własnym mieszkaniu. Czasem całymi dniami nie opuszcza domu, nie otwiera, nie podchodzi do telefonu. W końcu udało mi się jednak telefonicznie zamówić u niego wizytę, jako pacjentka, na dziś, godzinę siedemnastą. Początkowo nie chciał, był nieufny. Hamburgczyk musiał mu przysolić. Pije, mówią lokatorzy domu. Ale go lubią. Wydaje się, że to typ gburowatego doktora, szorstkiego, ale serdecznego, i ludzie powiadają, że leczy niemal wszystko starymi środkami domowymi lub wlewami. Tak - rzekła Doris i otworzyła jedną z teczek, kartkowała. - Tyle o naszych staraniach. Na temat starań hamburgczyka jest tu tylko jedno zdanie: Wszystkie sześćdziesiąt jeden osób sprawdzono, żadnego związku ze znaną zmarłą, żadnych związków między sobą, żadnych niezmiennych. Co to znaczy niezmiennych? - spytała Doris i podniosła wzrok.

- To znaczy - odparł Zobel z widoczną uciechą, że może pouczyć nauczycielkę - że hamburgczyk za jednym zamachem kazał wyżyłować i skonfrontować sześćdziesiąt jeden osób w Republice Federalnej, w zachodnim Berlinie i za granicą, otrzymane dane podał komputerowi w

Wiesbaden i stwierdził, że wszystkie te osoby nie tylko nie znały się, ale również nie miały żadnej wspólnej cechy. Na przykład mogłoby się przecież zdarzyć, że ulubionym kolorem wszystkich byłby niebieski.

- Dlaczego niebieski? - spytała Doris.

- Zupełnie o to samo musiałyby się pytać hamburczyk - odparł Zobel.

- Kto by tam zdradził policji swój ulubiony kolor - szepnęła Katarzyna i ziewnęła.

- Ja nie mam żadnego ulubionego koloru - oświadczył Gerfried.

- Hamburczyk pomógłby ci szybko znaleźć ulubiony kolor - rzekł Zobel. - Ci ludzie mają możliwości pracy, o jakich my możemy tylko marzyć.

- W każdym razie - powiedziała Katarzyna - wiemy teraz, co następuje: adresy w notesie Hildegardy są realne. Ale notes jest sfałszowany.

- Przypuśćmy - rzekł Gerfried i po dłuższym wahaniu i zerkaniu na niepalącą Katarzynę zdecydował się zapalić nowego papierosa - przypuśćmy, że notes jest rzeczywiście sfałszowany. To nasuwa pytanie, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu.

- Oo - Zobel przytknął palcami. - Żeby nam zabrać czas. I to mu się udało. - Ze stosu akt przed Doris wyłowił kilka papierów.

- Teraz co się tyczy tych, co zajęli dom - przewracał kartki - to mają oni za sobą ciężki tydzień. Najpierw myśmy ich magłowali przez cały dzień. Potem hamburczyk trzy dni, znowu my i młodzieżówka II, następnie jeszcze raz hamburczyk. Za każdym razem wyłakiwali przed nim dokładnie to samo co przed nami, tylko oczywiście znacznie bardziej szczegółowo, a hamburczyka to dosyć nudziło. Chce ich dziś wypuścić. To znaczy dla porządku przekaze ich z powrotem nam.

- Wobec tego chcę z nimi pogadać - rzekła Katarzyna,

która pokrywała teraz blok cieniowanymi trójkątami. Gerfried wziął jedną z teczek, przeszedł do swego pokoju i telefonował.

- Jakiego mamy sędziego śledczego? - spytała Katarzyna.

- Metza. Miał już kwaśną minę, że trzymaliśmy chłopców przez trzy dni. Wobec hamburczyka był bezsilny. Ale pilnie poleca, żeby puścić ich wolno aż do rozprawy. Wszyscy prowadzą uregulowany tryb życia, są zameldowani, żaden nie był karany.

Gerfried wrócił i usiadł.

- Zaraz ich przyprowadzą do pokoju przesłuchań.

Katarzyna skinęła głową, cieniowała dalej.

- A mianowicie - mówił dalej Zobel - jeden jest murarzem, ma dwadzieścia lat, mieszka u żonatego brata w Kreuzbergu. Drugi, również murarz, również dwadzieścia lat, mieszka u wdowy w Kreuzbergu. Potem dwóch ślusarzy narzędziowych, obaj osiemnaście lat, mieszkają u rodziców w Tegel i Charlottenburgu, ojciec jednego jest fryzjerem, drugiego dźwigowym. Piąty, elektryk, dziewiętnaście lat, mieszka przy Motzstrasse u matki, która jest sprzedawczynią w „Kadewe”. Najpierw wszyscy oświadczyli zgodnie, że lubią piękne stare domy i nie chcą, żeby zostały spaskudzone przez przebudowy i rozbudowy. Miałem niemalże łzy w oczach. Bo oni rzeczywiście gospodarowali w tej budzie jak wariaci. Z wewnątrz, ze strychu, zdemontowali pół dachu i zrzucili gonty na dół, dla obrony przed policją, jak twierdzili. Ale zdaje się, że bardzo uważali, żeby nie trafić w żadnego z naszych kolegów. Wewnątrz porąbali całe schody, żeby zabarykadować drzwi wejściowe. Zrzucili do ogrodu zmurszałą balustradę balkonu i wypatroszyli jedną ze ścian dźwigających. Potem, po niewielkim oporze, dali się ująć kolegom. Byli uzbrojeni w siekiery, młoty i żelazne drągi, ale nikogo nie zranili.

- Chciałabym zobaczyć - powiedziała Katarzyna, nie podnosząc wzroku znad cieniowanych trójkątów.

Gerfried znowu wyszedł do swego pokoju i zatelefonował.

- Willa grozi tymczasem zawaleniem - rzekł Zobel. - Obecnie z pewnością nie opłaca się żadna przebudowa czy rozbudowa. Może trzeba będzie ją rozebrać. Kiedy powiedziałem to chłopcom, odparli, że to zostało spowodowane wkroczeniem policji i zawinione przez właściciela, który ją wezwał. Ale willa, jako dawna siedziba osobistości nazistowskich, należy do narodu i musi być odbudowana dla narodu jako dom wypoczynkowy. Wszyscy śpiewali jak z nut. O Hildegardzie żaden nic nie wiedział. Rzekomo żaden z nich nie był w czasie walki z policją w piwnicy.

Zajęli dom w środę, dwudziestego szóstego lutego, przed południem, około jedenastej. Wszystko wtedy skontrolowali łącznie z piwnicą i pomieszczeniem pod tylnym tarasem. Twierdzą, że wszystko zastali puste. Jestem przekonany, hamburczyk zresztą też, że chłopcy naprawdę nic nie wiedzieli o Hildegardzie. Byli zdenerwowani, nawet zakłopotani, gdy pojęli, o co tu chodzi. I w związku z tym jeden z nich, mianowicie elektryk, Hans Bartel, taki mały, szybki brunet, trochę puścił farbę. Według jego relacji pewien mężczyzna nazwiskiem Siebert zagadywał przed urzędem pośrednictwa pracy ludzi, szukających wolnych miejsc. W końcu złowił sobie tych pięciu, poszedł z nimi zjeść do Kempnińskiego, naprawdę do Kempnińskiego. I przedstawił im propozycję. Mieli zająć willę Am Sandwerder 19 B i bronić jej przed policją, gdyby właściciel ją wezwał. Nic nie szkodzi, jeżeli przy obronie willa zostanie mocno uszkodzona. Chodzi o to, żeby zwrócić uwagę opinii publicznej, stworzyć przykład. Nabywający stare domy nie powinni móc robić z nimi, co im się żywnie podoba.

Senat Berlina Zachodniego wyraźnie zarządził, że willa może być tylko odnowiona. Nowy właściciel chce obejść



to zarządzenie i dokonać rozbudowy obiektu, żeby willę przerobić na hotel. To zaś niepokoi lokatorów i właścicieli sąsiednich domów. Profesorów, dyrektorów, artystów. Obawiają się dokuczliwego hałasu w związku z działalnością hotelu i restauracji. Siebert dał do zrozumienia, że działa z polecenia tychże sąsiadów i że w gruncie rzeczy pomoc w przeprowadzeniu zarządzenia senatu nie może być przecież niczym bezprawnym. Ponieważ nie byli karani, nie ryzykują więcej niż grzywnę aż do rewizji. Tę zaś wraz z kosztami procesu pokryje oczywiście Siebert. O tym, że właściciel może skarżyć dzikich lokatorów o odszkodowanie, Siebert nie wspominał. Za to przedsięwzięcie zaproponował każdemu po tysiącu, płatnym w dwudziestu pięćdziesiątkach, i to zaraz, pod warunkiem, że zachowają milczenie wobec policji i innych ciekawskich, podając jedynie ogólne wyjaśnienia moralne. Potem Siebert wyjął z bagażnika mercedesa, zaparkowanego na hotelowym parkingu, starannie opakowane młoty, drągi żelazne i siekiery. O jego znajomości ludzi świadczy fakt, że wyszukał bardzo porządnych, ale też bardzo naiwnych, żeby nie powiedzieć głupich facetów. Tylko elektryk Bartel wydawał mi się trochę mądrzejszy. Był on już mężem zaufania uczniów w firmie Hornmüller i Sänftle w Moabicie, urządzenia elektryczne. Mówi, że po zakończeniu nauki nie zatrzymano go, bo zbyt ujmował się za prawami uczniów. Podane mi uzasadnienie firmy: brak wolnego miejsca. Brzmiało to trochę niepewnie. W każdym razie Bartel znalazł się na ulicy. I powiedział sobie, jak nie tak, to inaczej. I skorzystał z okazji. Żaden z tych pięciu nie wpadł na pomysł, żeby wsadzić do kieszeni dwadzieścia pięćdziesiątek i ulotnić się. Nie, opłacono ich, więc porządnie wykonywali swoją pracę. Siebert obiecał im jeszcze, że gdyby trudności z policją były zbyt wielkie, otrzymają specjalną pomoc. Powierzchniwie biorąc mógł mieć przy tym na myśli granat ręczny. Bo zmarła

Hildegardę trudno uważać za pomoc. Ponieważ jednak istnieje związek między opakowaniem granatu a notesem Hildegardy, Hildegarda i jej granat musiały być zaskoczeniem również dla pana Sieberta.

- Widzę to inaczej - rzekł Gerfried. Stał w otwartych drzwiach swego pokoju.

- Ja też - rzekła Doris dotykając swoich włosów.

- Ja nic jeszcze nie widzę - rzekła Katarzyna. Zobel wolno zsunął nogę ze stojaka na akta, podciągnął czerwoną skarpetkę i umieścił nogę na dawnym miejscu tak ostrożnie, jakby była z porcelany.

- No dobrze - odparł. - W takim razie wyjaśnijcie mi, jak to widzicie czy nie widzicie.

- Na przykład, co z Siebertem? - spytała Katarzyna.

Zobel wzruszył ramionami.

- Jasne, że człowiek nazwiskiem Siebert nie był zameldowany ani u Kempnińskiego, ani w żadnym innym berlińskim hotelu, że nikt z mieszkańców okolicznych domów Am Sandwerder nie upoważniał pana Sieberta, aby ten zatroszczył się o zajęcie numeru 19 B. Oszczędziłem sobie sprawdzania kilku tysięcy mieszkańców Zachodniego Berlina, noszących nazwisko Siebert. Nawet hamburczyk nie fatygował swego komputera. Nazwisko jest z pewnością fałszywe.

- Jak opisują chłopcy Sieberta? - spytała Katarzyna. Patrzyła na cieniowane trójkąty, jakby z nich mogła rozpoznać rysy Sieberta.

- Średniego wzrostu, niestary, ale gruby. Ciemne ubranie, biała koszula, łysina, słoneczne okulary. U Kempnińskiego nie przypominali sobie. Tysiące tak wyglądają.

- Tak - odparła Katarzyna i cieniowała dalej. Tak niezwykle wielu wygląda.

Zobel stracił na chwilę pewność siebie, spojrzął w stronę Katarzyny. Jego zaczerwienione oczy nabrały intensywniejszej barwy.

Gerfried, oparty o framugę drzwi, chrząknął.

- Muszę tu szybko coś wtrącić - rzekł - co się tyczy granatu. Dziś rano otrzymałem wiadomość od kapitana Marlowe z brytyjskiej policji wojskowej, że pewien sierżant przyznał się, iż trzy granaty tego typu, co znalezione w torebce Hildegardy, bez upoważnienia wywiózł do Zachodniego Berlina i w hotelu „Schweizer Hof” wręczył mężczyźnie nazwiskiem Harding. I to dwudziestego piątego lutego, w przeddzień zajęcia domu Am Sandwerder. Pan Harding zapłacił za tę grzeczność tysiąc marek. Sierżant tak go opisał: średniego wzrostu, niestary, ale gruby. Ciemne ubranie, biała koszula, łysina, słoneczne okulary.

Milczenie. Spojrzenia wszystkich spoczęły przez chwilę na Gerfriedzie. Jego twarz jakby odmłodziła.

- Moje uznanie - rzekł Zobel i zdjął nogi ze stojaka. - Toś mi pięknie zaserwował. - Wykrzywił się melancholijnym uśmiechem samotnego szeryfa.

- Co mówił hamburczyk o granacie? - spytała Katarzyna.

- Dziwna rzecz - rzekł Gerfried sadowiąc się z powrotem na swoim miejscu - ale w ogóle nie zainteresował się granatem. Od razu zostawił go kapitanowi Marlowe i mnie. Dyletanckie rupiecie, powiedział. Bądź co bądź był jednak tak uprzejmy, że przesłał mi sprawozdanie bońskiej policji bezpieczeństwa na temat pochodzenia granatu. Według nich istnieje w Bremie firma pod nazwą Towarzystwo Skupu i Handlu w Bremie. BREHAGE transportuje, kupuje i sprzedaje to, co zdobędzie, maszyny do szycia do Azji, chińską herbatę do Fryzji, miniatury berlińskiego Dzwonu Wolności, wykonane w Japonii, do Berlina Zachodniego. Przede wszystkim jednak kupuje i sprzedaje broń. Zakupiła większą ilość tych wycofanych z armii brytyjskiej granatów i sprzedała do Afryki. Co ma ewentualnie wspólnego nasz przyjaciel Harding vel Siebert z BREHAGE, bada teraz brytyjska policja wojskowa. Ja

sam trzykrotnie telefonowałem do BREHAGE, ale nigdy nie udało mi się rozmawiać z kimś kompetentnym. Dlatego przez kolegów z Bremy zażądałem wyciągu z rejestru handlowego.

- A hamburczyk? - spytała Katarzyna. - Czy on już dawno nie rozszyfrował tych ludzi?

- Nie. A jeżeli tak, to nie powiadomił nas. Mnie się zdaje, że oni go nie interesują.

- Trudno zrozumieć - rzekła Doris.

- Oni od razu potrafią odróżnić rzeczy ważne od nieważnych. Zupełnie inaczej patrzą niż my - wyjaśnił Zobel z ważną miną. Katarzyna podniosła wzrok. Zobel powiedział to, zdaje się, poważnie. Potem zajmowała się powtórным cieniowaniem już pocienionych trójkątów. Wreszcie rzekła:

- A teraz do Hildegardy.

Zobel przekartkował wstecz swoje akta.

- Streszczę jak przedtem kilka wypowiedzi, zwłaszcza starszego sierżanta Witta. Według niego pod koniec akcji policyjnej na ulicy Am Sandwerder 19B, w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego lutego, około pierwszej trzydzieści zbliżyła się do domu karetka sanitarna firmy Kaiser, zajmująca się przewozem chorych. Przed domem parkowały cztery radiowozy pogotowia policyjnego i dwa pojazdy straży pożarnej. W ogródku przed domem, w świetle reflektorów skierowanych na willę, koledzy wygarnęli właśnie grupę zajmującą dom. Chłopcy, jaskrawo oświetleni, stali wśród gruzów i roztrzaskanych dachówek z podniesionymi rękami, byli rewidowani.

Uwaga wszystkich była skierowana na nich. Pomiedzy kolegami wynurzyli się nagle z ciemności sąsiedzi, którzy odważyli się wyjść po walce, stawiali bzdurne pytania, dawali zbędne komentarze, martwili się o swoje prywatne samochody, zaparkowane między pojazdami policyjnymi, i tak dalej. Ciągle trzeba było ich odpędzać. Ludzie Möllinga

mieli więc pełne ręce roboty. W tej sytuacji karetka Kaisera nie zwracała uwagi. Każdy myślał, że ktoś ją zamówił. Karetka mijając policjantów, sąsiadów i grupę okupującą dom, przejechała przez bramę, potem drogą naokoło willi, prowadzącą nad brzeg jeziora, i dawno już znikła na tyłach willi w ciemności, gdy Wittowi przyszło na myśl, że to głupota puścić karetkę w stronę brzegu i tylnego wejścia willi, gdzie na pewno nie było żadnego rannego, którego trzeba byłoby przetransportować. Witt pobiegł więc za samochodem. Karetka stała na światłach mijania z włączonym silnikiem i szeroko otwartymi drzwiami przed wejściem do oddzielnej piwnicy pod tylnym tarasem. Między samochodem a piwnicą znajdowało się dwóch sanitariuszy z pustymi noszami. Witt odniósł wrażenie, że mieli zamiar wejść do piwnicy. Kiedy zawołał do nich, że nikogo już nie ma w domu, jeden z sanitariuszy rzekł: okay, wsunęli nosze z powrotem do karetki, zamknęli drzwi, wsiedli obaj z przodu, skinęli Wittowi i odjechali. Zdaniem Witt'a, na ile mógł to ocenić na wpół oślepiiony reflektorami samochodu, na wpół pogrążony w ciemności, obaj pielęgniarze wydawali się bardzo młodzi i nawet podobni do siebie. Witt powiedział, iż wydało mu się rzeczą dziwną, że sanitariusze nie informując się u nikogo od razu pojechali do wejścia do piwnicy. Spróchniałe drzwi pod tarasem dały się łatwo otworzyć. W ciemności nie mógł zrazu nic dojrzeć. Ale nogą uderzył o ciało, schylił się więc i pomacał...

- Co tłumaczy, że znowu mieliśmy tylko odciski palców policji na zwłokach - rzekł Gerfried.

- ...pobiegł z powrotem na ulicę - mówił dalej Zobel - bo nie miał przy sobie latarki, wrócił z latarkami i dwoma kolegami i zobaczył leżącą Hildegardę, tak skuloną, jak zrzuciły ją z noszy te dwa typy, z udrapowanym drzewcem chorągwi nad głową. Karetka była tymczasem już dawno w drodze do Lichterfelde. - Zobel zrobił przerwę, po czym

mówił dalej: - Znalaziono ją tam nazajutrz rano na rogu Marienstrasse i Marienplatz, bez noszy. Było to w chwili, gdy pani, pani Ledermacher, startowała właśnie z Dusseldorfu na Lanzarote.

- Czy Kaiser zgłosił zniknięcie karetki? - spytała Katarzyna.

- Nazajutrz rano. Ale to nie od razu dotarło do nas. Z powodu Lorenza. - Zobel uśmiechnął się. - Dwudziestego siódmego około północy wezwano na zlecenie lekarza karetkę do dzielnicy Hansa, na siódme piętro domu szwedzkiego przy Altonaer Strasse z powodu pęknięcia ślepej kieszki i zapalenia otrzewnej. Pielęgniarki weszły we trzech z noszami do windy i utkwili w niej na dwie godziny, bo między trzecim a czwartym piętrem wysiadły bezpieczniki, ponieważ gdzieś się tam coś smażyło. I oczywiście nikt z domu ich nie wzywał, lekarza, który rzekomo telefonował, nie było, a karetka tymczasem zniknęła. Tak to się odbyło. Nigdzie odcisków palców. Precyzyjna robota zawodowców.

- Pięknie - odparła Katarzyna. - Zawodowcy, którzy jadą do pracy z własnymi noszami. - Widziała, że Doris ma wilgotną od potu twarz i oczy błyszczące od gorączki i że Gerfried znowu wygląda starzej. Zobel szukał papierosów w kieszeniach marynarki, Gerfried rzucił mu papierosa, potem zapalki. Zobel złapał jedno i drugie jedną ręką. Również do zapalenia zapalki wystarczyła mu jedna ręka. Katarzyna widziała taką sztuczkę przed laty w kinie. Zapomniała już, w jakim filmie.

- Doris - powiedziała Katarzyna - chcę pani coś zaproponować. Na spotkanie z doktorem Tronkiem dziś po południu pójdę ja. A pani weźmie teraz taksówkę, natychmiast pojedzie do domu i postara się pozbyć gorączki przez sobotę i niedzielę. W poniedziałek rano proszę zadzwonić.

- Dobrze - odparła niespodziewanie Doris jak grzeczne dziecko i wstała niepewnie. - Tak, tak będzie chyba

lepiej. - Gdyby się czuła jako tako, na pewno by protestowała. - Od dwóch nocy śni mi się ten notes z adresami - dodała.

Gerfried wezwał już telefonicznie taksówkę.

- Niech się pani pozwoli starannie pielęgnować - powiedziała Katarzyna i zaraz pożałowała swoich słów, powinna się była powstrzymać od tej protekcjonalnej uwagi. Doris mieszkała z matką. Przeważnie starsza pani bywała chora, wtedy pielęgnowała ją Doris. W rzadkich wypadkach, gdy Doris zachorowała, pielęgnowała ją matka. Innych możliwości nie było. Ani męża, ani przyjaciela, ani przyjaciółki. Nikt nie miał odwagi zbliżyć się do Doris.

Nawet Zobel.

Doris uśmiechnęła się trochę niepewnie w kierunku Katarzyny, skinęła głową Gerfriedowi i Zoblowi, wyjęła płaszcz z szafy. Wyszła ostrożnie. Wydawało się, że z wysiłkiem dźwiga ciężar gęstych włosów.

- A my - powiedziała Katarzyna - będziemy się musieli rozejrzeć za panem fabrykantem lub panią fabrykantką aniołków. - Wstała i położyła blok z cieniowanymi trójkątami na biurku.

- Za kim? - spytał Zobel, rozciągając słowa.

- Za tymi, którzy zamordowali Hildegardę - wyjaśniła Katarzyna.

## 5.

Pomieszczenie do przesłuchań w więzieniu było pustawe, wyposażone tylko w kilka drewnianych ławek i krzeseł, jeden większy stół i jeden mniejszy do protokołowania. Pomiędzy obu zakratowanymi oknami widniało spłowiełe miejsce. W ubiegłych dziesięcioleciach wisiały tam kolejno portrety cesarza, kilku prezydentów i führera.

Kiedy Katarzyna zaczynała służbę w policji, między oknami wisiała kopia starego sztychu przedstawiającego Neu-Ruppin. Jakiś czas temu niezupełnie wytrzeźwiony knajpiarz, oskarżony o przejechanie po pijanemu dziecka, zerwał ten obraz, podeptał szkło i ramy, bo, jak oświadczył, nie można znieść tego Neu-Ruppina. Odtąd nie powieszono między oknami żadnego obrazu.

Na małym stole leżało kilka okrągłych żelaznych rur z dolutowanym masywnym uchwytem, trzy ciężkie młoty i dwie siekiery o długim trzonku. Facetów okupujących dom jeszcze nie było. Gerfried natychmiast wyszedł, żeby się dowiedzieć, dlaczego od dawna nie czekają w pokoju przesłuchań.

Katarzyna wzięła jedną z rur, ważyła ją w ręce. Ciężar był nielichy.

Zobel spojrzął na masywny zegarek po dziadku, który nosił na złotym łańcuchu w kamizelce eleganckiego garnituru.

- Ano, pani Ledermacher - rzekł z ociąganiem się. - Bardzo żałuję, ale...

Katarzyna wiedziała, że co najmniej od pół godziny oczekiwano go w innym wydziale.

Zrobił karierę, gdy ona była na urlopie. A raczej zabrano go jej. Dziś rano od razu spostrzegła na swoim biurku lakoniczną notatkę. Ze wszystkich wydziałów pozabierano pracowników, żeby utworzyć stały referat specjalny do walki z terrorystami. Chciała zaprotestować u szefa. Zamiast tego mówiła tylko o mieszkaniu Roberta. Protest i tak byłby zresztą bezskuteczny.

- Ja także żałuję - powiedziała Katarzyna i odłożyła drąg. - Ale od czasu do czasu będziemy się widywali.

- Gdyby coś było, jakieś pytania, zawsze chętnie przyjdę. Może cała sprawa wyląduje jednak w końcu u nas. - Już się identyfikował z referatem specjalnym.



- W porządku, Zobel. Zobaczymy. Niech się pan dobrze sprawia tymczasem.

Zobel uśmiechnął się.

- Oczywiście, że będę się dobrze sprawiał. Ostatecznie czegoś się przecież człowiek u pani nauczył.

Mocny uścisk dłoni. Jeszcze uprzejmie: - Gerfried zaraz przyjdzie - potem trzaśnięcie drzwiami i Zobel zniknął.

Katarzyna siedziała na stole w pustym pokoju przesłuchań, wymachiwała nogami i patrzyła na wyblakłe miejsce na ścianie. Nie lubiła takich zmian. Była konserwatywna w stosunkach z ludźmi. Jeżeli nawiązała z kimś kontakt, wszystko powinno pozostać tak, jak było. Nie podobał jej się nawet zmieniony układ straganów na placu Karola Augusta przed mieszkaniem Roberta. I czuła się natychmiast zaniepokojona, jeżeli z daleka nie usłyszała oburzonego głosu Lieschen Fröhlich: - Trzy funty śliwek za jedną markę, czego pani chce jeszcze? - Albo gdy nie mogła kupić kwiatów u zwinnej Renaty i jej uprzejmego męża. W ogóle co najmniej raz na miesiąc musiała odbyć rundę po swojej dzielnicy. Od Irmchen Kant, ekspresowe czyszczenie, która z twarzą zaczerwienioną od oparów benzyny kiwała jej przez okno parowym żelazkiem, do łagodnego rzeźnika Neubauera. Potem do osiemdziesięcioletniego Ewalda Demskiego, który zapełniał sklep ze starzyzną, gdzie też mieszkał, coraz większą ilością bezużytecznych rupieci. - Znowu śmierć - zawołał ostatnim razem ponuro do Katarzyny, stojąc w pantoflach i szelkach przed drzwiami sklepu, wysuwając ku niej powoli niszczącą piękną twarz starca i prawą rękę, na której leżała na wpół zjedzona papużka. Współlokatorowi Demskiego, staremu szczurowi, udało się zatem wykończyć ostatnią z trzech równie starych papużek falistych. Demski był prawie głuchy, telefon, założony bezpłatnie przez Opiekę Społeczną z Charlottenburga, niewiele mu dawał. Ale jeżeli sąsiedzi

i mieszkańcy okolicznych domów chcieli telefonować, musieli mu płacić sześćdziesiąt fenigów. Za to kupił sobie następną papużkę. Potem Katarzyna szła do sprzedawczyń warzyw koło Hertiego, które mówiły do niej: - No, mała, co ma być dzisiaj? - do Johanna, bezzębnego mistrza wyścigów kolarskich, który swój Biały Berliński Sklep Skupu i Sprzedaży nazywał teraz galerią i wystawiał namalowane przez siebie obrazy, wyłącznie nagie kobiety z rozkraczonymi nogami i szczegółowo przedstawionymi detalami, najznakomitszy pacykarz w Charlottenburgu, jego obrazy szły jak świeże bułeczki. Potem w beztargowe dni odwiedzała kwiaciara Wilskiego, który z czarującą staroczeską galanterią, całując rączki, łaskawa pani, i subtelną starannością pakował dla niej na wpół zwiędłe kwiaty, następnie Paulchen Stahla, mistrza szklarskiego, co to na jednym tonie potrafił mówić najszybciej gwarą berlińską, i Botzecka, wysportowanego, siedemdziesięcioletniego przedsięwzięcia pogrzebowego, którego otyła małżonka uskarżała się stale na serce i mówiła: - Naprawdę, pani Ledermacher, to nie z jedzenia, my się dobrze odżywiamy, trzy funty kartofli dziennie. - Czasami spotykała panią Mörschel, która przy ostatnim spisie ludności podała swego psa jako Molly Mörschel, płci męskiej, i często wiodła z nim gwałtowne kłótnie na ulicy: - Znowu srasz ludziom pod drzwiami domów! - albo: - Czego stoisz i gapisz się na babska! - A w ciepłe poranki, w lecie, o wpół do piątej, gdy Katarzyna wracała z toalety, żeby położyć się obok spokojnie oddychającego Roberta, nie mogła zasnąć, bo z dołu, od strony ławek na placu zabaw dla dzieci obok kościoła słychać było głosy rencistów, również cierpiących na bezsenność. Czasem zaś, około północy, słyszało się trochę sztuczny, cichy śmiech młodych pedałów sprzed pisuaru pomiędzy kościołem a placem zabaw, który wprowadził nie był już „modny”, odkąd zakłuto tam Afrykańczyka, od czasu do czasu przeżywał jednak krótkie

okresy powodzenia. Wczesnym rankiem Katarzyna lubiła jeździć do biura Orient-Expressem, „czosnkowym” metrem, łączącym turecką dzielnicę w Kreuzbergu ze śródmieściem. Wszystko to było jej potrzebne, fajka kierownika wydziału, włosy Doris, postarzała twarz Gerfrieda. Wiedziała, że będzie jej brak szeryfa-Zobla. Równocześnie wydało się jej głupie, że tak grzecznie siedzi i czeka. Jakby to ją wezwano na przesłuchanie.

Niecierpliwie zeskoczyła ze stołu. W tej chwili otworzyły się drzwi. Wszedł Gerfried, starszy wiekiem policjant mundurowy i pięciu okupujących willę. Funkcjonariusz podszedł natychmiast do Katarzyny i oświadczył, że oskarżonemu Bartłowi zrobiło się niedobrze. Trzeba mu było dać tabletkę i wodę do popicia. Gerfried usiadł obok Katarzyny i otworzył akta.

- Teraz to niepotrzebne - powiedziała. Spojrzała na blade, wyczerpane twarze młodych mężczyzn. Wyobraziła sobie, jak hamburczyk wypytywał ich godzinami, zimno, twardo, równomiernie, w doskonałej kondycji, nie czyniąc żadnego innego ruchu poza poprawianiem od czasu do czasu błyszczących okularów. I pomyślała, że tym pięciu nie pozostanie zapewne z ich tysiąca więcej niż równowartość biletu do podmiejskiego kina. Zwróciła się do małego, ciemnowłosego, na lewo od niej.

- Pan Bartel?
- Tak.
- Ja się nazywam Ledermacher. Lepiej się pan czuje?
- Jako tako. To tylko tak. Nic wielkiego.
- Mamy zamiar wypuścić pana aż do rozprawy.
- Innych też?

Katarzyna uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Wszystkich.

Ulga, ale zarazem nieufność na pięciu twarzach.

- Możecie sobie tu obok odebrać swoje papiery. Ja mam tylko kilka pytań.

Wzrastająca nieufność. Szybkie spojrzenia na narzędzia na małym stole.

- Słucham?

- Kiedy po bójce z funkcjonariuszami policji staliście w ogródku przed domem Am Sandwerder 19 B, czy zauważyliście może coś na ulicy?

Milczenie, brak zrozumienia.

- Na przykład zbliżające się auto. Karetkę pogotowia, która jechała w stronę domu lub wyjeżdżała.

Potrząsanie głowami.

- Już polityczny pytał nas o to. Ale powiedzieliśmy mu: byliśmy oślepieni tymi wszystkimi reflektorami. Naprawdę.

- A potem? - pytała Katarzyna. - Krótco przedtem, zanim was odtransportowano?

- Auto?

- Wtedy nie byliście już oślepieni.

- Nie wiem. Tam przecież stało mnóstwo wozów.

- Kiedy zabrano was wozeem policyjnym. Gdy jechaliście ulicą. Czy na rogu nie stał ciemny mikrobus volkswagen?

Bartel potrząsnął głową. Ale blondyn obok niego, z ciężkimi rękami, skinął nagle.

- Tak - rzekł. - Z kobietą w środku.

- Młodą kobietą? Starszą? - spytała szybko Katarzyna.

- Nie wiem. Raczej starszą. Już nie młodą.

- A poza tym? Zobaczył pan coś poza tym?

Wzruszenie ramion.

- Nie wiem.

- Czy mikrobus miał zasłony na oknach?

- Zasłony?

- Na przykład w czerwono-białą kratkę.

- Tak. Zasłony w czerwono-białą kratkę.

- Dziękuję. To byłoby wszystko, moi panowie. Postarajcie się o adwokata na rozprawę.

Skinęła na policjanta. Wyprowadził pięciu młodych ludzi. Bartel opuszczał pokój ostatni.

- Żleście się sprzedali - powiedziała Katarzyna. - I w kiepskiej sprawie.

Bartel odwrócił się i spojrzął na nią przymrużonymi oczyma:

- Słusznie. Nabrano nas. Ale tysiączek to kupa pieniędzy. Przy trzech patykach miesięcznie łatwo mówić o moralności. - I wyszedł.

- Słusznie - powiedziała Katarzyna.

- Ale on nie ma pojęcia, ile zarabia się w policji - odparł zgrzyźliwie Gerfried i zapalił papierosa.

Kilka minut później znowu siedzieli naprzeciwko siebie w pokoju biurowym Katarzyny.

- Same pytania sugerujące - mówił Gerfried, wciąż jeszcze zgrzyźliwie, i palił. - Gdyby pani spytała, czy nie widzieli na rogu Chińczyka, który powoli bijąc skrzydłami wznosił się ku księżycowi, potwierdziliby, żeby się tylko wydostać.

- Dlaczego Chińczyka? - spytała Katarzyna.

- Tak sobie.

- Na pytanie sugerujące otrzymuje się albo szczególnie głupie, albo szczególnie trafne odpowiedzi - mruknęła Katarzyna.

- Zasłony w czerwonej kratkę! - jęknął Gerfried. - W świetle księżycyca!

- Tak. I kobieta. Także w świetle księżycyca.

Gerfried spojrzął na nią, westchnął.

- Żaden z obecnych funkcjonariuszy i strażaków nie widział mikrobusu marki volkswagen z zasłonami w czerwonej kratkę.

- Na to wygląda - odparła Katarzyna.

Gerfried chrząknął.

- No - powiedział - możemy jeszcze zapytać sąsiadów. Dla pewności. Stali tam przecież i gapili się. Może któryś z nich widział mikrobus.

- Niezły pomysł.

Katarzyna rozpoczęła nową serię cieniowanych trójkątów.

- Ale teraz chciałabym coś usłyszeć o właścicielu domu - powiedziała.

Gerfried zduśił papierosa na spodku pełnym niedopałków, spojrział w akta.

- Eberhard Schmöller, lat 52, właściciel i kierownik firmy budowlanej i handlu nieruchomościami z siedzibą we Frankfurcie nad Menem i Berlinie Zachodnim. Poza tym szef założonego przez siebie przedsiębiorstwa kasacyjnego w Berlinie. Oba przedsiębiorstwa mają w Berlinie siedzibę przy Bundesallee. Od lat toczy się przeciw Schmöllerowi we Frankfurcie kilka procesów z powodu lichwiarstwa mieszkaniowego, wymuszenia, zakłócenia spokoju domowego i uszkodzenia ciała. W Berlinie również od 14 stycznia bieżącego roku toczy się proces z powodu zakłócenia spokoju domowego i wymuszenia. Tego dnia bowiem w należącym do niego domu czynszowym przy Adam-Nitze-Strasse 15 w Kreuzbergu, zamieszkałym przeważnie przez rodziny tureckie, kazał wyrwać wszystkie drzwi i futryny okien. W tym wypadku wykonawcami byli zatrudnieni u niego jugosłowiańscy robotnicy budowlani.

Katarzynie zdawało się, że przypomina sobie tę kamienicę. Przed trzema laty na Adam-Nitze-Strasse miała do czynienia z rockerami. Poza tym pamiętała, że kilka tygodni temu Robert czytał jej z „Tagesspiegla” wywiad z właścicielem domu przy Adam-Nitze-Strasse. Co rano, gdy nakładała cienie na powieki i jadła śniadanie, Robert czytał jej najważniejsze wiadomości z dwóch, trzech gazet.

- Dołączyłem do akt - rzekł Gerfried - fotokopię artykułu zajmującego się tymi sprawami. Ostatnia turecka

rodzina opuściła wczoraj dom, praktycznie od 14 stycznia nie nadający się do zamieszkania. Tylko niemiecka rencistka pozostała na pierwszym piętrze. Nie chce wyprowadzić się pod żadnym warunkiem. Cóż, moje próby skontaktowania się z panem Schmölllerem były daremne. Przez cały czas Schmölller był we Frankfurcie i nawet telefonicznie nie można go było złapać. W najbliższych dniach, jak zapewnia berlińskie biuro, przyjedzie co prawda tutaj. Niezależnie od tego nie wolno przeoczyć pewnej paraleli między zajściami na Adam-Nitze-Strasse i Am Sandwerder. Oba tak samo służą Schmölllerowi. Czy orientuje się pani, jak funkcjonuje towarzystwo kasacyjne?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też wiem coś o tym dopiero od kilku dni. Gdy hamburczyk zabrał nam naszą robotę, poszedłem po prostu do „pralni”.

Referat W, przestępstwa gospodarcze, w żargonie innych urzędników policji kryminalnej nazywał się „pralnią”, ponieważ ci naprawdę znaczący kryminaliści w tej dziedzinie, wielcy przestępcy podatkowi z Lichtensteinu, paskarze z EWG, transferowcy, importerzy, eksporterzy i doświadczeni bankruci, po pracochłonnych i długotrwałych dochodzeniach miewali zazwyczaj czystsze ręce niż przedtem. Koledzy z „pralni” uchodzili też za lewicowców. Co oznaczało, że byli strasznie ostrzy, strasznie krytycznie nastawieni do systemu i niemal zupełnie pozbawieni sukcesów.

- Według nich - rzekł Gerfried - sprawa toczy się mniej więcej tak: Pewien dentysta, powiedzmy z Wiesbaden, musi zapłacić pięćdziesiąt tysięcy marek podatków. I ma też pięćdziesiąt tysięcy w banku. Jeżeli teraz w ramach ustawy o pomocy Zachodniemu Berlinowi wsadzi tych pięćdziesiąt tysięcy w jakieś berlińskie przedsięwzięcie budowlane, zamiast przekazać urzędowi finansowemu, po

pierwsze nie musi płacić należnych podatków i po drugie, jeżeli będzie zważał na to, żeby nie mieć dochodów, jeszcze coś za to dostanie. Od państwa. - Ponieważ Katarzyna milczała, dodał ociągając się: - Ulgi w odsetkach i tak dalej.

- Aha - rzekła Katarzyna. - Ulgi w odsetkach i tak dalej.

- Tak - odparł Gerfried. - Firma kasacyjna musi oczywiście składać się z przedsiębiorstwa budowlanego i nadrzędnej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

- Oczywiście.

- Albo odwrotnie - Gerfried poskrobał się długopisem za uchem.

- Albo odwrotnie, jasne - rzekła Katarzyna.

- W każdym razie firma nadrzędna musi w sumie mieć więcej strat, niż podporządkowana przynosi ewentualnie zysków. Wtedy zgadza się.

- Co się zgadza?

- Zysk dla dentysty z Wiesbaden.

- Ach, tak - powiedziała Katarzyna.

- Schmöller ma pieniądze z interesów w handlu nieruchomościami i ze swoich kamienic czynszowych. Dzięki nim otwiera w Zachodnim Berlinie firmę budowlaną. A że dentysta z Wiesbaden, tak jak stu dwudziestu innych dentystów czy adwokatów z Republiki Federalnej, chce ciągnąć zyski w Berlinie, daje pieniądze Schmöllerowi. On idzie z własnymi pieniędzmi i pieniędzmi dentystów i adwokatów do senatu miasta Berlina i powiada: chcę zbudować hotel. W odpowiedzi otrzymuje różne ulgi, czasami tak wysokie, że wcale nie musi korzystać z własnych i cudzych pieniędzy. Kupuje stare domy, burzy je i buduje hotel. Kiedy hotel jest gotowy, musi uważać, żeby przez dwa lub pięć lat nie dawał dochodu. Wtedy dentysta z Wiesbaden i Schmöller mogą już wyciągnąć swoje pieniądze.



- W jaki sposób?
- Dzięki odszkodowaniu za straty.
- Aha - odparła Katarzyna.
- Tak - rzekł Gerfried. - Tak to się nazywa. Potem

Schmöller przebudowuje hotel na dom apartamentowy, sprzedaje te apartamenty, a wtedy dentysta z Wiesbaden i Schmöller zyskują po raz drugi.

- Ach, tak - powiedziała Katarzyna.

- W zasadzie takie rzeczy udają się, na przykład, również z drukarniami, fabrykami, ze wszystkim, co stwarza miejsca pracy. Odnośne firmy nie mogą nigdy przynosić dochodów. Kombinacja: hotel-apartamenty jest jednak specjalnością Schmöllera. Wszystko legalne, rozumie się. Ale w ostatnim czasie przeliczył się. Jak wszyscy przedsiębiorcy budowlani musi się zdrowo natrudzić. Poza tym ustawa o pomocy Berlinowi Zachodniemu ma być zniesiona lub zmieniona, muszą mi to jeszcze raz wytłumaczyć. Dla Schmöllera oznacza to, że tłuste lata jego towarzystwa kasacyjnego kończą się. Musi pospieszyć się, żeby przepchać bieżące projekty. Prawdopodobnie nie liczył się z tym, że nie będzie mógł budować na ulicy Am Sandwerder i że jego dom czynszowy przy Adam-Nitze-Strasse zostanie uznany za zabytkowy. Ale gdyby oba domy były zniszczone, mógłby swobodnie dysponować parcelami.

Katarzyna zsunęła się z kaloryfera, usiadła za biurkiem, zapaliła stojącą lampę i zaraz ją zgasiła, spojrziała na szare domy po przeciwległej stronie ulicy. Widziała, że szyby w oknach jej gabinetu są brudne.

- Czy pan wie, co się dzieje, gdy zapalam światło? - spytała nagle. - Dlaczego kilka drucików w żarówce zaczyna się żarzyć, kiedy naduszę ten guzik? Wiem, co to jest prąd indukcyjny. Ale nie mam zielonego pojęcia o tym, jak i dlaczego funkcjonuje elektryczność. A pan?

Gerfried zastanawiał się.

- Nie - odparł w końcu poważnie.

- Zatem jesteśmy ludźmi, którzy nie wiedzą, jak funkcjonuje elektryczność, i którzy nie wiedzą, jak funkcjonuje gospodarka.

- Jak funkcjonuje gospodarka - rzekł Gerfried - nie wiedzą nawet ci, którzy są odpowiedzialni za jej funkcjonowanie.

- Nie wiem, czy to dla nas pocieszające - mruknęła Katarzyna. Wstała. - No, dobrze. Uważam, że doskonale prowadził pan dotychczas dochodzenia w sprawie Hildegardy. Nie chcę się też w to wtrącać.

- O - rzekł Gerfried zaniepokojony.

- Co proponuje pan zatem jako następny krok?

- Nie chciałbym proponować - oświadczył Gerfried straszliwie skrzypiącym basem. - Pani tu jest szefem.

- Gerfried - powiedziała Katarzyna.

- Słucham - odparł Gerfried.

Katarzyna zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po przekątnej pokoju, starannie omijając meble. Jeżeli nie siedziała na grzejniku, potrzebowała przekątnych. Na tej tu przeszkadzał tylko jeden kant biurka. Dlatego Katarzyna stale miewała sińce na lewym udzie.

- Sądząc po wszystkim, czego się dziś dowiedziałam, jest jeszcze za wcześnie, żeby rozwijać plan wyjaśnienia sprzeczności, wobec których stoimy. - Katarzyna mówiła chodząc tam i z powrotem, powoli i ceremonialnie. Przybrała swój urzędowy ton, jak to nazywała Katinka. - Najpierw musimy głębiej wniknąć w sprzeczności.

Gerfried miał nieszczęśliwą minę. Nienawidził, kiedy sprawa po jakimś czasie nie stała się przejrzysta, cierpiał, gdy możliwość rozwiązania nie rysowała się choćby w oddali. Ale musiał zgodzić się z Katarzyną. Skinął głową.

- Zatem proszę, żeby pan nadal utrzymywał kontakt z kapitanem Marlowe'em i wziął pod lupę Towarzystwo Skupu i Sprzedaży w Bremie. W ogóle proszę zrobić wszystko, co pan uzna za słuszne, żeby wyjaśnić

pochodzenie granatu. Chodzi nie tylko o stwierdzenie tożsamości Hardinga-Sieberta, lecz również o pochodzenie papieru pakunkowego firmy zabawkarskiej. Ja idę dziś po południu do doktora Troncka. Potem zajmę się zawodowcami od karetek sanitarnych.

Gerfried podniósł się, skinął głową. Katarzyna nie lubiła, gdy prócz niej ktoś stał w pokoju lub co gorsza chodził. Usiadła więc, sięgnęła po akta. Gerfried patrzył na swój gruby, połyskujący zegarek, który wskazywał dzień tygodnia, datę, wilgotność i ciśnienie powietrza, dziesiąte części sekundy, a poza tym, jak twierdził Zobel, zawierał pojemnik z piaskiem do pielęgnowania strun głosowych Gerfrieda.

- Mam umówione spotkanie z kapitanem Marlowe'em - rzekł Gerfried. - Chce mnie skontaktować z tym sierżantem. Będziemy jednak musieli uważać, żeby Anglicy nie przechwycili nam sprawy z powodu trzech granatów. Jako alianckie mocarstwo gwarantujące mieliby do tego prawo.

W drzwiach do sąsiedniego pokoju przystanął i zwrócił się do Katarzyny:

- Poza tym - szepnął - czy nie uważa pani za niebezpieczne, że pani córka utrzymuje kontakty z anarchistami?

- Owszem - odparła. - Jabłoń, która pada niedaleko od jabłka. To pan miał na myśli.

Gerfried uśmiechnął się ponuro.

- Niezupełnie. Czy mam zabezpieczyć wszystkie ciemne mikrobusy marki volkswagen z czerwono-białymi zasłonami?

- Dobrze by było - odparła Katarzyna.

## 6.

Katarzyna umówiła się z Katinką na obiad w lokalu przy pobliskim Bayerischer Platz. Komisarze mieli tam swój stały stół. Musiała wyjść dopiero za pół godziny. Kiedy Gerfried znacząco cicho zamknął za sobą drzwi, przez chwilę siedziała przy biurku, zastanawiała się, zapaliła lampę na biurku i zgasiła ją. Potem przebiegła oczyma ostatnie wydanie powielanego biuletynu informacyjnego dla policji kryminalnej, które nadeszło w czasie jej nieobecności. W końcu otworzyła teczkę z fotokopią artykułu z „Tagesspiegla”.

Na środku strony widniało zdjęcie domu przy Adam-Nitze-Strasse 15. Poza konturami na kopii prawie nic nie było widać. Na lewo od zdjęcia wydrukowano rozmowę reportera ze Schmölllerem, na prawo rozmowę reportera z rzecznikiem senatora do spraw budowlanych. W tekście umieszczono głowy Schmöllera i rzecznika. Oczywiście z kopii prawie nie podobna było rozpoznać rysów twarzy Schmöllera.

Katarzyna opuściła wstęp redakcyjny ponad zdjęciem domu i zaczęła czytać od razu od pierwszej rozmowy.

Reporter: Panie Schmölller, opinia publiczna jest zaniepokojona zajściami w domu przy Adam-Nitze-Strasse 15.

Schmölller: Nie udzielę prasie żadnego wyjaśnienia. Wszystko się tam przekręca.

Reporter: Panie Schmölller, dom przy Adam-Nitze-Strasse 15 podlega ustawie o ochronie zabytków. Jest to budynek Philippa Roseniusa, jedyny, jaki zachował się jeszcze w Berlinie. Architekt, projektujący wille, Rosenius, prekursor stylu secesyjnego, nauczyciel Henry'ego van der Velde i Miesa van der Rohe, przeszło sto lat temu zbudował

ten dom jako przykład humanistycznego planowania mieszkań na terenie gęsto zaludnionego, wielkiego miasta. Założył ogród i plac zabaw dla dzieci, oba boczne skrzydła kamienicy były prawdziwymi domami ogrodowymi, zamiast stęchłej, śmierdzącej oficyny.

Schmöller: Wiadomo. Po co pan to opowiada.

Reporter: Budynki ogrodowe zniszczyła wojna. Resztę ogrodu zabrała nowa kreuzberska ulica szybkiego ruchu. A pan, panie Schmöller, wrywa ze zdanego jeszcze do zamieszkania domu drzwi i futryny okien.

Schmöller: Konieczne środki, łaskawco.

Reporter: Chce pan wykurzyć lokatorów z domu?

Schmöller: Protestuję jak najostrzej przeciw temu pomówieniu. Prawda jest, że ci Turcy od miesięcy nie płacili czynszu. Wypowiedziałem im zgodnie z ustawowym terminem i mogę teraz swobodnie rozporządzać moją własnością. A po to, żeby nadmiernie zużyte pomieszczenia uczynić atrakcyjnymi dla lepszych lokatorów, trzeba wymienić drzwi, podłogi, okna.

Reporter: Lokatorzy mówią, że nie płacą czynszu, ponieważ odciął pan dopływ wody i nie zapłacił w BEWAG rachunków za światło - z sum, jakie lokatorzy punktualnie panu wpłacali.

Schmöller: To jest pomówienie.

Reporter: Wśród lokatorów jest berlińska rencistka. Ostatnia, która pozostała z dawnych lokatorów, kiedy pan, panie Schmöller, powoli zapełniał dom cudzoziemcami.

Schmöller: Co pań ma przeciwko cudzoziemcom? Nic nie poradzę na to, że nikt nie chce mieszkać z nimi pod jednym dachem. Stara pani Baier, Teresa, została, owszem, ona płaciła czynsz już ojcu poprzedniego właściciela. Niestety, dała się podburzyć.

Reporter: Pańska bojówka, panie Schmöller, podobno była uzbrojona. W żelazne łomy i pałki gumowe.

Schmöller: Protestuję przeciwko wyrażeniu „bojówka”.

Na szczęście mam także przyjaciół wśród cudzoziemskich robotników, Jugosłowian, około jedenastu, bardzo porządni ludzie. Chętnie mi pomagają, kiedy mam trudności. Nie mieli przy sobie łomów, tylko mały, żelazny drąg, który leżał przed domem, wzięli go, bo tamci Turcy im grozili. Ostatecznie muszą się bronić. Moich domów we Frankfurcie też bronią w ten sposób, pomimo Juso i komunistów. A jeżeli moja własność w Zachodnim Berlinie nie jest już bezpieczna, jeżeli Juso i komuniści tutaj także dochodzą do głosu, wycofam kapitały z moich berlińskich projektów.

Druga rozmowa była krótsza:

Reporter: Czy budowla Roseniusa zostanie zachowana?

Rzecznik senatora od spraw budowlanych: Budowla Roseniusa zostanie bezwarunkowo zachowana. Nie padnie ofiarą ani prywatnej spekulacji, ani drogi szybkiego ruchu.

Reporter: Dom Roseniusa jest w żalonym stanie. Wszyscy lokatorzy, z wyjątkiem jednej tureckiej rodziny i niemieckiej rencistki, opuścili kamienicę. Wyrwanych futryn okiennych ani drzwi nie zastąpiono nowymi. Przez uszkodzony dach przedostaje się wilgoć. Wkrótce wtargną tam z zewnątrz młodzi ludzie i zajmą dom. Pewne grupy już to zapowiedziały.

Rzecznik: Porusza pan problem, na który rzeczywiście patrzymy z troską. W zasadzie właściciel ma prawo zmieniać wnętrze, modernizować, ma też obowiązek przeciwdziałać zniszczeniu. Zanim będziemy mogli interweniować, trzeba starannie zbadać, czy nastąpiło naruszenie przepisów.

Reporter: Czy pan wie o tym, że przeciwko Schmöllerowi od lat toczą się procesy? Na przykład: o lichwę mieszkaniową, wymuszenie, zakłócenie spokoju

domowego, uszkodzenie ciała. Również w związku z zajściami na Adam-Nitze-Strasse złożono skargę.

Rzecznik: Procesy nie zostały jeszcze prawomocnie rozstrzygnięte. Poza tym dzięki Schmölllerowi zainwestowano u nas dużo kapitału z Republiki Federalnej. Nie chcemy lekkomyślnie odstraszyć reprezentowanych przez Schmöllera udziałowców. Z drugiej jednak strony musimy starannie zbadać, czy Schmölller w dalszym ciągu zasługuje na nasze zaufanie.

Reporter: Jeszcze jedno pytanie: Czy pan jest pewien, że Schmölller nie planuje przy nadarzającej się okazji zburzenia domu Roseniusa i zbudowania wysokościowca biurowego przy nowej drodze szybkiego ruchu?

Rzecznik: Budowla Roseniusa nie padnie ofiarą ani prywatnej spekulacji, ani nowej drogi szybkiego ruchu.

Do fotokopii była doczepiona kartka z odręczną uwagą Gerfrieda: „Schmölller zaskarżył «Tagesspiegel» o niezgodne z prawdą podanie jego wypowiedzi, pomówienie i szkodę w interesach”.

Katarzyna zamknęła teczkę, nacisnęła guzik lampy, w porę zauważyła, że zaczyna wpadać w manię, i przestała zapalać i gasić lampę. Wstała, wyjęła z szafy płaszcz z jagnięcej skóry i przeszła do sąsiedniego pokoju. Wzięła kartkę z biurka Gerfrieda i napisała: „Czy da się jeszcze stwierdzić, przy pomocy jakich drągów Jugosłowianie zdemolowali 14 stycznia dom na Adam-Nitze-Strasse? Czy istnieje możliwość porównania tych drągów z drągami Sieberta? K.L.”

Chciała już opuścić pokój Gerfrieda, ale wróciła, szukała w książce telefonicznej w rubryce „urzędy”. Potem telefonowała do różnych działów budowlanych senatu, żeby się dowiedzieć, jakie prywatne i publiczne inwestycje

są przewidziane przy nowej drodze szybkiego ruchu w Kreuzbergu i jakie istnieją ograniczenia dla will nad brzegiem Wannsee, zwłaszcza Am Sandwerder. Ale ponieważ była to pora obiadowa, trzykrotnie nie zastała nikogo, a potem nowo zatrudnioną na zastępstwo sekretarkę, która ziała chleb informując, że pan kierownik wydziału jest na obiedzie.

W pokoju Katarzyny, na biurku, zabrzączał telefon. Pozwoliła mu brzęczeć, opuściła pokój Gerfrieda drzwiami prowadzącymi na korytarz, po drodze na klatkę schodową otworzyła jeszcze szybko jedne drzwi i zawołała do środka: - Kranach, gdyby coś było, wróć do biura koło szóstej. - Pobiegła na górę, na czwarte piętro i zaraz z powrotem do wyjścia. Chciała wypróbować, czy urlop przywrócił jej sprawność. Ponieważ wszyscy koledzy jeździli windą, spotkała tylko jednego, starszego otyłego pana ze staromodną, brązową teczką, który rozglądał się niepewnie na pierwszym podejście schodów, a gdy zobaczył zbiegającą Katarzynę, zwrócił się ku niej:

- Przepraszam, gdzie się tu idzie do przestępczości gospodarczej, do...

Ale ona minęła go już i wybiegła drzwiami. Na ulicy stwierdziła zadowolona, że puls był tylko trochę przyspieszony. Oddychała szybciej, ale nie była zadyszana. Jest zatem w dobrej formie. Wiosenny wiatr niósł brudny papier przez Gothaerstrasse. Lekkim klusem biegła z Gothaerstrasse na Grunewaldstrasse i przeciskała się między przechodniami w kierunku Bayerischer Platz.

Minęła dziewczynę, której zwinięte w loki ciemne włosy opadały poniżej ramion. Miała podobny płaszcz z jagnięcej skóry jak Katarzyna, tylko że prawie nowy. Trochę do środka stawiane nogi tkwiły w drogich, ale brudnych botkach. Katarzyna przystanęła, odwróciła się, teraz już nie mogła złapać tchu.



- O Boże, mamó - powiedziała dziewczyna. - Wy-sportowana czterdziestolatka.

Katarzyna miała już na języku odpowiedź: O, już musisz mnie postarzać. Zadowolili się jednak staraniami, by dyszeć mniej widocznie. Katinka śmiała się kpiąco.

Dłubiąc widelcem w sałacie Katarzyna obserwowała twarz swojej córki, skierowaną poważnie na talerz z „lasagne al forno”. Brwi były mocno zaznaczone. Zrastały się nad nasadą nosa. Gdy Katinka marszczyła czoło, wyglądała trochę ponuro. A usta, choć ładnie uformowane, były trochę za duże. Ale łagodnie wygięty nos, duże, błyszczące szare oczy, swobodnie skręcające się włosy czyniły z niej piękność, w tej chwili niemodną i dlatego zwracającą jedynie uwagę znawców. Zwłaszcza że Katinka nie robiła nic, żeby osiągnąć lub podkreślić efekt przy pomocy ubrania. Katarzyna i tak uważała, że jej córka tylko nago wygląda niemalże doskonale, wyjąwszy lekko iksowate nogi, co z drugiej strony wśród znawców uchodziło za szczególną oznakę kobiecej piękności, oraz złe przyzwyczajenie Katinki, żeby stawiać długie nogi lekko do środka. W dzinsach, pulowerze i butach ciało jej traciło harmonię, ramiona wydawały się niemal męskie, stopy jeszcze większe, piersi małe. Katinka niewiele się tym przejmowała. Przed pięciu laty szwajcarska nauczycielka zwróciła jej uwagę, że musi się na to przygotować, iż stanie się kobietą. Na co trzynastoletnia Katinka zdecydowanie odparła: - Nie chcę być kobietą. Chcę być człowiekiem płci żeńskiej.

Katarzyna stwierdziła, że siedzący przed nią człowiek płci żeńskiej robi wrażenie napiętego. Katinka bardzo niechętnie przysłała do „lokalu glin”. Ale matka wytłumaczyła jej dziś rano, że pierwszego dnia w pracy będzie miała mało czasu, a musi możliwie jak najszybciej

porozmawiać z córką, bo chce zaprotestować u Möllinga w sprawie dewastacji mieszkania. Poza tym w lokalu glin, mimo szybek w ołowianej oprawie i roślin doniczkowych, można szybko i dobrze zjeść, gospodarz robi świetny stek z pieprzem, a Luigi, kelner, przyrządza czasem, gdy ma ochotę, genueńskie smakołyki. Ale Katinka nie chciała zamówić polecanego przez matkę spaghetti al pesto. W każdym razie skinęła głową, gdy Katarzyna oświadczyła, że musi się o niej trochę więcej dowiedzieć, niż wie dotychczas.

- Na przykład kim są ci ludzie, twoi przyjaciele. Mam na myśli tych, o których ty sądzisz, że chcą zająć jakiś dom.

- Rozumiem - odparła Katinka.
- Wczoraj nie miałyśmy okazji o tym porozmawiać.
- Tak, zaraz byłaś zajęta.

Przerwa.

- Zazdrość? - spytała Katarzyna.

- Chyba nie. Właściwie wcale. Tylko że ty robisz przy tym tyle hałasu - rzekła Katinka i włożyła do ust duży kawałek lasagne.

- Tak?

- Tak. Właściwie nic dziwnego, kiedy widzi się twojego kumpla w akcji.

- Widzi się?

- Widzi. Chciałam tylko o coś ciebie zapytać. Normalnie zanim zaśniecie, objacie się, pijecie i gadacie. No więc nie myślałam o tym i wpadłam jak bomba. Byliście już właśnie w trakcie. - Katinka wsunęła sobie dalsze wielkie kawałki lasagne do ust. Żując mówiła dalej. - Poza tym pomyśl o mojej sytuacji. Ostatecznie mieszkacie razem z dziewicą. A ta widzi coś takiego i chciałaby w końcu także. Ale typy, które znam, mają za dużo pryszczy i kompleksów, co nie działa szczególnie zachęcająco. A więc - mówiła Katinka - w ostatnim tygodniu miałam czas, żeby zastanowić się nad moją sytuacją. Moim problemem jest to, że ciebie lubię. Lubię też Roberta. Strasznie

chętnie przebywam razem z wami. Ale jak się usamodzielnić? Inne typy albo mają ciągle awantury z rodzicami, albo żyją obojętnie obok nich. W każdym razie mają tylko jedno dążenie: możliwie jak najprędzej wyrwać się z domu. Ale ja, skąd mam wziąć takie dążenie? Twoją negatywną stroną jest twój zawód. Ale nie jest dostatecznie negatywny, rozumiesz? Co prawda czasami zastanawiam się, jak ty możesz brać na siebie taką odpowiedzialność. Mam na myśli, że pracujesz w policji.

- Ja sama też się nad tym zastanawiam - odparła Katarzyna. - Nieomal co dzień.

- Hu, coś takiego. A kiedy twoi kumple demolują ci mieszkanie, tobie i innym ludziom, co wtedy? Czy wtedy też się zastanawiasz?

- Tak - odparła Katarzyna spokojnie. - Oczywiście.

- I zawsze masz zapewne jakąś pocieszającą odpowiedź na podorędziu.

- Odpowiedzi, jakie sobie daję, rzadko bywają pocieszające. Bo ja w przeciwieństwie do ciebie jestem dosyć niezdecydowana.

- Ach.

- Tak. Potrzebuję czegoś, co zmusza mnie do dyscypliny. Muszę coś robić, coś planować, coś wygrzebywać, w czymś dłużyć. Dlatego zgłaszam się na kursy, zdaję egzaminy i pozwalam przypiąć sobie taki głupi tytuł jak nadkomisarz. Muszę pchać siebie naprzód.

- I do tego potrzebne ci trupy. Do pchania siebie naprzód.

- Mówię ci przecież, że jestem dosyć niezdecydowana. Dla większości ludzi, którzy kradną, mam zrozumienie. Oburzam się najwyżej na sutenerów, nie na dziwki. Ale zupełnie nie rozumiem, jak ludzie mogą nawzajem się zabijać. Dopóki nie ma u nas kary śmierci, dopóty mogą pracować w moim zawodzie. To znaczy dopóki istnieją widoki, że pomimo wszelkich porażek, odejdziemy w

ogóle od prawa karnego, od karania. I przejdziemy do diagnostyki i terapii chorób społecznych. Coś w tym rodzaju. Sądę, że to właśnie chciałaś ode mnie usłyszeć.

Przerwa.

Katinka żuła trzymając pusty widelec.

- Za niezdecydowaną to ciebie nie uważam - odparła.  
- Ale wobec tego jaka jestem właściwie ja, skoro mam być twoim przeciwieństwem?

- Macierzyńska.

Katinka opuściła widelec na talerz.

- Ja?

- Tak.

- Macierzyńska?

- Gdybym miała małe dzieci, powierzyłabym je tobie natychmiast.

Katinka przez chwilę patrzyła na matkę ze ściągniętymi brwiami i milczała.

- Słowo daję - szepnęła potem - ty naprawdę masz bzika. Macierzyńska. - Nagle potrząsnęła czupryną. - Wszystko jedno. Ostatecznie to twoja sprawa, macierzyńska czy nie, u mnie tak wygląda: kumple, o których ci mówiłam, ci z Kreuzbergu, zajmują w tej chwili dom.

- Adam-Nitze-Strasse 15?

- Popatrz no. Znasz już adres. W kilku szkołach zbierano dziś na zajmujących dom, żeby mogli zapłacić za światło i wodę. Ja przynoszę z naszej szkoły dziewięćdziesiąt siedem marek i spotkam się zaraz z kolegami z innych szkół. Wpłacimy pieniądze. Jeżeli będziemy mieli szczęście, BEWAG dziś jeszcze włączy. A żebyś była zorientowana: oni nie mają nic wspólnego z podkładaniem bomb i rzucaniem granatów Nie bawią się z państwem w złodziei i policjantów, nie urządzają krwawego festiwalu à la Karol May, żeby potem nic się nie zmieniło, tylko państwo zostało bardziej splugawione. Co nie może leżeć w interesie tych, którym się dostatecznie marnie powodzi.

- Czego chcą twoi przyjaciele?
- Będziesz mogła przeczytać sobie jutro w „Tagesspiegel”. Mają tam reportera w lokalnej, wcale niezły. Towarzysze już go poinformowali.
- Moja mała.

Katarzyna postanowiła sobie nie zwracać się więcej do córki per „moja mała”. Ale jej się to nie udawało. Katinka uśmiechnęła się wyrozumiale.

- A zatem - powiedziała Katarzyna - przystępujesz aktywnie do towarzyszy.

- Jak ty mówisz. - Wyrozumiały uśmiech Katinki zniknął. - Poza tym w ogóle nie przystępuję. Myślisz, że chcę choćby krztynę upodobnić się do tych cherlaków, którzy nie mogą poradzić sobie z seksem i dlatego chcą wywołać rewolucję światową? A poza tym jestem dosyć mieszczańskiego pochodzenia, ojciec zamożny Szwajcar, matka policjantka średniej rangi, uświadom to sobie. Nie mogę udawać, że należę do subproletariatu i muszę walczyć w wyzwolenie. Ja mogę tylko zdradzić własną klasę.

Katarzyna uśmiechnęła się.

- Ale muszę to zrobić z sensem - powiedziała Katinka poważnie - jeżeli to ma pomóc innym. Poza tym jest tam kobieta, która by ci się podobała. Zrobiła z czegoś tam doktorat, ale pracuje w służbie socjalnej. Też taka niezdecydowana, która popycha siebie naprzód. Poza tym daj mi adres twego doktora. Chciałabym chociaż wiedzieć, jakiego rodzaju pigułki muszę brać, gdyby kiedyś doszło co do czego.

- Czy twoi towarzysze nie mają lekarzy? Ściśle mówiąc, interesowałoby mnie kilka aktualnych nazwisk.

- Tak też sobie myślałam, mamusiu. Dlatego nie pójdę do żadnego z nich. Dlatego chcę pójść do twojego - odparła Katinka i wstała.

## 7.

Doktor Tronck mieszkał w starej, ongiś przyzwoitej, teraz trochę podupadłej kamienicy w starej części Charlottenburga, niedaleko zamku i w pobliżu tak zwanego „mokrągą trójkąta”. Przed kilkoma laty cały blok domów zarysował się tam i został rozebrany, bo kamienice zrazu powoli, potem nagle bardzo szybko zaczęły tracić oparcie na podmokłym charlottenburskim gruncie, szpary w murach powiększały się z dnia na dzień i ściany rozsuwały się na boki. Również dom, w którym mieszkał stary lekarz, miał już rysy i na ulicy przebąkiwano, że teraz przyjdzie kolej na niego.

Katarzyna weszła po skrzypiących schodach na czwarte piętro. Wytarty, lecz dosyć czysto utrzymany chodnik, pokrywający stopnie, był przytwierdzony przy pomocy mosiężnych drążków. Na co drugim stopniu leżał luźny drążek, od trzeciego piętra nie było w ogóle chodnika, tylko wydeptane stopnie.

Drzwi mieszkania wyglądały, jakby je również zdeptało. Były tylko lekko przymknięte. Katarzyna ostrożnie je otworzyła. Znalazła się w małym, dosyć ponurym przedpokoju, prawie całkowicie zastawionym przez ciężki dębowy wieszak na ubrania z lustrem i brązowym pojemnikiem na parasole w kształcie słoniowej nogi. Za drzwiami naprzeciwko słyszała kroki na skrzypiących deskach podłogi, potem niecierpliwy starczy głos. Podeszła bliżej do drzwi. W lustrze widziała niewyraźnie własną sylwetkę. Pochyliła się naprzód, żeby coś usłyszeć. Postawa ta wydała jej się w lustrze przesadzona, przypominała pozę, jaką przybrała w jakiejś przed laty oglądanej bulwarowej sztuce podsłuchująca gospodyni, więc wyprostowała się.

Za drzwiami pokoju ciężki astmatyczny oddech, zbliżający się starczy głos, któremu towarzyszyły gwizdzące i

syczące dźwięki:

- Usiądźże wreszcie. Zdejm majtki. Dalej na fotel.

Głos dziewczyny, trochę dalej, z wyraźnym heskim na-  
lotem, mimo starania o poprawność wymowy.

- Panie doktorze...

- Zamknij się.

- Ale ja przecież panu...

- Spokój. Siedź wreszcie spokojnie. A jutro przynieś  
łaskawie pieniądze, rozumiesz. Osiemset marek i czyste  
prześcieradło. Rozumiesz?

- Wolę już sobie pójść.

Łomot, jakby ktoś przewrócił krzesło.

- Bydłę. Idź do Schulza, zrobi ci to taniej i źle.

Pchnięto drzwi pokoju. Katarzyna dwoma krokami  
znalazła się znowu za drzwiami mieszkania. Ale nie miała  
już czasu, by je zamknąć. Stary, przysadzisty mężczyzna  
biegł przez korytarz w kierunku Katarzyny, patrzył na nią  
przez binokle. Miał niezwykle wielką, łysą głowę z nie-  
zwykle dużymi uszami i zapewne tylko jeden jedyny ząb,  
siekiacz, którym przygryzał dolną wargę. Zdeformowany,  
rozwścieczony królik.

- Czego pani chce? - szczeakał królik. Za nim ukazała  
się zmieszana, jasnowłosa dziewczyna, nakładająca  
płaszcz.

- Przychodzę z Klubu Książki Medycznej - powie-  
działa Katarzyna. - Chciałabym się zapytać...

- Klub Książki Medycznej? Bzdury. Dlaczego drzwi  
nie były zamknięte? To ty zostawiłaś otwarte drzwi - par-  
sknął królik na dziewczynę - ty, głupia gęś?

- Myślę, że nie - powiedziała dziewczyna próbując  
przedostać się obok lekarza na schody

- Ach, ty myślisz, że nie. Ale były otwarte. Na  
oścież!

Doktor Tronck trzymał ręką drzwi mieszkania i poru-  
szał nimi gwałtownie tam i z powrotem.

- Wynoś mi się stąd! Rozumiesz? A ty, czego tak

sterczysz. Klub Książki Medycznej! Włącz do pokoju, jazda!

- Przyjdę chyba kiedy indziej - odparła Katarzyna, tymczasem tamta szybko wymknęła się i stała już za nią, gdy lekarz powiedział nagle cichym, łamiącym się głosem:

- No, to wynoście się obie. Ale migiem!

Katarzyna zobaczyła na chwilę naznaczoną cierpieniem i samotnością, nieforemną twarz starego człowieka.

- Myślicie, że tylko na was czekałem? - szczerknął jeszcze doktor Tronck, zanim ostrożnie, niemalże bezszelstnie zamknął drzwi.

Jasnowłosa dziewczyna zapinając płaszcz uśmiechnęła się do Katarzyny ze zmieszaniem i ulgą zarazem. Była wysoka, silna, chyba w wieku Katinki, najwyżej dwadzieścia, miała świeżą, otwartą twarz, czapkę z imitacji skóry, której zapewne nie zdejmowała nawet u doktora Troncka i modnie skrojony płaszcz. Katarzyna pomyślała, że dziewczyna, wystrojona po miejsku, na pewno pochodziła ze wsi. Uśmiechnęła się do niej.

- Chodźmy - powiedziała.

Na podeście pierwszego piętra dziewczyna stanęła, pochyliła się i umocowała zluźniony mosiężny drążek.

- Jakby się kto potknął - powiedziała dziewczyna, prostując się - mógłby upaść.

- Napijemy się razem kawy? - spytała Katarzyna.

- Chętnie - odparła dziewczyna. - Bensch, Lotti.

- Katarzyna Ledermacher.

- Miło mi - odparła Lotti Bensch i podała Katarzynie rękę.

Z okien narożnej kawiarni można było patrzeć na bezlistne drzewa charlottenburskiej Schloßstrasse. I na okropnie zaniedbane fasady starych domów, w których ponad warsztatami, małymi przedsiębiorstwami i ochronkami dla dzieci na” parterze gnieździł się renciści, hiszpańscy i jugosłowiańscy robotnicy, wspólnoty mieszkaniowe,



studenci, włóczędzy i handlarze starzyzną. W lecie siadywali wieczorem w wąskich ogródkach przy domach, pod drzewami, między zardzewiałymi samochodami. Blade dzieci bawiły się dokoła nich. Twarze starych były zniszczone, młodych nieufne, kobiet twarde. Melancholijnie wyglądały już młode dziewczyny w babcinych ciuchach, długich, wystrzępionych spódnicach, ciemnych szalach albo w dżinsowych bluzach chemicznie zrobionych na stare, których producenci kunsztownie wystrzępili szwy, jakby rękawy zostały wyrwane. Teraz ulica wyglądała pusto, dom, który Katarzyna widziała, opuszczony. Tylko wielkie żółte słońce z papieru, przyklepione od wewnątrz do czarnych szyb bez zasłon, wskazywało na to, że może za nim mieszkały dzieci.

Katarzyna i Lotti siedziały naprzeciw siebie na zgrabnych, biało lakierowanych, żelaznych krzesłach. Niebo znowu zaciągnęło się chmurami, ściemniło się. Przed Katarzyną obok filiżanki kawy stał kieliszek czystej. Lotti grzecznie odmówiła ze względu na swój stan. Nie zdawała sobie sprawy, że bierze wzgląd na coś, czego właśnie chciała się pozbyć.

Mówiła przyjaźnie i szczerze, a Katarzyna pomyślała o Robercie, który zawsze twierdził, że Katarzyna posiada rzadki dar budzenia zaufania. Z drugiej strony sama była gotowa zaufać. Nigdy by jej tylko nie przyszło do głowy zaufać komuś z policji kryminalnej. Albo w ogóle jakiemuś człowiekowi na służbie państwowej. Jej nieufność w stosunku do osób wyżej postawionych lub urzędowych sięgała daleko wstecz, do czasów przedszkolnych, gdy z powodu nocnego moczenia się żyła w ciągłym strachu przed upokorzeniami i karami. Znajdywała wtedy pomoc tylko u słabych, u mniejszych dzieci, zamiast u rówieśników lub starszych dzieci, nie mówiąc o wychowawczyńiach. Rozmawiając z Katarzyną ludzie wyczuwali może

coś w rodzaju ukrytej solidarności. Może dlatego, myślała Katarzyna, mają do mnie zaufanie.

- Ale dlaczego przyjechała pani akurat tutaj, Lotti? - spytała Katarzyna.

- To było tak - odparła Lotti i rozmieszała w kawie trzy kostki cukru. - Moja najstarsza siostra, Irmi, mając osiemnaście lat zaszła w ciążę z Eugenem, ale on nie mógł się z nią ożenić, bo już był żonaty.

Znowu lekko zakłopotany uśmiech.

- Ale moja mama nic nie powiedziała, sama przecież miała osiemnaście lat, gdy jej się Irmi urodziła, i nie była zamężna, dopiero później. Jej pierwszy mąż był żołnierzem i zginął w wojnie. Od niego są Klaus i Szorszi. Po wojnie poznała Babbę, któremu odstrzelili pół nogi, ale poza tym musiał być jeszcze do rzeczy.

Uśmiech, szybkie zerknięcie na Katarzynę.

- Od niego jestem ja. I Willem. Dzisiaj on jest już dosyć chory, wie pani, ma rentę i nie chodzi do roboty. Pracuje tylko mama. I Brillheiner.

- Co robi pani matka?

- Pracuje w lesie.

- A Brillheiner?

- On też jest robotnikiem leśnym. Mianowicie odkąd Babba jest taki chory, Brillheiner mieszka u nas. Kiedy mama i Brillheiner pracują w lesie, Babba troszczy się o dom, gotuje, sprząta i odrabia lekcje z Rudim. - Zaraz też dodała, żeby uprzedzić pytanie Katarzyny: - Rudi jest od Brillheinera.

- Twoja matka wychowała zatem - powiedziała Katarzyna i przeliczyła - sześcioro dzieci.

- Siedmioro - odparła Lotti.

- Siedmioro?

- Z Julią ośmioro. Ale Gottfried był z sierocińca i miał być u nas tylko czternaście dni, bo sierociniec w

Giessen, skąd on właśnie pochodzi, przebudowywali lub coś takiego, nie wiem dokładnie, w każdym razie mama powiedziała, że go nie puści z powrotem do sierocińca, to byłby wstyd, i po prostu go zatrzymała. Początkowo było wiele krzyku z Olwelem z administracji, potem był rad. Zawsze mamy co jeść i drzewo do palenia w zimie też, no to nie było trudności. Tylko kiedy Irmi z Eugenem, jak już było widać, i potem, gdy się dziecko urodziło, Julcia... Lotti urwała, uśmiechała się.

- Julcia - powiedziała - była naprawdę komiczna, pamiętam dobrze, byłam przecież tylko kilka lat starsza, Julcia mając trzy lata włąziła na drzewa, takie rzeczy wyprawiała. Kiedy się urodziła i przedtem, proboszcz z Ober-Ellmoos, bo my jesteśmy z Nieder-Ellmoos, a to jest diaspóra, wszędzie w Vogelsbergu, jest tam bardzo mało katolików, otóż proboszcz powiedział z ambony, że to grzech i dziecko grzechu, i że z takiego dziecka nic nie wyrośnie, biedactwo, powiedział, musimy odnieść się z miłością do dziecka grzechu, ale pozostanie ono dzieckiem grzechu, i to jest hańba, żeby katolicka dziewczyna dawała taki zły przykład, i tak dalej. Sama słyszałam, jak ludzie z Ober-Ellmoos wołali za Julcią bękart, innym dzieciom nie wolno się było z nią bawić, bo proboszcz powiedział, że to hańba, i w ogóle cała rodzina, tak mówił. Wtedy pomyślałam sobie, kiedy u mnie by się coś zdarzyło, nie, nie chcę, żeby moje dziecko wyzywano od bękartów. I żeby znowu obgadywano moją mamę.

- Czy nie może pani wyjść za swego przyjaciela?

- O tak. On chce. Ale ja nie.

- Nie? Dlaczego?

- Już go nie lubię. A poza tym, chcę być pielęgniarką. Jestem kelnerką „Pod Czarnym Orłem” w Ober-Ellmoos, lubię być z ludźmi, wie pani. Podoba mi się mój zawód, owszem, tak. Ale zawsze chciałam być pielęgniarką. A mój znajomy chciałby, żebym wyszła za niego, a potem w

domu czyściła okna, gotowała i tak dalej, nic innego. Gdyby proboszcz nie mówił z ambony o Irmi i Julci, mogłabym moje dziecko urodzić w domu, matka by mi pomogła i poszłabym do szkoły pielęgniarstwa. Ale nie chcę mieć dziecka, skoro ludzie są tacy podli, skoro ma tak cierpieć, jak Julcia, nie chcę. Nie chcę, żeby poszło na ulicę, tak jak teraz Julcia we Frankfurcie. Poszłam więc do wikarego od luteran, to taki młody, wszystko wie, każdemu pomoże, powiedziałam co i jak, wtedy on powiedział, no tak, on ma przyjaciół w Berlinie Zachodnim, studentów teologii, mogłabym tam mieszkać, i mieszkam tam teraz, na Keithstrasse, oni znają numer telefonu, rzekł wikary, mianowicie Schulza. A teologowie dali mi jeszcze dodatkowo adres tego starego dziada, ale nie pójdę tam więcej, nie pozwolę sobie wymyślać. Pójdę w poniedziałek do Schulza.

- Kto to jest ten Schulz?

- Nie wiem. Zadzwoiłam tam. Zgłosiła się siostra Berta. I powiedziała, że mam w poniedziałek rano na rogu - Lotti przyciągnęła ku sobie płaszcz, przewieszony przez sąsiednie krzesło, wyjęła kartkę z kieszeni i odczytała: - Tak, róg Kantstrasse i Schlüterstrasse, mam tam być o dziewiątej. Przyjedzie ciemnoszary mikrobus volkswagen i weźmie mnie.

- Ciemnoszary mikrobus volkswagen?

- Tak.

- Takich mikrobusów jest dużo. Jak pani pozna właściciwy? Nic nie uzgodniłyście?

- O tak. Kobieta będzie kiwała przez okienko.

- Siostra Berta?

- Tak, siostra Berta.

- I pani tak po prostu wsiądzie? I po prostu pojedzie?

Lotti wydała się zaskoczona.

- Ale przecież wikary polecił. I studenci też. Kosztuje sześćset marek. A więc znacznie taniej niż u tego starego dziada.

- Łatwe to nie będzie - powiedziała Katarzyna z wahaniem.

Lotti wypła jednym haustem całą filiżankę ostygłej już kawy.

- Wytrzymam. Czy pani ma coś lepszego? Ma pani przecież ten Klub Książki Medycznej czy coś takiego. Zna pani kogoś?

- Obawiam się, że nie - szepnęła Katarzyna. A potem rzekła: - Pani wie, że to wszystko, co pani zamierza zrobić, jest w taki sposób niedozwolone. Nie mówiłabym o tym wiele: Na przykład ze mną. Przecież pani mnie wcale nie zna.

- Ale pani mi się podoba. - Znowu szczerzy uśmiech. - Z kim innym, kto by mi się nie podobał, tobym nie rozmawiała. Poza tym studenci teologii ciągle o tym mówią. - Dodała wesoło: - I oczywiście chcą ze mną spać. Ale ja ich trzymam z daleka. Jeden z nich powiedział, że mogłabym urodzić dziecko i oddać do przytułku. Do przytułku! Tak jak wówczas Gottfried w sierocińcu! Teraz pracuje jako murarz i ma troje dzieci, to znaczy chwilowo jest bezrobotny. Ale gdyby go matka wówczas nie zatrzymała, nic by z niego nie było. Nie, powiedziałam, moje dziecko nie pójdzie do przytułku.

- Mam trochę znajomości - powiedziała Katarzyna. - Gdybym znalazła taką szkołę pielęgniarską, która przyjmęłaby uczennicę z niemowlęciem, zachowałaby pani dziecko i poszła tam?

- Nie wierzę w to. Już się dowadywałam. Płacę bardzo mało, z dzieckiem to za mało i latami szoruje się tylko ustępy i jest się związana. I niczego się nie nauczy. Nie wiem. Nie chciałabym teraz dziecka. Potem tak. Ale teraz nie.

Katarzyna milczała. Przyszła kelnerka, żeby zebrać naczynia. Nie była młoda, a jej zmęczona twarz zbyttnio wymalowana. Lotti obserwowała ją, podczas gdy Katarzyna

wyjmowała dziesięciomarkowy banknot z torebki.

- Jestem szybsza - stwierdziła Lotti stanowczo. - Ona dopiero od niedawna pracuje. - Podziękowała Katarzynie za kawę, pożegnała się. Teolodzy czekali na nią z kolacją i chciała jeszcze coś kupić za zaoszczędzone pieniądze. Na Schulza potrzebuje przecież mniej marek.

Katarzyna myślała, że powinna była dłużej porozmawiać z Lotti. Ale była pewna, że wkrótce zobaczy dziewczynę. Obserwowana nieufnie przez kelnerkę, opierając się o ladę, pomiędzy szwarcwaldzkim tortem wiśniowym a jabłecznikiem, zatelefonowała do doktora Jeremy'ego.

## 8.

Trzy kwadransy później, już się ściemniło, Katarzyna stała przed wysokim, ozdobionym rzeźbionymi girlandami portalem wytwornego domu przy Giesebrechtstrasse. O dwa eleganckie domy dalej aż po lata sześćdziesiąte istniał najślawniejszy burdel berliński.

Na prawo od portalu mosiężna tabliczka: doktor Jeremy, ginekolog, godziny przyjęć do uzgodnienia. Po lewej, w odległości kilku metrów, pod gołymi drzewami, oświetlona kabina telefoniczna. Wpadło jej na myśl, że właściwie w dzieciństwie nienawidziła telefonów. Nie lubiła rozmawiać z ludźmi nie widząc ich twarzy. Równocześnie pomyślała, że dawno już powinna zadzwonić do Gerfrieda. Poszła więc do budki i nakręciła numer swego pokoju.

Gerfried zgłosił się natychmiast. Niewiele miał nowego do zakomunikowania. Harding wręczył sierżantowi w Hanowerze trzy granaty z prośbą o przetransportowanie ich do Zachodniego Berlina, gdzie odebrał je z powrotem. Sierżant poznał Hardinga krótko przedtem w hanowerskim

barze i nigdy go potem nie widział. Za tysiąc marek robi się czasem coś takiego, oświadczył sierżant.

- Potem - mówił dalej Gerfried - znalazłem pani kartkę na biurku. Punkt pierwszy: nazwiska funkcjonariuszy podadzą nam do poniedziałku rano. Punkt drugi: biuro Schmöllera podało mi adres jego Jugosłowian. Pojechałem tam. Oczywiście informacja fałszywa. Ani śladu Jugosłowian, ani śladu żelaznych drągów, ale jak oni tam mieszkają. Dziesięciu ludzi w jednym baraku na cementowej podłodze, cienkie materace, kilka koców, stary piecyk żelazny, warunki sanitarne okropne. Piszę właśnie kilka słów do przemysłówki, niech się temu przyjrzą. W baraku i na ciasnym podwórzu pełno materiałów budowlanych. Stary facet, coś w rodzaju magazyniera, dawniej majster, obecnie ma sztywną nogę i cuchnie fuzlem, oprowadzał mnie. Schmöller obiecał Jugosłowianom, że dostaną mieszkania, jeżeli będą pracować dla niego wiernie i pilnie.

- Gdzie oni teraz pracują?

- W Zehlendorf. Schmöller buduje tam dom apartamentowy.

- Nie hotel?

- To był kiedyś hotel, przed czterema laty. Nierentowny, powiedział prokurent Schmöllera z Bundesallee.

- Aha - odparła Katarzyna.

- Tak. Poza tym dziś w południe zajęto dom przy Adam-Nitze-Strasse.

- Wiem - powiedziała Katarzyna.

Gerfried był rozczarowany.

- Ach, tak - chrząknął. - Mölling - powiedział - kazał panią zawiadomić, że niestety dziś o osiemnastej nie może. Proponuje poniedziałek po południu.

- Jeżeli nie pójdzie tam znowu ze swoją gwardią z pałkami. - odparła. Potem opowiedziała o Troncku i Lotti.

- Nie rozumiem - rzekł Gerfried - dlaczego Schulz jeździ po pacjentki mikrobusem volkswagen. - Przerwał

sobie. - Ach tak - powiedział znowu - mikrobus volkswagen.

- Właśnie - odparła Katarzyna.

- No to mielibyśmy już ten mikrobus volkswagen.

- I kobietę - dodała Katarzyna.

- Siostra Berta, słusznie. Wydaje się, że coś w tym jest.

- Tak się wydaje.

- Czy nie powinniśmy najpierw nacisnąć teologów na Keithstrasse? Czy też...

- Jeszcze nie. Dziewczyna nie powinna się dowiedzieć, kim jestem. Tymczasem moglibyśmy prosić kolegów z obyczajówki lub młodzieżówki, żeby w poniedziałek rano śledzili mikrobus z Lotti. Najbardziej odpowiadałyby mi Baumann i Leo.

- Czy nie byłoby lepiej obserwować dziewczynę do poniedziałku rano?

- Ani my, ani inni nie mają na to ludzi.

- Dosyć ryzykowne, prawda? Być może Schulz pracuje też przez sobotę, niedzielę.

- Tak - odparła Katarzyna. - Być może.

- Doprawdy byłoby bezpieczniej, gdybyśmy się zaraz wzięli za teologów. I za tę siostrę Bertę.

- Wtedy zdobędziemy najwyżej numer telefonu i łącznika, ale żadnego dowodu.

- Tronck nie wchodzi w rachubę?

- Chyba nie. Żyje w zupełnym odosobnieniu.

- Ale zna Schulza, mówi pani.

- Nie sądzę, żeby znał go osobiście. Raczej tylko słyszał o nim. Jeżeli chce pan kogoś nacisnąć, Gerfried, to spróbuj pan z Tronkiem.

- W porządku, pani Ledermacher.

- Niech go pan ostrzeże. Ale nie przestraszy za bardzo. On jest dosyć stary.

- Rozumiem. Niech sobie da spokój z kobietami, inaczej władujemy mu proces na stary kark.



- Tak. - Ku swemu zdziwieniu Katarzyna stwierdziła, że Gerfried także potrafi mówić jak Zobel. - I jeszcze coś, Gerfried. Proszę dać jednemu z naszych ludzi, którzy mają dziś służbę jako kurierzy, wszystkie akta odnośnie Hildegardy i to, co mamy o Adam-Nitze-Strasse, niech do mnie przyniesie. Przez niedzielę chcę wszystko jeszcze raz przeorać. Poza tym idę właśnie do doktora Jeremego.

- Z powodu Schulza?

- Tak. Bardzo mi przykro, Gerfried, ale proszę, żeby pan był osiągalny przez sobotę-niedzielę.

- W porządku, pani Ledermacher.

Katarzyna zastanawiała się przez chwilę, grzebała w torebce szukając swego rozlatującego się notesu, wyszukała numer telefonu: Krause, Hannelore.

Długo trwało, zanim Hannelore się zgłosiła. Katarzyna chciała już odłożyć słuchawkę. Hannelore dyszała, ciemny głos wibrował.

- Ach, to ty, Kati. Byłam już na schodach, gdy usłyszałam dzwonek. Powiedz szybko, spieszę się do pracy.

- Jeszcze ciągle jesteś striptizerką?

- Tak. Nie. O co chodzi?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Pilne?

- Pilne.

- Ale teraz nie mogę. Jutro rano o dziesiątej?

- Gdzie?

- U Möhringa. Co chcesz wiedzieć?

- Czy przypadkiem nie znasz niejakiego Schulza.

- Schulza? - zabrzmiało to przeciągle. - Fryzjera?

- Tak.

- O. Potrzebna ci trwała ondulacja?

- Nie. Służbowo.

- Ach, tak. - Hannelore wydawała się rozczarowana. Znowu zaczęła się spieszyć.

- No, to do jutra, Kati, ciao.

Doktor Jeremy przystosował dziesięciopokojowe mieszkanie na drugim piętrze do potrzeb praktyki. Drzwi były uchylone. Jasno wytapetowany, przedpokój stanowił poczekalnię. Siedziało tam w skrzypiących trzcinowych fotelach pod starymi sztychami jeszcze pięć pacjentek, chociaż minęła już szósta. Dwie panie w starszym wieku, jedna z młodszych bardzo elegancka. Katarzyna знаła ten rodzaj elegancji u młodych kobiet. Dobroduszna, trochę głupekowata, odrobinę zbyt jaskrawo wymalowana twarz była charakterystyczna dla tego typu.

Poszła dalej aż do pokoju, nad którego otwartymi drzwiami widniał napis: Przyjmowanie zgłoszeń. W pokoju dwa biurka naprzeciw siebie, przy ścianach regały i kartoteki. Dwie ładne dziewczyny w białych kitlach wypełniały, szukały, pisały, telefonowały. Na lewo pokoje badań i zabiegów, po prawej laboratorium. Młoda kobieta w bardzo krótkim białym kitlu przebiegła przez pokój z prawej strony na lewą, niosąc w ręku biały aparat z umocowanym białym węzem gumowym. Za nią szedł wysoki, lekko otyły mężczyzna z gęstą czupryną szpakowatych włosów. Z sąsiedniego pokoju Katarzyna słyszała jego śmiech i śmiech dwóch kobiet. Powiedziała jednej z dziewcząt, że musi porozmawiać z doktorem w pilnej sprawie. Cichym głosem poproszono ją, żeby na chwilę usiadła w poczekalni.

Jeden skrzypiący fotel i jeden sztych były jeszcze wolne. Ale zanim zdążyła zobaczyć, co sztych przedstawia, przyszła druga z dziewcząt i zawołała głośno: - Pani Ledermacher, proszę! - Pięć pacjentek spojrzało na nią z niezadowolaniem.

Doktor Jeremy przyjął Katarzynę przed swoim gabinetem, wprowadził ją, zamknął za nią podwójne drzwi.

- Czym mogę jeszcze służyć policji? - spytał doktor Jeremy lekko podkreślając „jeszcze” i wskazał na miękki fotel między biurkiem a fotelem ginekologicznym.

Katarzyna pomyślała przez chwilę, że z powodu przypadającego okresowego badania wkrótce sama będzie musiała wspinać się u swego lekarza na podobne rusztowanie. Usiadła. Doktor Jeremy patrzył wyczekująco,

- Wiem, że miał pan niedawno dłuższą rozmowę z moją koleżanką Doris Wingert - zaczęła Katarzyna.

Doktor Jeremy z westchnieniem usiadł naprzeciw niej na szerokim fotelu.

- Można tak powiedzieć, a jakże. A zwłaszcza z pani energicznymi kolegami z wydziału politycznego. Sposób, w jaki się tu zachowywali, był niemalże podkopywaniem interesów. - Doktor Jeremy siedział pozornie odprężony, trzymając ręce złożone między kolanami. Ale był nerwowy i przepracowany.

- Będę się starała ograniczyć do kilku pytań - powiedziała Katarzyna. - Pierwsze: o ile wiem, technika przerywania ciąży przy pomocy ssaka próżniowego znana jest od niewielu lat. Gdzie lekarz może nauczyć się tej techniki?

- Najlepiej oczywiście tam, gdzie ją rozwinięto, w Holandii. Przed kilku laty poświęciłem urlop, żeby u amsterdamskich kolegów studiować metodę i sposób stosowania tej techniki. Tymczasem również tutejsi koledzy poczynili pewne doświadczenia.

- Czy wielu kolegów?

- Nie.

- Jaka jest tego przyczyna?

Wzruszenie ramion.

- Czy rzeczywiście, jak mówią, można tę metodę stosować stosunkowo bezpiecznie i bezboleśnie?

- Specjaliści. Tylko specjaliści. I pod pewnymi warunkami. Do nich należy: niezbyt zaawansowana ciąża. Partacze mogą spowodować znaczne uszkodzenia, jakie stwierdzono właśnie, według słów pani koleżanki, u młodej kobiety z willi nad Wannsee.

- Chciałabym powtórzyć moje poprzednie pytanie:

- Dlaczego wśród ginekologów jest tak mało specjalistów w tej dziedzinie?

Zabrzącał telefon. Doktor Jeremy podniósł się i obchodząc Katarzynę podszedł do biurka.

- Przeciążenie - powiedział - ociężałość, ukryte skrupy ideologiczne. W bólach rodzić będziesz. Coś takiego.

To tkwi jeszcze wciąż w wielu głowach.

Zdjął słuchawkę, mruknął:

- Proszę?

Katarzyna słyszała skarżący się i uskarżająco przeciągły kobiecy głos. Brzmiał tak głośno, że Katarzyna rozumiała poszczególne słowa: kobieta w płaszczu z jagnięcej skóry... musisz zrozumieć... czerwone kozaczki... w ogóle od przedwczoraj... nigdy tutaj... dopiero co w pokoju zgłoszeń. Doktor Jeremy słuchał cierpliwie. Wydawał się nawet lekko rozbawiony.

- Posłuchaj no - rzekł. - Teraz nie mam czasu. Zadzwoń później.

Głos w telefonie: ...dokładnie zobaczyć...

Doktor Jeremy nadal przyjaźnie, ale zdecydowanie:

- Nie. Nie przychodź tutaj. Ostatnio zjawiłaś się w takim brudnym szlafroku, nie chcę tego jeszcze raz...

Głos przerwał z oburzeniem:

- Za pozwoleniem, to ... prawdziwy orientalny... nie dostaniesz poniżej pięciu, sześciu ... rzadka rzecz.

- Doprawdy - rzekł doktor Jeremy - teraz nie można. - I zawiesił słuchawkę. Wcisnął guzik na biurku: - Proszę w ciągu najbliższych pięciu minut nie przełączać żadnej rozmowy. - A zwracając się do Katarzyny rzekł tylko: - Przepraszam. - Wyjaśnienia uznał za niepotrzebne. Katarzyna i tak wiedziała, o co chodzi. Jak zawsze; zazdrosna żona popularnego ginekologa. Bądź co bądź wariant z brudnym szlafrokiem był nowy. Ponieważ doktor Jeremy swoją ostatnią uwagę dał do zrozumienia, że przewidział dla niej jeszcze tylko pięć minut, pytała zaraz dalej:

- Czy zna pan kolegę nazwiskiem Schulz?

Doktor Jeremy pozostał za biurkiem. Przesunął ręką po włosach.

- Kolega? Tu w Zachodnim Berlinie?
- Tak.
- Ginekolog?
- Przynajmniej czynny w tej dziedzinie.
- Ciekawe. Spośród na pewno licznej rzeszy lekarzy, którzy noszą nazwisko Schulz, przypadkowo nie znam żadnego. Bardzo mi przykro.

Katarzyna uśmiechnęła się i wstała.

- Bardzo dziękuję, panie doktorze. Nie będę już pana dłużej zatrzymywać. Oto mój numer telefonu.

Wygrzebała z torebki pomadkę do ust, otwartą, niezbyt czystą paczuszkę plastrów różnej wielkości, na wpół rozdarty notes i wreszcie wizytówkę. Wepchnęła inne rzeczy z powrotem do torebki i położyła wizytówkę na biurku. Doktor Jeremy podniósł się tymczasem i czekał spokojnie. Teraz włożył kartę za podkładkę do pisania.

- Na wypadek, gdybym spotkał partacza, który zawi- nił śmierć tamtej młodej damy?

- Kto wie - powiedziała Katarzyna i doktor odprowa- dził ją do pokoju zgłoszeń.

- Poza tym - rzekł doktor i skinął obu dziewczynom za biurkami - sprawdziliśmy wszystkie dane w kartotekach i porównaliśmy z danymi przytoczonymi przez pani kole- żankę. Uważam za wykluczone, żeby wiadoma młoda kobieta kiedykolwiek była z nami w kontakcie.

Katarzyna podziękowała raz jeszcze. Zanim wyszła, spojrzała przez nie zasłonięte okno. Chociaż mocno błysz- czało, zobaczyła za nim cienie drzew i gałęzi. A w głębi oświetlone okna w tylnej fasadzie drugiego domu. Jedno okno było otwarte. Można było rozpoznać fragment kuch- ni. Koło pieca krzątał się stary człowiek. Katarzyna pomy- ślała o filmie „Okno na podwórze”. I pomyślała, czy

żona ginekologa nie patrzy z ciemnego pokoju lub ciemnej kuchni na jasny pokój przyjęć swego męża. Inne pomieszczenia miały matowe szyby aż do góry.

Wieczorem Katarzyna siedziała nad aktami w kuchni, z oplecioną butelką hiszpańskiego wina obok siebie. Robert, paląc cigarillo, telefonował i robił spisy adresów w gabinecie. Spytał, czy jej to zaszkodzi, jeśli on razem z setką innych zainteresowanych wniesie skargę przeciwko nieznanemu sprawcy o zakłócenie spokoju domowego, umyślne zniszczenie mebli i dewastację mieszkania. Śmiała się i powiedziała, że przeciwnie, będzie to jej bardzo na rękę.

Z kuchni widziała jeden but i kawałek prążkowanych spodni Roberta. Mieszkanie było jasno oświetlone, wszystkie drzwi szeroko otwarte. Tylko drzwi pokoju Katinki były zamknięte. Katinka nie chciała, by jej przeszkadzano. Miała kłopoty z matematyką. Starła się rozwiązać funkcję E. Przedtem zmyła w kuchni brudne naczynia, nieoczekiwany dowód życzliwości.

## 9.

Zgodnie z doświadczeniami Katarzyny istniały trzy warianty rozwiązywania spraw:

Po pierwsze krecia metoda, cierpliwe zbieranie dowodów. Grzebie się w popiołach spalonego domu, w resztkach wraku samochodu, bada ślady krwi i kul, słoiki z marmoladą, skrawki materiałów, koperty, oparcia foteli, ściany pokoi, wiadra na śmieci, mydelniczki. Sprawca albo został pochwycony i trzeba mu tylko udowodnić, że nim

jest, albo zostanie pochwycony na podstawie dowodów. O ile będzie tak długo czekał.

Następnie metoda biurkowa. Czyta się całe góry akt, porównuje, sprawdza szczegóły, żąda danych komputerowych, bada się dalej, zakłada nową, szybko pokrywając się kurzem górę akt, sortuje, odpina, koresponduje i wreszcie po miesiącach, czasem dopiero po latach, wie się: to musiał być ten. O ile się go potem jeszcze schwyta.

W końcu metoda lucki-lucki. (Określenie pochodziło od krewnego Katarzyny, Ludwika, pastora w Hamburgu-Sasel. Jeden jedyny raz słyszała jego kazanie, przed dwudziestu laty. Mówił o nieustannie i różnorodnie grzeszącym człowieku i o tym, że nic nie uchodzi uwadze boga: „Bo Bóg zawsze robi lucki-lucki”). Lucki-lucki znaczy: objeżdża się dokoła, od jednego adresu do drugiego, rozmawia się z wieloma ludźmi, potem rozmawia się z większością z nich po raz drugi, trzeci, mówi się całymi dniami, tygodniami, obserwuje, nakłada się peruki, staje za drzewami i w wejściach piwnicznych, aż się wreszcie przeniknie.

Większość spraw wymagała mieszaniny tych trzech metod, z tym, że każda ciążyła ku jednej z nich. I wyglądało na to, że sprawa Hildegardy ciąży ku wariantowi lucki-lucki.

W sobotę rano Katarzyna zajrzała przede wszystkim do samochodu. Robert nie miał szkoły, więc jeszcze spał. A Katinka wyszła już, zapewne żeby przed lekcjami zajrzeć jeszcze na Adam-Nitze-Strasse i z kolegami święcić sukces włączenia światła i wody.

Było jeszcze ciągle przedwiośnie, łagodne poranne świtanie z lekkim wiatrem, który niezbyt energicznie rozwiewał kurz i brudne papiery po ulicach. Na placu Karola Augusta ustawiano stragany. Renaty i jej męża jeszcze nie było, ale Lieschen Fröhlich krzątała się już wśród warzyw.

Na podwórzu domu Katarzyna wsiadła do swego ślepego od brudu samochodu i próbowała zapuścić motor. Ale akumulator był rozładowany. Za długo zostawiła samochód na zimnie i wilgoci. Zawróciła. Uzgodniła z Robertem, że każde może w każdej chwili używać samochodu drugiego. To znaczy, że kiedy Katarzynie było potrzebne auto, jechała autem Roberta, a Robert szedł sobie piechotą.

Położyła Robertowi kartkę na stole kuchennym, zdjęła klucze z haka nad lodówką, która dziwnym trafem nie została rozbita na kawałki przez ludzi Möllinga, i pojechała najpierw na dworzec Zoo, potem do „Café Möhring” na rogu Kurfürstendamm i Uhlandstrasse.

Kilka lat temu do niedzielnego rytuału Roberta i Katarzyny w lecie należał przedpołudniowy spacer na dworzec Zoo. Katarzyna kupowała tam „Basler Nationalzeitung”, a Robert „Timesa”. Następnie czytali swoje gazety w „Café Möhring”. Później Katarzyna przestała się interesować „Basler Nationalzeitung”, rytuał uległ zmianie. Jeździli do Grunewaldu lub nad Schlachtensee i tam szli na spacer.

Katarzyna nie była tu od dwóch lat. Ale światowi ludzi, którzy siedzieli obok niej i wyglądali na znudzonych, wydawali się tymi samymi. Jeszcze było za wcześnie na stałych gości. Tylko rzeźbiarz, którego chuda, opalona twarz z siwymi włosami pod futrzaną czapką wówczas ją fascynowała, siedział z boku naprzeciwko niej i jego profil wciąż był pełen wyrazu. Dawniej przychodził koło południa, otoczony uczniami i uczennicami. Kelner-Portugalczyk obsłużył ją tak, jak przed dwoma laty, szybko, z godnością i zaznaczonym uśmiechem poznania. Siedziała więc, krótko przed dziesiątą, z filiżanką kawy i „Basler Nationalzeitung” i czekała na Hannelore.

Hannelore Krause poznała przed laty, kiedy dopiero zaczynała pracę w tym mieście i nie była jeszcze w wydziale zabójstw. Mężczyzna nazwiskiem Karl Stumpf



uciekł z więzienia w Tegel i policja przypuszczała, że jest u swojej przyjaciółki Krause. Potem okazało się, że przypuszczenie to było mylne, Stumpffa aresztowano dwa tygodnie później na wpał zagłodzonego w kolonii ogródków działkowych w Spandau. Chociaż Stumpff uchodził za niebezpiecznego zabijakę, uznano za właściwe posłać najpierw kobietę do mieszkania na zwiady. Zapewne jakaś szczególnie wyćwiczona głowa z kierownictwa policji średniego szczebla mniemała, iż delikatny kobiecy węż więcej tu zdziała niż męska twardość.

Dwupokojowe mieszkanie Hannelore przy Breitenbachplatz było całkowicie wyłożone skórą i miękkimi materiałami, na pokrytym aksamitem podwójnym tapczanie leżały barwne poduszki. Mała, pulchna brunetka o dziecinnej twarzy i szeroko rozstawionych oczach, obdarzona najbardziej ciemnym, najgłębszym głosem, jaki w ogóle może mieć kobieta, paplała wesoło berlińską niemiecką z bawarskim nalotem.

- Powiem pani coś. Gdyby Karli był tutaj, zauważyłaby pani. Mianowicie po mojej twarzy. Karli, jeżeli go nie było i wracał, natychmiast dawał mi wycisk. Dlaczego? Po pierwsze jest zazdrosny i myśli, że go tymczasem zdradzałam, no i przeważnie ma rację. Po drugie z podbitym okiem nie mogę iść do roboty, więc Karli ma mnie na kilka dni dla siebie, widzi pani. – Dawniej Hannelore była pielęgniarką. - Ale proszę cię - oświadczyła Katarzynie po trzech tygodniach znajomości i czwartym koniaku - jak można przy tym dojść do pieniędzy. Przecież nie przez spanie z biednymi asystentami.

Katarzyna dawno jej nie widziała. Ostatni raz, gdy ubiegłego lata chodziła z Katinką po Ogrodzie Zoologicznym. Wtedy, przy klatce ze zmęczonymi lwami, wyszła im naprzeciw Hannelore. Katinka od razu ją polubiła, obie dziewczyny, ramię w ramię, chichocząc i gadając poszły z Katarzyną dalej. Przy małpach spotkały lekko zmieszanego

Gerfrieda z bliźniaczkami, które właśnie rozmawiały o teorii mnogości, a zarazem przypatrywały się połyskującemu fioletowo, szybko poruszającemu się tyłkowi kopulującego pawiana.

Hannelore nie powodziło się wówczas dobrze. Striptiz nudził ją i z pewnością nie miała chłopaka, inaczej nie chodziłaby sama po Zoo. Karli Stumpff znowu siedział za bójkę w knajpie ze spowodowaniem śmierci. I będzie musiał posiedzieć jeszcze co najmniej pięć lat, wyliczyła Katarzyna patrząc na Hannelore, wchodzącą do kawiarni.

Hannelore wyglądała dobrze i robiła wrażenie wesolej, pomimo zielonożółtej plamy pod prawym okiem. Śmiała się dźwięcznie, tak że goście przy sąsiednich stolikach mimo zblazowania podnieśli wzrok.

- Bez obaw, Kati - powiedziała, zdjęła ciemną kurtkę z bobrów, rzuciła na wolne krzesło i przysiadła się do Katarzyny. - Karli nie zwiął. - Zamówiła u Portugalczyka potrójną „bloody Mary”. - Tylko że ja, głupia gęś, znowu wpadłam na takiego typa. Ale to po raz ostatni, przysięgam. Nikomu nie dam się bić. Stłukł mnie, bo zauważył, że mam jeszcze kogoś, chłopaka, mówię ci, który jest taki piękny, że człowiek czuje się uduchowiony, kiedy on stanie przed tobą. Taki piękny. I nawet palcem nie tknie.

Katarzyna poczekała, aż po połowie potrójnej Mary Hannelore była mniej zajęta wspomnianiem duchowych uciech.

- Dopiero dziś o siódmej rano wróciłam do domu - wyjaśniła Hannelore między chciwymi łykami - potem tylko dwie godziny snu. Mów krótko, muszę jeszcze kupić pantofle.

Katarzyna opowiedziała o Lotti i doktorze Troncku i o tym, że doktor Tronck zawołał za Lotti: no to idź do Schulza.

- Zatem twoja przyjaciółeczka nie była zadowolona z fryzjera - powiedziała Hannelore.

- Uważała, że jest za stary i zbyt szorstki. Dlatego odeszła bez trwałej ondulacji.

- Ale on jest naprawdę dobrym fryzjerem. I robi najlepszą trwałą. A że jest szorstki, na to nie trzeba przecież zważać.

- Znasz starego fryzjera?

- Tak.

- Schulza pewnie też.

Przerwa.

- Czego chcesz od Schulza? - spytała Hannelore.

- Być może ma na sumieniu jedną klientkę - odparła Katarzyna.

Hannelore zastanawiała się. Pomiędzy Katarzyną a Hannelore istniała milcząca umowa: być szczerą, ale respektować, że żadna z nich nie może powiedzieć wszystkiego, co wie.

- On chce rozkręcić interes na wielką skalę - rzekła wreszcie Hannelore. - Chciał mnie zwerbować. Szuka ludzi, którzy byli pielęgniarzami czy pielęgniarkami. Jako aktyw, mówi, albo jako odskocznię. Szuka też cichych udziałowców.

- Jak go poznałaś?

Hannelore pominęła pytanie milczeniem.

- Mówił o wielkich pieniądzach dla mnie. Nie wprost, rozumiesz, ale dostatecznie wyraźnie. Ja się wykręcałam. Właściwie z tym nie chcę mieć nic do czynienia. Stary ordynarny fryzjer jest poważny. Czy Schulz, tego nie wiem. Chcę powoli skończyć z pokazywaniem cycków. Na wiosnę mam jeszcze Lüneburską Pustac, potem wieś w Westfalii, chłopci dobrze płacą, ale dla pieniędzy nie wdepnę w coś jeszcze bardziej żalсного. Chcę wrócić do starego zawodu.

- Pielęgniarki?

- Nocnej siostry. Dziś w nocy byłam w klinice Westend. Tam się dostaje przeszło sto marek za noc. W dzień

nie mogę już pracować, to się skończyło, po prostu nie potrafię się przestawić. Ale jeżeli pięć razy w tygodniu wezmę sobie nocny dyżur, będę miała miesięcznie prawie tyle samo co za kręcenie pupą osiem razy na tydzień. I tylko trochę mniej niż u Schulza. Nie, odmówię mu.

- Kiedy?

Hannelore uśmiechnęła się.

- W tej chwili nie ma go w mieście. Wraca dziś po południu. I zadzwoni do mnie po czwartej. Przedtem będę spała, wtedy zawsze wyłączam telefon.

- Gdzie on mieszka tutaj?

- Nie mam pojęcia.

- Czy on jest lekarzem?

Hannelore to pytanie też pominęła milczeniem. Wypiła resztkę potrójnej Mary i sięgnęła po futrzaną kurtkę.

- To wszystko, Kati?

Katarzyna mieszała łyżeczką w pustej filiżance. Potem powiedziała:

- Mogłabyś mi zrobić grzeczność?

- Hm - mruknęła Hannelore.

- Kiedy zadzwoni do ciebie, powiedz mu, że wprawdzie ty nie możesz przystąpić do pracy, bo masz inne umowne zobowiązania, od których nie uda ci się wykręcić, albo coś podobnego, ale że miałabyś cichą współpracę dla niego, Szwajcarkę, Hedwig Boncoeur. Zdaje mi się, że dziś po południu przyjeżdża do hotelu „Schweizer Hof”.

- Ach - powiedziała Hannelore.

- Tak.

Hannelore wstała i nałożyła futrzaną kurtkę.

- Zrobię to dla ciebie. Ale chcę ci coś powiedzieć: kiedy ja wydam się z mego zafajdanego zawodu, Kati, czy ty też nie mogłabyś wydostać się ze swego zafajdanego zawodu? Mogłybyśmy przecież coś zrobić, razem, we dwie, co? Coś, co jest dobre, Kati.

## 10.

Około szesnastej Hedwig Boncoeur razem z pasażerami samolotu Frankfurt-Berlin Zachodni weszła do hali odpraw lotniska Tempelhof, minęła tych, którzy przy transporterze czekali na swój bagaż, wyszła i zobaczyła, że już dużo ludzi czeka na taksówki. Zrezygnowana postawiła na chodniku torbę podróżną z miękkiej, jasnobrązowej skóry juchtowej, a obok niej kuferek kosmetyczny w tym samym kolorze. Pani Boncoeur miała na sobie płaszcz z pięknego angielskiego sukna, z wierzchu wielbłądzia sierść, od spodu materiał w kurzą łapkę albo, jak mówiła pani Boncoeur: *piède-poule*. Płaszcz był dwustronny. Pod nim miała dwuczęściową suknię, kostium podróżny, również w *piède-poule*, na przegubie ręki płaski zegarek z białego złota z rzymskimi cyframi, na szyi bardzo kosztowny, gruby, złoty łańcuch, wykonany jak tanie, modne ozdoby. Doskonale ułożone fale blond włosów chronił miękki filcowy kapelusz. Ale widocznie nie miała parasola. Wielokrotnie z troską spoglądała na zsuwające się ku sobie ciemne chmury nad Berlinem, zanim wreszcie mogła wsiąść do taksówki i pojechać do „Schweizer Hof”. Zajęła tam pokój z łazienką zamówiony telegraficznie z Zurychu, spała półtorej godziny, potem zrobiła mały spacer na obejrzanie wystaw, wróciła około dziewiętnastej do hotelu, kazała sobie przynieść do pokoju grzankę i wodę mineralną, potem siedziała z kieliszkiem sherry, z którego nie piła, w hallu hotelowym, przeglądając szwajcarskie pismo ilustrowane.

Wszystko to poprzedziło przed południem szesnaście rozmów telefonicznych z biura Katarzyny: Z siostrą projektanta kostiumów, którego znała z krótkiego okresu

swego nieomalże romansu z kierownikiem literackim Teatru Schillera i przed trzema miesiącami spotkała w winiarni Neumanna. Wiedziała, że długo śpi, gdy nie ma próby. Miał próbę. Kazała szukać go w teatrze i wywołać z drugiej generalnej.

Z matką aktorki, której garderobę kostiumolog polecił. Aktorka przekopywała właśnie ogródek w Ticino.

Znowu z kostiumologiem, po historycznym wybuchu reżysera. Kostiumolog, człowiek łagodny i cierpliwy, polecił garderobę żony znanego adwokata.

Z szesnastoletnim synem adwokata. Pani robiła zakupy.

Z byłym mężem Ruëdim Scheidtem w Zurychu-Kilchbergu, który był zaniepokojony rozwojem Katinki. Katarzyna zapisała minuty, bo rozmowa nabrała prywatnego charakteru, musiała więc zwrócić jej koszty.

Z mężem dawnej zuryskiej przyjaciółki, Hedwig Boncoeur. Hedwig Boncoeur poszła po sprawunki.

Z dyżurnym urzędnikiem magazynu dowodów rzeczowych. Katarzyna wiedziała z informatora policji kryminalnej, że niedawno zostały zabezpieczone dwa fałszywe paszporty szwajcarskie. Urzędnik wyjaśnił, że paszporty te muszą być jeszcze szczegółowo zbadane we współpracy z władzami szwajcarskimi.

Z żoną zastępcy dyrektora magazynu. Zastępca dyrektora naprawiał właśnie samochód w garażu, oddalonym o czterysta metrów od mieszkania.

Z Robertem, który zakupił warzywa i mięso na sobotę-niedzielę i po południu wybierał się do kina. Katarzyna powiedziała, że nie może być w domu wcześniej niż jutro rano. Ale niech się o nią nie martwi. Ma doskonałe warunki.

Z zastępcą dyrektora. Miał wątpliwości. W końcu gotów był dać Katarzynie do dyspozycji pustą czerwoną oprawę paszportu. Ale wciąż miał wątpliwości.

Z żoną adwokata, długo.

Z Hedwig Boncoeur, bardzo długo. Pomimo częściowo prywatnego charakteru rozmowy, nie zapisała minut.

Z sobotnią dyżurną w centrali telefonicznej teatru, która jednak nie odważyła się szukać kostiumologa.

Z żoną Gerfrieda. Jej mąż wyjechał służbowo.

Z komendantem policji na lotnisku Tempelhof.

Potem przez dwie godziny Katarzyna zmieniała, szyla, upinała suknię w garderobie żony adwokata. Atmosfera była lodowata. Katarzyna miała wrażenie, że żona adwokata jeszcze niedawno była dość blisko związana z kostiumologiem. Sam adwokat, już starszy, około sześćdziesiątki, długo i starannie badał legitymację policyjną Katarzyny, dla pewności chciał też koniecznie zatelefonować do jej biura. Na szczęście zgłosił się Gerfried, który ze swej strony poszukiwał telefonicznie Katarzyny. Wrócił od Troncka. Stary doktor rzeczywiście tylko słyszał coś o Schulzu. Swoją drogą Tronck przypuszczał, że nazwisko Schulz jest złożone z początkowych liter nazwisk czterech lekarzy, którzy wspólnie założyli firmę, zajmującą się przerywaniem ciąży. - Ale Tronck nie umiał dać żadnych wskazówek co do wchodzących w rachubę nazwisk - rzekł Gerfried. Adwokat zapewnił teraz o swoim pełnym poparciu dla trudnej i w danym momencie naprawdę niezwyklej pracy pani nadkomisarz Ledermacher. Jest on, jak oświadczył, kawalerem papieskiego orderu Świętego Grobu i wiceprzewodniczącym towarzystwa „Chrześcijańska Rodzina”, stanowczo zwalczającego przerywanie ciąży.

Zanim Katarzyna taksówką opuściła willę adwokata w Zehlendorf, obejrzała się w lustrze. Jej podobieństwo do żony adwokata było przerażające. Nie rozumiała, jak kostiumolog mógł przyjaźnić się z tą kobietą.

O dwudziestej w wejściu do hallu hotelowego pojawił się boy, który dyskretnie wskazał na panią Boncoeur i

zaraz się wycofał. Za nim stał szczupły, może czterdziestoletni mężczyzna. Ciemne ubranie z kamizelką, czarna aktówka, gęste, czerwono-blond połyskujące włosy, okulary w kosztownej złotej oprawie, opanowana twarz, która wyglądała tak, jakby pachniała drogimi wodami. Mężczyzna podszedł spokojnie do pani Boncoeur, skłonił się.

- Madame Boncoeur?

Hedwig Boncoeur spojrzała, uśmiechnęła się lekko na powitanie. Rzeczywiście powiało na nią zapachem „Irish moos”. Podała Schulzowi lewą rękę, bo w prawej trzymała jeszcze pismo ilustrowane. Schulz podniósł jej rękę do twarzy i zbliżył nieco zbyt miękkie usta do grzbietu dłoni na odległość centymetra. Pani Boncoeur cofnęła rękę.

- Proszę usiąść, panie Schulz - powiedziała. Mówiła staranną niemczyzną z szwajcarskimi gardłowymi dźwiękami i zuryską intonacją.

Schulz jeszcze raz skłonił się i usiadł w fotelu naprzeciwko niej. U kelnera, który zbliżył się bezszelestnie, zamówił sok pomarańczowy.

- Spotkaliśmy się już dziś po południu, pani Boncoeur - zaczął Schulz. - W Tempelhof. Tylko że pani mnie nie zauważyła. Pani przybyła z Frankfurtu, prawda? - Uśmiechnął się, przysunął aktówkę tuż do fotela. - Czy dobrze się leciało? - zapytał.

- Dziękuję. Nieprzyjemny był tylko start dziś rano w Kloten. Mamy tam właśnie föhn.

- Ach, tak, słusznie. - Schulz oparł się wygodnie. - O tym samym mówił pani małżonek.

- O! - Pani Boncoeur lekko przechyliła głowę. - Rozmawiał pan z moim mężem?

- Chciałem się tylko upewnić, że nie zaszło nieporozumienie. Pani mąż był przy tym tak uprzejmy, że wspominał o ciemnym kolorze pani włosów. Jestem więc oczywiście zaskoczony, widząc panią przed sobą jako blondynkę.



- Ponieważ wynalazek peruki jest panu znany, czy nie byłby pan tak samo zaskoczony, gdybym naprawdę siedziała przed panem z ciemnymi włosami?

Schulz zaśmiał się krótkim, suchym śmiechem.

- Prawdopodobnie. - Wypił łyk soku pomarańczowego, który kelner postawił tymczasem na niskim stole.

- Może zatem zostawimy tę konwersację i będziemy mówić o interesach - zaproponowała pani Boncoeur.

Schulz był przez chwilę zaskoczony. Potem jego twarz przybrała rzeczowy wyraz.

- Jak pani sobie życzy. Wychodzę tu oczywiście z założenia, że pani jest być może panią Boncoeur, ale z pewnością nie właściwą dawczynią pieniędzy, tylko osobą upoważnioną do wstępnego rozeznania.

- Wychodzę z założenia, że być może istnieje jakiś pan lub firma Schulz, ale że pan nie jest we właściwym tego słowa znaczeniu Schulzem, tylko osobą upoważnioną do nawiązania kontaktu z kimś, kto ma przeprowadzić wstępne rozeznanie.

- Właśnie. Poza tym przyjmuję, że kapitały, które zamierza pani ulokować, nie podlegają oprocentowaniu.

- Podczas gdy ja przyjmuję - powiedziała pani Boncoeur, trzymając znowu głowę w charakterystyczny sposób pochyloną na bok - że nie otrzymałby pan kredytu bankowego na swoje przedsięwzięcie.

Uprzejmie potwierdzający uśmiech Schulza trochę zeszywniał.

- Nasza wspólna mała przyjaciółka o czymś napomknęła?

- Nasza wspólna mała przyjaciółka nie jest głupsza niż pan lub ja.

Twarcz Schulza znowu się odprężyła.

- Gdzie pani ją poznała?

- Czy ja pana pytam, skąd pan zna naszą wspólną małą przyjaciółkę?

Schulz wydawał się jednak wytrącony z równowagi. Patrzył badawczo na panią Boncoeur.

- Nie - szepnął.
- No to proszę objaśnić mi projekt - rzekła pani Boncoeur.

Schulz położył aktówkę na kolanach. Znowu się uśmiechał. Pani Boncoeur przekonała go.

- Firma utrzymuje w tej chwili pięć mikrobusów volkswagenów w Republice Federalnej i jeden w Zachodnim Berlinie. Każdy pojazd jest obsadzony jedną męską i jedną żeńską siłą pomocniczą. Tak jeździli przed laty szef-senior i seniorka-szefowa pierwszym mikrobusem po kraju i zasada: jeden mężczyzna, jedna kobieta ma być utrzymana również podczas stopniowego rozszerzania przedsiębiorstwa, ponieważ się sprawdziła. Wraz z pierwszym zwiększeniem liczby pojazdów stworzono równocześnie krąg dyspozytorów i informatorów w małych i średnich miastach Republiki Federalnej. Udało nam się wciągnąć w to grupy lewicowe lub inne, uchodzące za postępowe. Przy pomocy takiego kręgu dyspozytorów można było podwyższyć zdolność wykorzystania pojazdów do trzech zabiegów dziennie na każdy. W ciągu pięciodniowego tygodnia jest to równoznaczne z miesięcznym obrotem wartości ponad dwustu tysięcy marek. Po starannej analizie rynku kierownictwo firmy doszło do przekonania, że jest korzystny moment na dalsze, i to znaczne, poszerzenie przedsiębiorstwa. Myśli się o zatrudnieniu wysoko kwalifikowanego gospodarza przedsiębiorstwa. Szerokie inwestycje personalne i rzeczowe, ściśle skalkulowane ceny i jakość wykonania każdego zabiegu mogą znacznie podwyższyć skromny dotychczas udział firmy w rynku - pani wie, na terenie samej Republiki Federalnej liczy się do miliona zabiegów rocznie - a nawet umożliwić wtargnięcie w międzynarodowe interesy. Dlaczego Holendrzy i Anglicy mają opanowywać zachodniemiecki rynek? Widzi pani, to

jest podstawowa idea. Dotychczas nasz personel nie był dostatecznie wyszkolony pod względem fachowym, narzędzia bywały często nie wystarczające....

- Czy były wypadki śmierci? - spytała pani Boncoeur z rozważą.

Schulz położył obie ręce na aktówce.

- Nie sformułowałbym tego w taki sposób.

- A więc były.

- Ależ, łaskawa pani. Oczywiście, że nie. Poza tym, żeby wyłączyć wszelkie ryzyko, będziemy w przyszłości pracować przy pomocy ssaków próżniowych i wyszkolonych pielęgniarek i pielęgniarzy. Poślemy naszych współpracowników na przeszkolenie do Holandii. Wtedy bez trudu dojdziemy do sześciu, ośmiu zabiegów dziennie. Ma też być zorganizowane lekarskie pogotowie na trudniejsze wypadki. A ilość mikrobusów ma wzrosnąć najpierw do pięćdziesięciu, potem do stu. Wszystko to jest zawarte w expose, opracowanym przez kierownictwo firmy.

Schulz uderzył lekko w aktówkę.

- Expose zawiera również ściśle informacje co do oprocentowania, dywidend i organizacji. Żeby ubezpieczyć się ze strony państwa, wszystkie czynności będą załatwiane w ramach oficjalnej firmy, wysyłkowego handlu przyrządami medycznymi. Wewnętrzna organizacja już teraz tak funkcjonuje, że każda jednostka - a więc mikrobus ze swoją załogą - operuje dla siebie, w dosłownym strategicznym znaczeniu tego słowa. W ten sposób w razie czego firma poniesie niewielką stratę. Wkraczający będzie zawsze szukał zaplecza, ale go nie znajdzie. Gdyby pani na przykład była z Interpolu, miałyby pani teraz tylko mnie.

A to byłoby trochę za mało.

Schulz wybuchnął nagle rżącym śmiechem, który równie nagle się urwał. Oburącz trzymał się za wątrobę i żołądek i wzdychał.

- Przekonujące - powiedziała pani Boncoeur, która

nie przyjęła do wiadomości ani śmiechu, ani wzdychania. - Ale skąd firma ma pewność, że jest to korzystny moment do ekspansji?

Schulz znowu opadł na oparcie fotela.

- Łaskawa pani, orzeczenie Sądu Konstytucyjnego w Karlsruhe otwiera tak korzystne perspektywy, że one same zapraszają wręcz do ekspansji. Bez tego orzeczenia musielibyśmy się zlikwidować. Ale oczekiwane obecnie kompromisy w nowym ujęciu zreformowanego paragrafu 218 są bardzo solidną podstawą interesów.

Pani Boncoeur patrzyła w zamyśleniu.

- No, dobrze - powiedziała. - Wprawdzie jutro mam w Kopenhadze i Londynie konferencje na temat możliwości zainwestowania kapitałów, które mam do dyspozycji. Ale na podstawie pańskiego exposé chciałabym przemyśleć jeszcze raz pańskie propozycje. Współpraca wydaje mi się zupełnie możliwa.

Schulz spokojnie trzymał ręce na aktówce. Nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją otworzyć.

- O - powiedział - ja też mam jeszcze różne konferencje z finansistami w Republice Federalnej i gdzie indziej. Wobec tego proponuję, że omówimy exposé i wzajemne pełnomocnictwa dopiero wtedy, gdy pani zlecniodawcy będą naprawdę zdecydowani przedyskutować nasze propozycje.

Pani Boncoeur otworzyła torebkę z krokodylowej skóry i wyjęła notesik oprawny w złoto. Przy tym upadło coś na podłogę.

- Do licha, to mój ołówek do brwi - szepnęła pani Boncoeur. Schulz schylił się i podał go. Schylenie się sprawiało mu, zdaje się, zaskakująco duże trudności. Wyprostowawszy się nie mógł złapać tchu. Znowu trzymał się za żołądek i wątrobę.

- Merci - powiedziała pani Boncoeur. Kartkowała notesik. - Z pańskich słów wnoszę, że pańska aktówka nie

zawiera exposé i że potrzeba panu może trochę czasu, by je zestawić. Do kiedy, sądzi pan, będzie gotowe?

Schulz spojrział na panią Boncoeur.

- Do wtorku - powiedział potem swobodnie.

Pani Boncoeur skinęła głową i wpisała do notesu.

- A kiedy łaskawa pani będzie mogła dysponować pieniędzmi, które, jeżeli panią dobrze rozumiem, przesała pani do Kopenhagi, Londynu czy gdzie indziej?

Pani Boncoeur spojrzała na niego.

- Do wtorku - odpowiedziała równie swobodnie.

- Zatem wtorek przyszłego tygodnia - rzekł Schulz -  
Może o dziewiętnastej w restauracji lotniska Tempelhof?

- Dlaczego akurat tam?

Schulz roześmiał się lekko i wstał.

- Najmniej przyjemne miejsce, jakie znam. Kłębi się od szpiegów i agentów wszelkiego rodzaju. Nikt nie wpadłby na pomysł, żeby omawiać tam poważne interesy. Innymi słowy, byłibyśmy zupełnie swobodni.

Również pani Boncoeur uśmiechnęła się. Schulz pochylił się nad jej ręką. Tym razem wyciągnęła do niego prawą.

Katarzyna była zadowolona z pani Boncoeur. Zdarzały się niebezpieczne chwile, ale wydawało się, że Schulz zachowywał się wobec pani Boncoeur tylko ostrożnie, nie zaś nieufnie. Trudno tylko będzie pozbyć się pani Boncoeur do przyszłego wtorku.

Pani Boncoeur zdecydowała się zatem na zmianę planów. Jeszcze tego samego wieczora, krótko po dziewiątej, zapłaciła za pokój, zamówiła taksówkę i kazała się zawieźć na Kurfürstendamm. Próbowwała kupić bilet do kina. Udało się to jej dopiero w trzecim kinie. Miała nadzieję, że w gęstym strumieniu samochodów i kłębówisku pieszych śledzącemu trudno będzie mieć ją na oku.

Kino było przepełnione. Dramatyczna muzyka, krzyki,

wicher, huk morza, trzaski sugerowały morską katastrofę. Ale pani Boncoeur nie interesował ekran. Z torbą podróżną i kuferkiem kosmetycznym przeszła po omacku aż do drzwi z małym, czerwono świecącym napisem „Toaleta” i zniknęła za nimi. Kiedy Katarzyna wyszła z torbą podróżną i kuferkiem ubrana w swoje normalne rzeczy, tylko bez płaszcza z jagnięcej skóry (wisiął w biurze), spróbowała otworzyć drzwi zapasowego wyjścia. Niespodziewanie okazały się nie zamknięte. Katarzyna znalazła się na ciemnym podwórzu; zastawionym kubłami na śmieci. Natychmiast odniosła wrażenie, że hałaśliwa katastrofa morska na ekranie za nią była rzeczywistością, gdy tymczasem ona ze swoim przebieraniem się występuje w bzdurnym filmie o agentach. Na końcu podwórza oczekiwała Schulza, który wyjdzie naprzeciw niej z cienia w bramie, uśmiechnięty, z pistoletem w dłoni, i powoli uniesie go w górę. Ale podwórze wychodziło na niemalże pustą boczną uliczkę. Biegła nią, zmarznięta, długodystansowym biegiem, dopóki nie znalazła taksówki. Kwadrans później siedziała już w kuchni obok Roberta.

Robert ugotował zupę jarzynową z mięsem. Kiedy ją odgrzewał, przypomniało mu się, że dzwonił niejaki doktor Bernward Jeremy. I podsunął Katarzynie kartkę z prywatnym numerem doktora Jeremy'ego.

Doktor zgłosił się natychmiast. - No - powiedział - to była nielada sztuczka dowiedzieć się, gdzie można panią złapać prywatnie. Ale widzi pani, nie jestem najgorszym detektywem. Mianowicie; jak to bywa, znalazłem dziś wskazówkę odnośnie Schulza. Raczej odnośnie tego, że od lat posiadam coś o Schulzu, nie wiedząc, że to chodzi o Schulza. Może to się pani przyda.

- Co to jest?
- Stara taśma magnetofonowa. Musi być chyba z

sześciodziesiątego trzeciego roku. Przez telefon trudno wyjaśnić. Czy może pani przyjść do mnie, do gabinetu, między jedenastą a dwunastą?

## 11.

Katinka wróciła do domu późno w nocy. W niedzielny ranek przy dźwięku kościelnych dzwonów zjawiła się zaspana w figach i przekrzywionej koszulce u Roberta i Katarzyny, którzy obłożeni papierami i skoroszytami siedzieli w łóżku popijając kawę i gryząc grzanki. Na dworze lało. Przedwiośnie skończyło się.

- Co sądzisz o następujących tematach wypracowań z niemieckiego - zaczął Robert, ale Katinka spytała:

- Nie ma gazet? Wszystko trzeba robić samemu. - Przeszła do swego pokoju, ciskała szufladami, z hałasem naciągnęła kozaczki, wyszła z mieszkania trzaskając drzwiami.

Katarzyna wyrzuciła z łóżka skoroszyt, wstała. Dawniej sypiała zawsze nago. Potem wypróbowała podkoszulki Roberta. Teraz nosiła coś w rodzaju dziecięcych koszul nocnych, flanelowych, miękkich i długich. Robert uważał takie bawełniane koszulki za podniecające.

Przeszła do kuchni, żeby zrobić kawę i grzanki dla Katiniki. Pokieroszowany budzik za pięć marek, stojący na półce z przyprawami, wskazywał pół do dziesiątej. Krótko przed jedenastą chciała pójść do doktora Jeremy'ego.

- Dla mnie jeszcze marmolady - zawołał za nią Robert.

Przekładając marmoladę agrestową z dużego słoja do małej miseczki próbowała wyobrazić sobie Schulza, który postępuje w niezwykle wyrafinowany sposób, każdy krok planuje po mistrzowsku i w ściśle skalkulowanych

momentach zakłada pułapki, w które też szybko wpada ze swej strony zastawiająca sidła Katarzyna. W takiego Schulza nie mogła jednak uwierzyć. Potem, wyjmując gotowe grzanki z opiekacza, wyobraziła sobie Schulza, który postępuje zupełnie po dyletancku, nie zna żadnego swego kroku, zanim go nie zrobi, i przy tym czuje się tak pewny, że ani myśli zrezygnować ze swoich nieuporządkowanych planów tylko dlatego, że policja depta mu po piętach. W takiego Schulza też nie mogła uwierzyć...

Katinka wróciła z mokrymi włosami i rzuciła wilgotne gazety na łóżko. Była rozczarowana, bo „Tagesspiegel” nie zamieścił nic na temat zajęcia domu przy Adam-Nitze-Strasse. Ona sama nie miała widać ochoty opowiadać o tym. Siedziała naprzeciw Roberta i Katarzyny po turecku w nogach łóżka, gryzła grzanki, popijała kawę, rozsypywała okruszyny, wreszcie powiedziała:

- No więc jak z tymi wypracowaniami z niemieckiego?

- Chwileczkę - odparł Robert i swoim dużym, szybkim pismem dodał jeszcze kilka słów i zdań do notatek. Siedział w łóżku lekko pochylony w przód, obok Katarzyny. Zawsze stał i siedział lekko pochylony w przód, jakby był krótkowidzem, faktycznie jednak nie miało to nic wspólnego z oczami. Jeszcze przed kilku laty sądził, że wkrótce będzie musiał nosić okulary. Obawiał się też, że zaczynająca się łysina czołowa powiększy się. W tej chwili jednak nie groziło mu ani osłabienie wzroku, ani łysienie. I chociaż nigdy nie uprawiał sportu i ciągle palił cigarilla, sylwetka jego robiła nieagresywnie atletyczne wrażenie. Poskrobał się w pierś pod frotową piżamą i zaczął:

- Po pierwsze: Rozpatrzeć postać hochsztaplera Felixa Krulla na tle przedstawionego w powieści społeczeństwa.

- No tak - mruknęła Katarzyna. - Krótszego już nie mogłeś wymyślić.

Katinka nie powiedziała nic, głośno gryzła resztki grzanek i wsuwała sobie kawałki salami do ust.



- Po drugie...

W gabinecie zadzwieczył telefon. Katinka i Robert spojrzeli na Katarzynę. Ta z westchnieniem wytoczyła się z łóżka i w pantoflach Roberta poczłapała do gabinetu, chwyciła słuchawkę.

- Pani Ledermacher?

- Tak.

- Z kryminalnej?

- Tak.

- Proszę przyjść do gabinetu doktora Jeremy'ego.

Proszę przyjść szybko.

Głos zazdrosnej kobiety. Katarzyna wyobraziła ją sobie jako kobietę otyłą. Gruba, astmatyczna i w brudnym szlafroku biega po gabinecie.

- Słyszysz pani?

- Tak, słyszę. O co chodzi?

- On nie żyje. Zastrzelono go.

- Doktora Jeremy'ego?

- Jego i jego żonę. Dopiero co, przed paroma minutami. Słyszysz pani?

- Kim pani jest? - spytała po chwili Katarzyna.

- Maurice Phelz, przez ph i z, proszę. Jestem w gabinecie doktora Jeremy'ego. To był mój najlepszy przyjaciel. Widziałem morderców. Było ich dwóch. Postarałem się, żeby pani mogła ich schwytać. Ja...

- Proszę zostać tam, gdzie pan jest, nic nie zmieniać.

- Oczywiście.

- Za pięć minut tam będę.

Katarzyna położyła słuchawkę. Przez 112 zaalarmowała kompetentnych kolegów. Potem próbowała złapać Gerfrieda. Kiedy czekała, żeby się zgłosił, Robert i Katinka przynieśli czerwone kozaczki, czerwone welwetowe spodnie i ciemny pulower. Właściwie, pomyślała, chodzę już ubrana jak Robert. Zawsze te same spodnie, zawsze te same kozaczki. Przypomniała sobie, że płaszcz z jagnięcej

skóry wisi w biurze. I że samochód Roberta stoi na parkingu policji kryminalnej na Gothaerstrasse. Gerfried nie zgłaszał się.

- Niech to diabli - mruknęła i cisnęła słuchawkę na widełki.

Robert przyniósł jej stary, zgnieciony trenecz.

- Ponieważ samochody są ci potrzebne tylko po to, żeby robić z nich bezużyteczne wraki lub parkować w odległym miejscu, powinniśmy chyba sprawić sobie komplet motorowerów, żebyś za każdym razem mogła dojechać do najbliższej stojącego wozu na chodzie - zaproponował łagodnym głosem.

Katarzyna zamówiła radiowóz.

- Mamo - powiedziała Katinka - o co to ja chciałam zapytać, aha, czy mogę przenieść się na najbliższe dni do twojej kawalerki? Potrzeba mi trochę spokoju.

## 12.

Deszcz już nie padał. Natomiast prószył śnieg i porywiste podmuchy wiatru z różnych kierunków pędziły przez ulice mokre płaty. Wsiadłszy z radiowozu Katarzyna zobaczyła, że przed domem przy Giesebrechtstrasse, w śnieżnej mazi, stoją już inne wozy policyjne. Przed bramą kamienicy chodził tam i z powrotem ociekający wodą i zły policjant. Zapewne miał powstrzymywać ciekawskich od wchodzenia do domu. Ale ciekawskich nie było.

Na pierwszym podeście klatki schodowej zobaczyła szkło z rozbitych butelek po piwie. W poczekalni funkcjonariusze w mundurach. W pokoju zgłoszeń łoskot, głosy, syk światła błyskawicy. Kiedy Katarzyna weszła, fotograf stał na jednym z biurków, żeby z właściwej perspektywy

sfotografować metalowe szuflady na kartoteki za biurkami. Były one wyrwane, brakowało kart. Na podłodze, w otwartych drzwiach laboratorium, leżała w kałuży krwi kobieta, młoda, ciemnowłosa, skulona. Katarzyna natychmiast ją rozpoznała: dziewczyna, która w piątek wieczorem śmiejąc się przeszła przez pokój z białym aparatem. Kontury ciała i kałuża krwi były obwiedzione kredą. Długie włosy leżały potargane i oblepione krwią na jasnym linoleum. Prawie każdy zmarły, którego Katarzyna widziała, ukazywał jej ostateczność swego stanu takim właśnie banalnym szczegółem. Ktoś, kto leżał, mógł się podnieść. Stratę krwi można było wyrównać. Ale żeby ta kobieta mogła wstać i umyć zabrudzone włosy, było już nie do pomyślenia.

Fotograf zeskoczył z biurka, skinął krótko głową. Miał obrażoną minę, jak zawsze. Przed laty Katarzyna nie zaśmiała się z dowcipnej uwagi, jaką rzucił podczas pracy. Postanowiła sobie, że przy następnej okazji będzie się śmiała z jego dowcipów. Ale fotograf nigdy już nie opowiedział dowcipu w jej obecności.

Z laboratorium wyłonił się doktor Martin, obszedł denatkę dokoła, przywitał się z Katarzyną ceremonialnie, na wpół osiwiwały oficer marynarki, na wpół niezadowolony bibliotekarz. Stosownie do poważnych sytuacji nosił zawsze ciemne, solidne ubranie.

- Postrzał w serce - powiedział. - Z odległości około dwóch metrów. Inaczej u doktora Jeremy'ego. Kiedy usłyszał strzał, zabijający jego żonę, wybiegł moim zdaniem ze swego pokoju tutaj i otrzymał również śmiertelną ranę postrzałową w prawą połowę czoła z odległości około czterech metrów. Zaraz pani zobaczy. Pomimo to próbował jeszcze wrócić do pokoju, zapewne, żeby wezwać telefonicznie pomoc, ale padł przed swoim biurkiem.

Doktor Martin mówił inaczej niż zazwyczaj, spieszenie i urywanie zarazem. Dziwnym trafem wydawał się też

lekką zakłopotany. Podczas wyjaśnień zdjął okulary, wyczyścił je i spojrzął na Katarzynę przez wyczyszczone szkła. Wyraźnie ociągał się z dalszymi informacjami. Powoli szedł za nią, gdy wchodziła do pokoju zabiegowego. Z gabinetu łączącego się z pokojem zabiegowym słychać było głosy. Zwłaszcza wysoki, skarżący się głos Maurice Phelza:

- Mówię wam, panowie, odciski palców mordercy znajdują się na tym bucie, uwierzcie mi w końcu!

Katarzyna szła za zaznaczonymi kredą śladami plam i strużek krwi, które ciągnęły się przez pokój zabiegowy, obok zakrytych białymi prześcieradłami szezłongów i aparatury medycznej. Zerwana gumowa zasłona leżała na podłodze.

- Chciał się jej zapewne przytrzymać - rzekł doktor Martin. - Potem upadł i ostatnie metry przeczołgał się przez otwarte drzwi.

Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy, którzy szli za Katarzyną od poczekalni, pchnął półotwarte, podwójne drzwi gabinetu, przy czym nadepnął na plamę krwi i zatarł rysunek kredą.

- Idiota - powiedział ktoś.

Głosy w gabinecie zamilkły, wysoki głos Maurice Phelza urwał się.

Za biurkiem stał niemal całkowicie łysy policjant zwany Julem, od Yula Brynnera. Przed biurkiem leżał doktor Jeremy, który nawet po śmierci wyglądał tak, jakby chciał wczłogać się na biurko. Obok zwłok, otoczony woreczkami plastikowymi i folią, klęczał kolega ze służby śledczej w gumowych rękawiczkach i równie ostrożnie co niepewnie obracał w rękę czerwony kozaczek. Kozaczek był zupełnie podobny do tych, jakie miała na nogach Katarzyna, tylko o kilka numerów większy.

W kącie, obok fotela ginekologicznego, siedziała na białym stołku grubawa kobieta. Miała czarne włosy jak

Katarzyna, takie same cienie na powiekach, jak Katarzyna, a nawet na nodze bez kozaczka widniały takie same czarne rajstopy, jakie nosiła Katarzyna. Siedziała w otwartym, zniszczonym płaszczu z jagnięcej skóry, którego dziurki na guziki były wystrzępione, wałki sadła wypływały między zbyt ciasnym paskiem welwetowych spodni a zbyt ciasnym pulowerem: złośliwa karykatura postarzałej Katarzyny. Przed nią leżała na wznak przewrócona brzydka torba na zakupy z pustymi butelkami po piwie. Z lewej i prawej strony kobiety stali dwaj umundurowani policjanci, wpatrzeni z lekko otwartymi ustami w obie Katarzyny.

Doktor Martin chrząknął.

- Przepraszam, właściwie chciałem to pani przedtem...

Upłynęło kilka sekund, zanim Katarzyna zdołała z jakim takim opanowaniem wypowiedzieć: - Aha.

Jul spokojnie obszedł biurko. Zanim jednak zaczął swoją relację, gruba kobieta zawołała głosem Maurice Phelza:

- Pani komisarz, chwała Bogu, że pani tu jest, wszystko pani wyjaśnię, tylko proszę, żeby ten pan zabezpieczył najpierw odciski palców mordercy na moim bucie, bardzo o to proszę. I proszę powiedzieć tym uprzejmym panom z lewej i z prawej, że nie zamordowałem Bernwarda i Ellen. Proszę. - Gruba kobieta usiłowała wstać. Uprzejmi panowie natychmiast chwycili ją za ramiona. Ale Katarzyna skinęła im uspokajająco.

- Więc to pan jest panem Phelzem? - zapytała.

Obaj policjanci puścili ramiona otyłej kobiety. Po ich twarzach widać było, że z trudnością przetwarzają tę nową informację. W końcu spojrzeli bezradnie na Jula. Ale Jul, doktor Martin i dalsi funkcjonariusze, którzy weszli za Katarzyną, patrzyli tylko na nieforemną Katarzynę, będącą panem Phelzem. Równocześnie pan Phelz zapewniał gorąco:

- Ależ tak, ależ tak, łaskawa pani komisarz - a kolega ze śledczej, wciąż jeszcze klęcząc, spoglądał na przemian to na but w swoich rękach, to na kozaczki Katarzyny.

Parę minut później Maurice Phelz i Katarzyna siedzieli naprzeciw siebie w drugim, mniejszym pokoju. Drzwi do gabinetu były zamknięte. Od czasu do czasu dochodziły stamtąd głosy policjantów, ale przytłumione. Maurice Phelz masował swoją nieobutą nogę, potem otworzył błyskawiczny zamek drugiego buta.

- Pani pozwoli? - mruknął. - Byłem mianowicie za próżny. Powinienem wziąć numer większe - dodał, rzuciwszy zawistne spojrzenie na małe kozaczki Katarzyny.

- A zatem - powiedziała Katarzyna - to był pan. Pan dzwonił, kiedy byłem w piątek wieczorem u doktora Jeremy'ego.

- Tak. - Phelz lekko się uśmiechnął. Maleńką chusteczką otarł sobie pot z czoła.

- Pytał pan o mnie?

- Tak.

- Dlaczego?

- Zwróciła pani moją uwagę. Po tamtej stronie, w mojej kuchni, umieściłem teleskop. Może zechce pani sobie potem obejrzeć. Dzięki temu mogę dokładnie obserwować, kto wchodzi do pokoju zgłoszeń doktora Jeremy'ego. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie chodzi mi o szpiegowanie. Ale interesują mnie kobiety. Jestem bowiem najwybitniejszym niemieckim specjalistą od ról kobiecych-wyjaśnił. - Czy nie była pani przypadkiem w listopadzie ubiegłego roku w Paryżu?

- Nie - odparła Katarzyna.

- Szkoda. Mogła mnie pani zobaczyć w „Chez nous”, a dwa lata temu w „Alkazarze”. Tego pani też nie zna?

- Niestety, nie.

- A berlińską wersję „Happy endu”? Nawet to pani umknęło?

- Obawiam się.

Maurice Phelz westchnął.

- Jak się więc pani zarekomendować? Widzi pani, moją specjalnością są światowe damy. Przed dziesięcioma laty miałem wspólną garderobę z Zarah Leander, wtedy byłem jeszcze młody. Teraz, w moim wieku, musiałem przestawić się na role charakterystyczne. To znaczy: robić studia. Wie pani - rzekł Phelz prostodusznie - kiedy przedstawiam kobietę, publiczności ogromnie się to podoba.

Katarzyna spojrzała na niego.

- A doktor Jeremy pozwolił panu robić studia?

- W pewnych ramach, tak. Wiedział, że obserwuję sekretariat przez teleskop. Ale nigdy nie nadużyłem jego zaufania.

- Dlaczego pozwolił panu zaglądać przez teleskop do sekretariatu?

- Bo był uczynny. Pomagał każdemu, kto go o coś poprosił, jeżeli mówiło się z nim otwarcie.

Phelz drżał.

- Ach, te świnię, co go zamordowały. Cudzoziemcy! Przeklęte pedały!

- Pedałowaci cudzoziemcy?

- Ach - rzekł Phelz zmieszany. - To tylko takie wyzwisko, wie pani. Jak się to mówi. Ostatecznie co jest w naszym społeczeństwie gorszego od pedałów i cudzoziemców. Odkąd nie mamy już do dyspozycji Żydów. Prawda? W rzeczywistości ci dwaj nie byli ani pedałami, na to mam ostatecznie oko, ani cudzoziemcami, to się przecież też widzi.

- Jacy dwaj?

- Którzy zamordowali Bernwarda i Ellen.

- Panie Phelz, proszę opowiedzieć wszystko od początku.

- No, rozumie pani, byłem wręcz podniecony, gdy Bernward powiedział mi wieczorem, po pani wyjściu, że pani jest komisarzem. Większość jego pacjentek, żeby prawdę powiedzieć, nie jest zbyt użyteczna dla mnie. Wariacje typów, które już dawno zmagazynowałem u siebie, jeżeli wolno mi się tak wyrazić. Interesujące osobistości trafiają się rzadko. A komisarza jeszcze nigdy nie miałem okazji studiować. Postarałem się w sobotę o niezbędne akcesoria. Proszę nie osądzać nazbyt surowo pierwszej próby upodobnienia się do pani. To, co pani tu widzi, nie jest jeszcze przeznaczone dla publiczności. Chodzi, żeby się tak wyrazić, o pierwszą próbę, raczej kopię niż analizę, jeżeli mnie pani rozumie. Zużyłem całą sobotę na to, by ją przygotować. Dzisiaj chciałem Bernwardowi pokazać, jak daleko zaszedłem. Przykładałem wielką wagę do jego krytyki. Zwłaszcza zaś do tego, co mówi Ellen.

- Jak długo był pan z nimi zaprzyjaźniony?

- Od dwunastu lat. Odkąd Bernward i Ellen otworzyli tu praktykę. Przedtem miał w południowych Niemczech inną żonę, zresztą z synem, i inną praktykę. No, ale Ellen była taka czarująca. Zawsze mnie jednak fascynowało, jak ginekolog może mieć prywatnie przyjemność z tego, co mu się w życiu zawodowym w najbardziej zepsutym i nieprzyjemnym stanie po tysiącokroć podtyka pod nos. Pardon. Czy uważa pani tę myśl za niedorzeczną?

- Nie.

- A zatem my, kobiety, jeżeli mogę tak powiedzieć, nie możemy tego zrozumieć. Ale Bernward był mężczyzną.

Zastanowił się, jakby walczył z wątpliwościami, potem potwierdził poważnie:

- Jednak tak. Był nim.

- Czy często pracowali tutaj w niedzielę?

- Właściwie w każdą. Ellen pracowała w laboratorium, on uzupełniał kartoteki. Co niedziela przez dwie



godziny, tak między dziesiątą a dwunastą. O tym ci goście, co mu skradli kartoteki, oczywiście nie wiedzieli,

- Proszę po kolei, panie Phelz.

- Krótko po dziesiątej spojrzałem szybko przez teleskop.

- Do sekretariatu?

- Do sekretariatu. Ponieważ widziałem Ellen idącą do laboratorium. Wobec tego zadzwoniłem. Zawsze dzwonię, zanim przyjdę. Nigdy nie poszedłbym bez uprzedzenia.

- Czy nie odniósł pan nigdy wrażenia, że naprzykrza się pan doktorowi Jeremy'emu i jego żonie?

- Owszem - przyznał Phelz. - Czasem z pewnością naprzykrzałem mu się. Z drugiej strony korzystał z moich odwiedzin. W każdym razie kiedyś tak się wyraził.

- Jak się wyraził?

- Powiedział, że uczy się czegoś ode mnie. W tym sensie, że sposób, w jaki przedstawiam różne cechy, nasuwa wnioski nie tylko co do mnie, jasne, prawda, lecz także co do oryginałów, że tak powiem. Czasami co prawda uważał mnie za bardziej oryginalnego niż sam oryginał, jeżeli mnie pani dobrze rozumie.

- Czy dzisiaj, kiedy zadzwonił pan krótko po dziesiątej, doktor Jeremy od razu zgodził się, żeby pan przyszedł?

- Tak. Był w dobrym humorze i śmiał się. I zawołał do Ellen, żeby mi otworzyła drzwi. W niedzielę, gdy pracują, są oczywiście zamknięte. Mój Boże! - Phelz uderzył się w głowę, aż peruka z czarnymi włosami lekko się zsunęła i grzywka zwisała mu w poprzek czoła. - Otworzyli drzwi i wrócili do swojej roboty. A gdy usłyszeli, że ktoś wchodzi, myśleli, że to ja. A to byli tamci.

- Gdzie ich pan spotkał?

- Na klatce schodowej, zaraz na pierwszym podejściu. Właśnie wchodziłem, gdy oni schodzili. Ładne twarze, trochę twarde i może pospolite. Blondyni. Nie wysocy, raczej przysadziści. Ale zupełnie postawni. I niezwykle

podobieństwo! Myślę sobie: oto jeden idzie dwa razy. Obaj w skafandrach, w rękawiczkach. I wloką walizkę i dwie torby na zakupy. Co prawda ja też miałem torbę ze sobą.

- Z pustymi butelkami po piwie?

- Tak. Chciałem je potem oddać u Kappla. To knajpa na rogu.

- Ile czasu upłynęło pańskim zdaniem pomiędzy pana telefonem a spotkaniem na schodach?

- Wyszedłem zaraz po telefonie. Ale zanim zbiegłem na dół, potem obszedłem Clausewitza aż do rogu Sybelstrasse i dalej do Giesebrechtstrasse, no, pięć, sześć minut na to potrzeba.

- Zatem spotkał pan tych dwóch na pierwszym podejściu?

- Tak. Ustąpiłem im nawet miejsca, uczepiłem się poręczy, żeby tamci mogli precyzyjnie się z walizką i torbami koło mnie i mojej torby. Wtedy zobaczyłem, że w torbach tkwi kilka kartotek Bernwarda. Wiem przecież dokładnie, jak wyglądają.

- Co pan zrobił, zobaczywszy karty?

- Nie miałem dużo czasu. Kiedy uświadomiłem sobie, że widziałem karty, tamci byli już o dwa stopnie niżej. Rzuciłem więc, jakbym się potknął, moją torbę pod kolana jednemu, a sam wylądowałem na plecach drugiego. Byli zaskoczeni. Jakby szukając pomocy chwyciłem jednego, zerwałem mu rękawiczkę, potem padłem na schody i oba buty wyciągnąłem przed nimi. Jestem wytrenowany w padaniu, kiedyś tańczyłem w balecie. Tamci ledwo mogli utrzymać się na nogach. Klęli głośno, a ten, któremu zdarłem rękawiczkę, chwycił gołą ręką mój but i wykręcił mi nogę. Co za ordynarność. Drugi kopnął mnie w tyłek. Doprawdy niezwykle zachowanie się wobec starszej damy.

- A potem?

Phelz znowu otarł czoło:

- Potem podnieśli torbę, która im upadła, zebrali

zgubione karty spośród stłuczonego szkła, wepchnęli z powrotem do torby, chwycili rękawiczkę, przeszli przede mną i znikli. Pokuśtykałem najszybciej jak mogłem na górę i zobaczyłem Ellen. Chciałem pójść do gabinetu, do Bernwarda. Wtedy zobaczyłem Bernwarda. Na jego biurku w podkładce tkwiła pani wizytówka. Bernward napisał na niej pani prywatny numer.

- Skąd pan zadzwonił?

- Z telefonu na biurku Bernwarda. Kiedy nie ma przyjęć, telefon zawsze jest przełączony bezpośrednio.

Drzwi do pokoju otworzyły się. Jul wetknął swoją łysą głowę.

- Doktor Martin odjechał. Służba śledcza i fotograf też są gotowi. Czy mogę odejść?

- Tak - powiedziała Katarzyna. - Zaraz będę w biurze. Byłoby dobrze, gdybym wkrótce dostała wyniki.

- Okay, pani Ledermacher. - Jul cofnął głowę, zamknął drzwi.

- Czy to znaczy - spytał Phelz - że mogę nałożyć buty?

- Zaraz - odparła Katarzyna. - Jeszcze tylko kilka pytań. W jakim wieku byli ci młodzi ludzie, których spotkał pan na schodach?

- Około dwudziestki, najwyżej - mruknął Phelz i znowu otarł sobie czoło zupełnie już zgniecioną chusteczką. - Mój Boże! A ja myślałem, że oni chcieli tylko wykraść kartotekę, żeby szantażować Bernwarda, tak sobie pomyślałem.

- Może chcieli też tego - odparła Katarzyna. - Poza tym ja takiej delikatnej chusteczki nigdy nie noszę. Musi pan to skorygować, panie Phelz.

- To moja chustka - rzekł Maurice Phelz i spojrzał na nią z lubością. W tej chwili z gabinetu doszedł twardy, brzęczący łomot, jakby upadł jakiś metalowy przedmiot. Phelz wzdrygnął się. Zaraz potem gwałtownie rozwarto drzwi. Wszedł Gerfried, w kapeluszu i płaszczu, z ciężkim,

żelaznym drągiem w rękę. Jego buty i spodnie były obryzane błotem, płaszcz pełen plam od farby, przemoczony kapelusz stracił fason. Zakłopotany i nieufny patrzył to na Katarzynę, to na rozglądającego się trwożnie pana Phelza. Potem zwrócił się do Katarzyny, wciąż jednak zerkając na Phelza.

- Przepraszam - mruknął - jeżeli przeszkadzam. Upadł mi właśnie na podłogę. Jest z placu budowy Schmöllera w Zehlendorf.

Cztery godziny później Gerfried siedział przy biurku Doris Wingert, na którym leżał w poprzek żelazny drąg, a Katarzyna chodziła tam i z powrotem po swojej przekątnej. Na kaloryferach suszyły się buty Gerfrieda. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Na Gothaerstrasse nie było ani ludzi, ani samochodów, wszystko pokrywała cienka warstwa śniegu. Ślad samochodu, który przejechał kwadrans temu, było jeszcze wyraźnie widać.

We wszystkich pomieszczeniach doktora Jeremy'ego przeszukali każdy centymetr, zbadali każdy papier. Ale nie znaleźli starej taśmy magnetofonowej. A z papierów interesujące wydawały się tylko dwie karty, leżące pod przyciskiem na biurku doktora Jeremy'ego. Zawierały one wpisy dotyczące Elisabeth Bordihn z domu Schneider i Marii Remper z domu Blatt. U pani Bordihn doktor Jeremy stwierdził ciążę w piątym miesiącu i zaburzenia rytmu serca płodu, u pani Remper cystę w lewej piersi. Ostatnie wpisy na obu kartach były sprzed dwóch lat, a na karcie Marii Remper widniała uwaga: z polecenia E. Bordihn. Widocznie dopiero niedawno umieszczono dodatkowe zapiski: „k.odebrać” na karcie Elisabeth Bordihn i „zapytać” na karcie Marii Remper. Żadna z ładnych dziewcząt z pokoju zgłoszeń, którym Gerfried zakłócił niedzielne popołudnie, nie umiała wytłumaczyć, co doktor Jeremy

zamierzał zrobić z tymi kartami i co oznaczają notatki świeższej daty.

Podczas gdy Gerfried wypytywał dziewczyny, Katarzyna zawiadomiła syna doktora Jeremy'ego, który studiował prawo w Getyndze, i otrzymała od służby śledczej informację o odcisku palca na bucie Maurice Phelza. Należał on do Kuna Höpnera, lat 22, który ze swym bliźniaczym bratem, Kurtem, od dwunastu lat był zarejestrowany w policji z powodu włamań do kiosków, ucieczek z domów poprawczych, kradzieży samochodów, rabunku z obrażeniem ciała. Pomijając krótkie okresy, gdy kryli się podczas ucieczki, całe swoje dzieciństwo i młodość spędzili tylko w domach poprawczych i młodzieżowych zakładach karnych. Rodzice ich zostali pozbawieni praw rodzicielskich, kiedy dzieci miały siedem lat, matka zaniebdywała je, a ojciec wielokrotnie znęcał się nad nimi. Od kąd rok temu bracia zaczęli pracować jako pomocnicy budowlani, nie weszli w kolizję z prawem. Teraz co prawda wydawało się, że wykorzystali ten rok na to, by zdobyć umiejętność obchodzenia się z bronią. Katarzyna natychmiast posłała patrol policyjny do mieszkania przy Neuköllner Strasse, gdzie obaj byli zameldowani. Mieszkanie było oczywiście puste.

- Siedzą sobie teraz gdzieś w mieście ze skradzioną kartoteką - powiedziała Katarzyna, chodząc tam i z powrotem, raczej do siebie niż do Gerfrieda.

- I z taśmą magnetofonową - uzupełnił Gerfried.

- Sądzi pan? - Katarzyna przystanęła tuż przed kantem biurka. Od powrotu z urlopu nie miała jeszcze siniaka na udzie. - Nie wiem - powiedziała. - Gdzie mógł doktor Jeremy przechowywać taśmę? Chyba nie w pokoju zgłoszeń? Już raczej w swoim biurku lub na nim. Oczekiwał mnie przecież. Ale bracia Höpner wcale nie wchodzili do gabinetu doktora.

- Czy pani jest tego pewna? - spytał Gerfried.

- Tak. Mamy odciski butów w pokoju zgłoszeń, które mogą pochodzić tylko od Höpnerów. Brak ich w gabinecie i pokoju zabiegowym.

Gerfried milczał, zapalił papierosa.

- Gdyby byli w gabinecie - mówiła dalej Katarzyna - czy zostawiliby moją wizytówkę zatknietą za podkładkę? I nie wzięliby obu kart? - Po kilku zaś krokach, ponieważ Gerfried spoglądał tylko spoza obłoczków dymu, misternie ukształtowanych w kółka, dodała: - Pytanie, czy szukali czegoś określonego. Czy też chcieli mieć całą kartotekę.

Zabrzączał telefon. Gerfried zdjął słuchawkę, słuchał, potem rzekł: - Tak, dziękuję. Zaraz przyjdę po akta. - Zawiesił słuchawkę i powiedział: - Akta spraw Bordihna i Rempera.

Katarzyna spojrzała pytająco.

- Obaj dzieciobójcy - wyjaśnił Gerfried.

Nagle Katarzyna przypomniała sobie. Przed dwoma laty w ciągu niewielu miesięcy zaszły dwa wypadki dzieciobójstwa. W gazetach pisano wtedy dużo o działaniu bez namysłu i odruchowej reakcji.

- Dobrze, Gerfried - powiedziała Katarzyna. Ale Gerfried nie reagował. Obraz, jaki starali się sobie stworzyć, gmatwał się coraz bardziej, im więcej dowiadawali się szczegółów. Gerfried cierpiał z tego powodu.

- Tak - rzekł wreszcie - musimy się jeszcze zatroszczyć o obu funkcjonariuszy, którzy zostali wezwani 14 stycznia na Adam-Nitze-Strasse. Ich nazwiska i dyżury będę miał, jak mówiłem, dopiero jutro rano. Wtedy będziemy mogli pokazać im ten drąg. Moim zdaniem jest nie do odróżnienia od łomów, jakich używali ludzie Sieberta, zajmujący dom Am Sandwerder.

Katarzyna skinęła głową.

- No to koniec na dzisiaj - powiedziała. - Jak się ma Doris?

- Kiedy dzwoniłem, spała. Matka sądziła, że wkrótce się chyba wykaraska. - Gerfried chrząknął. - Miałbym jeszcze prośbę. Czy mogłaby pani zabrać mnie do dworca Zoo? Mój wóz nie chce zaskoczyć. - Przyznanie, że jego starannie pielęgnowany samochód zawiódł, kosztowało go dużo. - Stoi na Bayerischer Platz. Do tego miejsca jeszcze dotarłem.

Hildegarda zdawała się, zgodnie z metodą lucki-lucki, przede wszystkim psuć samochody.

- Człowieku - odparła Katarzyna. - Tylko bez ceregieli. Zawiozę pana szybko do domu.

- Ale to dla pani z drogi - podsunął Gerfried. Mieszkał w osiedlu „Idylla Leśna” za lotniskiem Tegel. Rzeczywiście odwiezienie go do domu było dla niej nałożeniem drogi. I Katarzyna przypomniała sobie poniewczasie, jak bardzo irytował ją Gerfried jako pilot. Postanowiła zatrudnić go w czasie jazdy.

- Ach, co tam z drogi - powiedziała. - Niech pan odbierze akta Bordihna i Rempera i przeczyta mi po drodze to, co najważniejsze.

Znowu zaczął padać śnieg. Katarzyna puściła w ruch wycieraczki volkswagena Roberta i jechała ostrożnie w mroku, po brudnym śniegu. Ruch stawał się coraz większy. Ludzie, którzy w niedzielę wieczorem chcieli zjeść gdzieś poza domem lub pójść do kina, ruszyli w drogę. Gerfried siedział obok Katarzyny, trzymając na kolanach akta. Czasami musiał je podsuwać niewygodnie pod światło tablicy rozdzielczej, żeby móc czytać.

- Martin Bordihn, lat trzydzieści, nauczyciel-stażysta w szkołach średnich w Hamburgu, później nie dopuszczony do służby państwowej z powodu wątpliwości co do jego nastawienia do konstytucji i zasad wolnościowych. Ostatnio pracował dorywczo w berlińskim zakładzie oczyszczania

miasta. Karany za czynny opór stawiany policji przy aresztowaniu w związku z nielegalną demonstracją, 1968, Hamburg. Żonaty, dwoje dzieci. Żona Elisabeth była dawniej również nauczycielką. Martin zabił swoje trzecie dziecko, które urodziło się zniekształcone, trzy tygodnie po urodzeniu. Czy nie powinniśmy teraz skrócić w lewo?

- Co znaczy zniekształcone?

- Dziecko przyszło na świat bez rąk i nóg. Bordihn przyznał się przed sądem do winy, nie, teraz znowu prosto, o tak. Przyznał się, ale czyn swój uważał za usprawiedliwiony i, jak powiedział, powtórzyły go w razie potrzeby. Jego zdaniem byłoby nieodpowiedzialne tak bardzo zniekształcone dziecko chować w tak wrogim dzieciom społeczeństwie, jak nasze. Sąd uznał jego szczerą, ale za okoliczność obciążającą przyjął fakt, że męczył dziecko.

- Męczył?

- Kiedy żona poszła do lekarza na badania kontrolne, Bordihn dał dziecku butelkę z silnym środkiem usypiającym. I pozwolił mu zasnąć. Ale dziecko umarło nie z powodu zatrucia środkiem nasennym, lecz udusiło się wymiocinami. Prokurator podkreślił to, jak widzę, szczególnie mocno. I sąd przychylił się do jego zdania. Tutaj trzeba się było ustawić na prawym pasie.

- Czy nazwisko lekarza podane?

- Tak. Chwileczkę. Doktor Jeremy, Giesebrechtstrasse.

Katarzyna skinęła głową.

Gerfried otworzył drugą teczkę.

- Gerhard Remper, trzydzieści pięć lat, spawacz, żonaty, siedmioro dzieci. Pewnego popołudnia, gdy żona Maria poszła na dziesięć minut do poradni dla matek na przeciwko, nogą stołową rozbił czaszki dwojgu swoim dzieciom, trzyletniej dziewczynce i pięcioletniemu chłopcu. Zabiłby może dalsze swoje dzieci, gdyby starsze nie uciekły z krzykiem do sąsiadów. Słyszy pani, ale się ledwie zmieścił. Nie przepuściłbym tego łobuza. Przed sądem



Remper nie potrafił podać motywu. Przedstawiają go jako człowieka pracowitego, choć trochę tępego, ze skłonnością do porywczosci zwłaszcza pod wpływem alkoholu. Świadkowie twierdzili, że Remper pił również tego dnia po południu i rozdrażniły go kłótnie dzieci. Żona zdaje się nic na ten temat nie zeznawała. Sąsiedzi i władze uważają ją za dobrą matkę i wierzącą katoliczkę. Dlatego też pozostawiono jej na razie dzieci, chociaż rodzina mieszka teraz w osiedlu dla bezdomnych.

- Gdzie?

- W Harke. Teraz w prawo, potem pierwsza w lewo. - Ulica prowadziła przez osiedle małych szeregowych domków.

- Tutaj, proszę.

Katarzyna zatrzymała wóz. Żona Gerfrieda pracowała jako buchalterka w wydawnictwie. Kosztem wielkich ofiar zdobyli sobie domek. Będą go spłacali aż do przejścia na emeryturę. Domek wyglądał w ciemności mniej szablonowo niż inne. Może dlatego, że rolety były świeżo pomalowane i błyszcząły w blasku ulicznych latarni. W wąskim ogródku rosła małeńka jodełka.

- Bardzo dziękuję, pani Ledermacher - powiedział Gerfried - i przepraszam, jeżeli byłem trochę nerwowy podczas jazdy.

Wysiadł, zanim zdążyła odpowiedzieć. Równocześnie otworzyły się od wewnątrz drzwi domu. Stała w nich żona Gerfrieda i jego bliźniaczki, jasno oświetlone lampą nad wejściem. Gerfried przeszedł do nich szybko po mokrym śniegu, uściskał żonę, pochylił się czule nad dziećmi, pogłaskał je.

Podczas gdy Katarzyna ruszała, przypomniało jej się, że przed jej urlopem Gerfried pytał ją, czy mógłby pokazać dzieciom miejsce swojej pracy. Postanowiła zaproponować mu jutro rano jakiś termin.

Przez resztę wieczoru najpierw pomagała Robertowi przy ustawianiu na nowo półek z książkami. Potem zastanawiała się, czy nie powinna pójść do Lotti Bensch. Ale nagle poczuła się zbyt zmęczona. Siedziała na krześle przed biurkiem, rozkraczywszy nogi jak zmęczona chłopka wieczorem, i przyglądała się Robertowi. Robert wbijał dyble i gipsował prawie do jedenastej. Później zadzwoniła Katinka. W lodówce znalazła tylko prawie pustą butelkę wódki. Ale poza tym, podobało jej się w kawalerce Katarzyny.

### 13.

Nazajutrz kwadrans po siódmej rano Katarzyna zastała na swoim biurku pismo z zamazanym stemplem: Poufne! Przeglądała kartki i miała wrażenie, że poza nią jeszcze szereg innych osób musiało pracować przez niedzielę: ludzie zajmujący dom, kierownik wydziału senackiego urzędu do spraw młodzieży i sportu doktor Hiller, pan Eberhard Schmöller, a także anonimowy autor pisma, jak też ci, którzy je w niedzielę w nocy lub dziś wczesnym rankiem przepisali i skopiowali.

Katarzyna wstała i otworzyła drzwi do pokoju Gerfrieda, żeby dowiedzieć się, co mu o tym wiadomo. Gerfried telefonował i tylko skinął jej krótko.

Usiadła znowu przy biurku i zadzwoniła do kierownika referatu. Ale nie było go jeszcze. Właśnie odłożyła słuchawkę, gdy zabrzączał telefon. Meldował się Zobel.

- Dzień dobry, pani Ledermacher. Odkryła pani coś na swoim biurku?

- Owszem.

- Chwileczkę - powiedział. - Zaraz przyjdę.

W niecałe dwie minuty siedział już naprzeciw niej przy biurku Doris, poprawny, z przyzwoicie założonymi nogami. Teraz miał na nogach ciemnoszare skarpetki.

- Sprawozdanie - powiedział - ma pani ode mnie. A ja je mam od szefa. A szef ma je dzięki swoim dobrym stosunkom z Urzędem Ochrony Konstytucji. Bo poza nami ze specjalnego referatu i Anglikami również Urząd Ochrony Konstytucji jest w tym zainteresowany, żeby się dowiedzieć, gdzie są tamte dwa granaty i kto ma zamiar ich użyć.

- Ja też - odparła Katarzyna. - Ja też się tym bardzo interesuję.

- Pani też, oczywiście.

- Ja przede wszystkim - powiedziała Katarzyna.

- Co do tego istnieją u nas, a więc w referacie specjalnym, wątpliwości - oświadczył Zobel. - Zresztą również w Urzędzie Ochrony Konstytucji. I u Anglików. Ale ja zarządziłem, żeby panią informowano.

- To ładnie z pańskiej strony.

- Tak. - Zobel uśmiechnął się lekko. - Ja też tak uważam.

- Innymi słowami - powiedziała Katarzyna - Urząd Ochrony Konstytucji, Referat Specjalny i Anglicy nie są ze sobą zgodni, kto jest kompetentny odnośnie tych granatów. Dlatego pozwalają mi się tym na razie zajmować.

- Mniej więcej tak. Urzędowi Ochrony Konstytucji udało się tymczasem wepchać swoją wtyczkę między tych, co zajmują dom przy Adam-Nitze-Strasse. Skoro pierwszy granat wyłądował w domu Am Sandwerder, możliwe, że dwa następne wyłądują na Adam-Nitze-Strasse.

- Być może - odparła Katarzyna.

- Prawda? Żeby zdobyć co do tego pewność, nasz człowiek ma polecenie, by w razie grożącej konfrontacji z policją skłonić okupujących dom przy Adam-Nitze-Strasse do czynnego oporu.

- Głupota - rzekła Katarzyna.
- Jak to? - spytał Zobel urażony. - Oczywiście, że nasz człowiek ma też polecenie uniemożliwienia użycia granatów, skoro będzie wiedział, kto je ma.
- Nie zaskoczy.
- Jasne, że zaskoczy, pani Ledermacher. Chłopak jest oblatany. To uczeń ojca Józefa, przeszedł do Ochrony Konstytucji, bo mu tam więcej dali.

Ojciec Józef, zwany tak z powodu ciemnej brody i łagodnego sposobu mówienia, był w końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych funkcjonariuszem policji kryminalnej o szczególnie wielkich sukcesach. Należał do oddziału zwiadowczego i służb specjalnych, którego zadaniem było wmieszać się między demonstrujących w charakterze demonstrantów, żeby w ten sposób od wewnątrz kontrolować te demonstracje i opozycyjne akcje i sterować nimi. Co prawda ojciec Józef tak dobrze przyswoił sobie polityczne poglądy przedmiotów swoich studiów, że kierownictwo policji nie wiedziało już, po czyjej stronie ojciec właściwie stoi. Wycofano go potem z czynnej działalności i mianowano docentem metod psychologicznej dywersji wśród przeciwników praworządneho państwa w policyjnej szkole oficerskiej w Hilstrup. Teraz co prawda również tam zaczęto głośno wysuwać wątpliwości, czy nie zaraża raczej policji lewicowymi poglądami.

- A tymczasem - powiedziała Katarzyna - wasz szpi-cel ma w kieszeni dżinsowej kurtki kasetę z wbudowanym mikrofonem, nagrywa wszystko, co mówią między sobą chłopcy, okupujący dom, i co wieczór rzuca po kryjomu pełną kasetę na ulicę, wprost do starego fartucha starej babuleńki, która przypadkowo przechodzi. Potem babuleńka przynosi kasetę do Urzędu Ochrony Konstytucji, gdzie układa się ze zdobytego materiału pełne napięcia sprawozdania.

- Mniej więcej tak - odparł Zobel. - Z wyjątkiem starej

babuleńki. Na to Urząd Ochrony Konstytucji jest zbyt konwencjonalny. Oni stawiają pewnie przed domem kogoś, kto już z odległości dziesięciu metrów pod wiatr wygląda jak przebrany agent. I to jest jedyny punkt, który może popsuć sprawę.

- Nie jedyny - powiedziała Katarzyna.

Kiedy Zobel poszedł, Gerfried wciąż telefonował, koleżanki zaś, które miały obserwować Lotti Bensch, nie zgłosiły się jeszcze ze swoich biur, Katarzyna zaczęła czytać pismo z niechętną, wyostrzoną przez niesmak uwagą.

#### Drugie sprawozdanie

Piątek wieczór. Osiem okupujących osób płci męskiej i trzy żeńskiej przez siedem godzin naprawiało okna i drzwi na pierwszym piętrze. Delegaci berlińskich gimnazjów jak też uczniowie z kilku przedsiębiorstw przynieśli kwity za zapłacenie rachunków BEWAG za wodę i światło. W kierowniczych rolach występują: doktor Anna Hudetz, lat 27, Helmut Behrmann, lat 22, student socjologii, Karl Ernst, lat 23, ślusarz samochodowy. Tych troje zna się od lat ze wspólnej pracy w grupach młodzieżowych. Część innych ma dopiero po osiemnaście lat. Stosunek okupujących do pozostałej w domu rencistki, Teresy Baier, jest dobry. Baier przez „i”. W mieszkaniu pani Baier ustawiono żelazny piecyk.

Teresa Baier: No dziękuję wam... (niezrozumiałe szmery). Teraz to już da się jakoś mieszkać. Z wygodami, prawie jak za dawnych lat. I... (niezrozumiałe) wodę mamy także. No, to zaraz zrobimy kawę dla wszystkich. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli kłopotów przeze mnie.

Kilku okupujących (?): Zajęliśmy dom, bo to jest niesprawiedliwe, żeby stał pusty... My chcemy... (niezrozumiałe) tę tu budę (?) doprowadzić do stanu używalności...

Teresa Baier: To byłoby pięknie. Myślę tylko ... (niezrozumiałe) nie znacie właściciela...

Helmut(?): Hej, chodźcie no tutaj, do babci Baier... (niezrozumiałe) na pierwsze piętro. Myślę, że powinniśmy wyjaśnić, jak my to sobie wyobrażamy... (niezrozumiałe).

Okupujący jeden przez drugiego: Pozwól, Helmut, niech Anna to wyjaśni. Ona to lepiej zrobi.

Anna: Zatem, pani Baier, chłopcy i dziewczęta tutaj są uczniami, studentami, księgarzami. Ja jestem pracownicą społeczną. I oficjalnie nie powinnam w tym uczestniczyć, bo jestem pracownikiem miejskim... (niezrozumiałe, rozmowy okupujących)... ale uczestniczę. Właśnie. Dlatego. Bo od miesięcy szukamy pomieszczeń, żeby założyć centrum spędzania wolnego czasu dla młodzieży, poradnię dla tych, którzy mają trudności w domu, w pracy... (niezrozumiałe, rozmowy). Dla wypuszczonych z zakładów poprawczych lub tych, co z nich uciekli, chcemy być miejscem kontaktowym, pomocą w znalezieniu mieszkania, przyjaciół, możliwości pracy czy kształcenia się. A narkomanów, którzy próbują zerwać z nałogiem, chcemy podtrzymywać w ich walce.

Teresa Baier: To są wszak ci z haszyszem i morfiną i tak dalej. Tych nie chcę tu mieć. Oni rzygają zaraz na parkiet. A mój mąż sam... (niezrozumiałe) Otto Pedischer, majster szewski (?)...

Okupujący (?): Nie ma obaw... na twój parkiet tylko właściciel jest łasy...

(śmiechy, rozmowy)

Trzecie sprawozdanie

Sobota przed południem, około dwunastej. Doktor Hiller z senackiego urzędu do spraw młodzieży i sportu miał

już widać przed zajęciem domu kontakt z okupującymi i właścicielem, panem Eberhardem Schmölllerem. Poza tym musiał porozumieć się z innymi działami senatu. Inaczej trudno wyjaśnić, że już dziś mógł zetknąć w swoim biurze delegację okupujących dom, doktor Annę Hudetz, Karla Ernsta i Erwina Mause, z panem Schmölllerem.

Schmöller: Ja nie będę pertraktował. Dom przy Adam-Nitze-Strasse należy do mnie. Kto w nim przebywa bez upoważnienia, dopuszcza się zakłócenia spokoju domowego, łaskawa pani.

Anna Hudetz: Kto umyślnie dewastuje dom, pozostający pod ochroną, podlega karze, prawda?

(Protest Schmöllera? Niezrozumiałe)...

Dr Hiller: Pomimo to, pani doktor, władze nie mogą aprobeować mniej lub bardziej gwałtownego, w każdym razie dokonanego bez zezwolenia objęcia pusto stojących mieszkań... Kompetentny urząd wyraża ubolewanie, że pani, pani doktor, postawiła się wobec nas w dwuznacznym świetle, udzielając jawnego poparcia takiej akcji. Z drugiej strony ufamy, że dzięki pani godnym uznania zdolnościom uda się osiągnąć zadowolający wszystkich kompromis. Już od dawna potrzeba nam w Kreuzbergu centrum rehabilitacyjnego, żeby zagrożoną młodzież włączyć do społeczeństwa. Pod tym względem jesteśmy z panią, Bóg świadkiem, zgodni. Adam-Nitze-Strasse to byłoby korzystne położenie, historyczny budynek otrzymałby nową funkcję. Przyjąwszy zgodę pana Schmöllera...

Schmöller: Nigdy. (Gwałtowny protest okupujących, rozmowy).

Dr Hiller: Wobec tego ... (niezrozumiałe) zesłiliśmy się nadaremno.

Schmöller: Chyba żeby sprawa czynszu została w zadowolającej mierze uregulowana.

Dr Hiller: Chciałem o tym mówić. Miasto nie może ... (zaaprobować?) okoliczności, na skutek których rodziny

tureckie były zmuszone opuścić mieszkania przy Adam-Nitze-Strasse... (niezrozumiałe). Ponieważ odnośne rodziny zostały tymczasem umieszczone gdzie indziej, a poza tym odmawiają powrotu na Adam-Nitze-Strasse...

Schmöller: Odmawiają, to dobre. Mają wypowiedzenie.

Dr Hiller: ...i żeby nie działać przed ewentualnym sądowym wyjaśnieniem stanu faktycznego, budzącego wątpliwości, moja propozycja po uzgodnieniu z innymi zainteresowanymi urzędami brzmi następująco: miasto wynajmie w budynku Roseniusa wszystkie mieszkania na drugim, trzecim i czwartym piętrze.

Schmöller: Doskonale.

Dr Hiller: Przenieśmy tam archiwum prasowe. Oba wolne mieszkania na pierwszym piętrze obok mieszkania pani Baier mają być oddane do dyspozycji dla pani eksperymentu grupowego, pani doktor. Miasto przejmie koszt czynszu.

Schmöller: Bardzo uspokajające.

Dr Hiller: Związane z tym ograniczone dotacje prawdopodobnie zostaną przyznane. Do naszych warunków będzie jednak należało, żeby żaden młodociany poniżej osiemnastu lat nie nocował w dzierżawionych pomieszczeniach.

Anna Hudetz: Przedyskutujemy pańskie propozycje.

Dr Hiller: A pan Schmöller... pan Schmöller zobowiąże się wreszcie wstawić drzwi i okna do gmachu Roseniusa, żeby zapobiec dalszemu niszczeniu.

Schmöller: Ani myślę.

(Protest okupujących, niezrozumiałe, chaotyczne rozmowy)

Dr Hiller: Jako powód prawnie jak najbardziej wątpliwego wrywania drzwi i futryn z nietkniętej poza tym budowli podał pan, że dawno już zadysponował natychmiastowe przystąpienie do renowacji.



Schmöller: Proszę to omówić z moim adwokatem w przyszły poniedziałek. Muszę teraz wracać do Frankfurtu. Dam znać.

Czwarte sprawozdanie

Sobota, po południu. Adam-Nitze-Strasse.

Głos kobiecy: Pomijając, że umowa proponowana przez władze, w swej obecnej formie, to miecz obosieczny... (niezrozumiałe, kilka głosów na raz).

Głos męski: Umowa nie przewiduje, żeby również cudzoziemscy robotnicy mieli tutaj miejsce, gdzie mogliby mówić o swoich troskach, gdzie im się pomoże... (głosy).

Inny głos: Oni powinni móc poznać się nawzajem. O to przecież chodzi. Zamiast pozwolić szczuć się wzajemnie na siebie, jak tutaj Jugosłowianie na Turków i tak dalej...

Anna Hudetz: Jeżeli będziemy żądali za dużo na raz, nic nie wskóramy.

... (niezrozumiałe)

Głos kobiecy: Przeciwnie. Musimy żądać wszystkiego, inaczej nic nie wskóramy.

Męski głos: Uważam, że przede wszystkim nie możemy się zgodzić, żeby jedna osoba, a więc ty, Anno, była za nas odpowiedzialna ...

Głosy, jeden przez drugi: Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za siebie nawzajem... Tak, to musi wejść do umowy.

Anna Hudetz: Myślę, Helmut, że macie do mnie zaufanie.

Helmut Behrmann: Ale władze także tobie ufają, Anno. To trzeba przecież...(niezrozumiałe)...

Anna Hudetz: Czy to nie... (niezrozumiałe, rozmowy).

Helmut Behrmann: Ten tam to Manfred. Dziś rano uciekł z zakładu wychowawczego na Oberstrasse, kiedy kazali mu szczoteczką do zębów szorować się domu.

Manfred (?): Włamałem się dwa razy do kiosków. To

była dwukrotna głupota. No tak, a potem tak to wyszło.

Okupujący, jeden przez drugiego: Chodź tutaj, Manfred. Usiądź tu... (niezrozumiałe)... towarzyszka Baier na pewno ma jeszcze kawę dla ciebie.

Teresa Baier: Co takiego, co takiego? Towarzyszka? Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy.

Głos mężczyzny: Wdowa po ortopedycznym mistrzu szewskim będzie ci... (niezrozumiałe)...

Anna Hudetz: Czy mam porozmawiać z twoim opiekunem?

Manfred: Mój opiekun... (niezrozumiałe) Dupa.

Anna Hudetz: ile masz lat?

Manfred : Siedemnaście....

Anna Hudetz: Na razie zostaniesz tutaj. Potem zobaczymy, co dalej.

Helmut (?): Także na noc?

Anna Hudetz: Oczywiście, że na noc.

#### Piąte sprawozdanie

Niedziela, przed południem. W nocy jakiś Jugosłowianin grzebał coś przy głównym kurku od wody w piwnicy. Myślę, że był przez was wysłany. Anna Hudetz, Helmut Behrmann, Karl Ernst i trzech uczniowie księgarscy w wieku dziewiętnastu, dwudziestu, osiemnastu lat, którzy pozostają na noc w domu przy Adam-Nitze-Strasse, Hudetz i Behrmann zresztą na jednym materacu, nie obudzili się. Ani Teresa Baier. Tylko Manfred. Zbiegł do piwnicy i stłukł Jugosłowianina. Rzecz dyskutowano natychmiast dziś rano, kiedy niezwykle wcześnie, między siódmą a ósmą, zjawili się również inni okupujący dom. Panuje powszechne przekonanie, że Jugosłowianin miał prowokować z polecenia właściciela, żeby stworzyć pretekst do niepodpisywania umowy. Postanowiono wykorzystać wszelkie możliwości, żeby na Adam-Nitze-Strasse mogła

nocować większa liczba młodych ludzi. Na przykład zachodniobierlińskie przedsiębiorstwa i szkoły, gdzie zbierano pieniądze na okupujących, mają być wezwane do wysłania delegatów do zajętego domu dla zademonstrowania solidarności. Dyskutowano nad sprawą dostarczania żywności.

(Uwaga: Niestety w czasie dyskusji baterie magnetofonu naszego współpracownika wyczerpały się. Dopiero później miał okazję odebrać nowe w umówionym miejscu.)

Wszedł Gerfried. W tej samej chwili zadzwoniła Gerda Baumann z młodzieżówki II. Katarzyna podsunęła Gerfriedowi papiery i podczas gdy je czytał, omówiła z Gerdą Baumann szczegóły obserwacji Lotti Bensch i mikrobusu volkswagena, do którego wsiądzie. Potem spojrzała na Gerfrieda.

- A więc Schmöller tu był - mruzczał Gerfried - a my nie mieliśmy o tym pojęcia. A poza tym, co to znaczy? Kto wsadził tam szpicla? Może my?

- Ochrona Konstytucji.

- Ojej. - Nikt nie umiał wyrazić dezaprobaty tak bezemocjonalnie, jak Gerfried. - Z trójki, która tu wchodzi w grę, kobiety co prawda nie uważam za szpicla.

Katarzyna skinęła głową.

- Ale, ostatecznie, co nas to obchodzi - rzekł Gerfried i westchnął. - Proszę. - Podał Katarzynie kartkę. - Dwaj funkcjonariusze, którzy czternastego stycznia byli na Adam-Nitze-Strasse. Jeden ma urlop. Zawsze bierze urlop w tym czasie, bo jeździ na nartach. Drugi...

- Widzę już - powiedziała Katarzyna. Drugie nazwisko na kartce należało do starszego sierżanta Herberta Witta. Tego samego, który znalazł Hildegardę w willi Am Sandwerder.

- Witt jest dziś od ósmej odkomenderowany na

ćwiczenia w strzelaniu - rzekł. - W Grunewaldzie. Poza tym podano mi wynik analizy obu pocisków, którymi zamordowano Bernwarda i Ellen Jeremy. Höpnerowie strzelali z Walthera, typ PPK.

Walther PPK to była służbowa broń funkcjonariuszy policji kryminalnej.

- Pamięta pani - rzekł Gerfried - Mohrmanna w Spandau?

Katarzyna przypomniała sobie swoją niezbyt szlachetną radość z cudzej szkody, gdy pół roku temu komisarz Mohrmann, pedantyczny zrzęda, został wplątany w knajpię w Spandau w bójkę, podczas której stracił ząb i służbowy pistolet. Ząb został później znaleziony przez patrol policyjny. Broń nigdy już nie wypłynęła.

Katarzyna wstała.

- Pojadę do Witta na plac ćwiczeń. Tymczasem potrzebny byłby mi ostatni stan adresów i ewentualnych miejsc pracy pani Bordihn i pani Remper. Zadzwońię z drogi.

- W porządku, pani Ledermacher.

- Co robi Towarzystwo Handlowe w Bremie?

- Puszczone w ruch. Biegnie.

- A identyfikacja Hildegardy?

- Też puszczona na nowo w ruch.

- Niestety, trzeba by jeszcze raz przeszukać pokoje ordynacyjne doktora. Może jednak coś tam przeoczyliśmy.

- Ja bym chętnie obejrzał mieszkanie małego Moritza, tego Phelza, czy jak on się tam nazywa. Jeżeli nie ma taśmy w gabinecie, jeżeli nie ukradli jej bracia Höpnerowie, nie pozostaje nic innego jak pogmerać u Phelza.

- Może - odparła Katarzyna. Wyobraziła sobie, jak Maurice Phelz jako podstarzała Katarzyna przykucnął na fotelu i cicho, przy zasłoniętych oknach, przestuchuje taśmę doktora Jeremy'ego. - Ale nakazu rewizji na to nie dostaniemy na pewno - dodała.

- Jasne - odparł Gerfried.  
- A poza tym, Gerfried, właściwie powinniśmy stale obserwować willę Am Sandwerder.

- Nie dostaniemy na to ludzi - odparł Gerfried.

- Jasne - szepnęła Katarzyna. - Gdzie jest ten drąg?

Gerfried chrząknął. Drąg leżał tam, gdzie go Gerfried wczoraj wieczorem położył, w odległości pięćdziesięciu centymetrów od Katarzyny, na biurku Doris. Ściśle biorąc była to żelazna rura z przyspawanym masywnym uchwytem. Wyglądała tak samo jak rury opłaconych przez Sieberta chłopców z willi.

- O dwunastej wielkie omówienie sytuacji, tutaj - powiedziała.

## 14.

Plac, używany przez pogotowie policyjne do ćwiczeń w strzelaniu, leżał niedaleko Avus. W ostatnim czasie przebudowano go. Jeden z instruktorów, spokojny, brodaty mężczyzna, zbliżający się do czterdziestki, przyszedł po Katarzynę do bramy wjazdowej i towarzyszył jej, żeby pokazać pagórki ziemne i obsadzone wały, pomiędzy którymi można było ćwiczyć krycie się i podchodzenie. Przystało padać, ale było wilgotno i chłodno. Kos odskoczył ociężałe tylko pół kroku w bok, gdy instruktor i Katarzyna przechodzili obok niego.

Instruktor z zadowoleniem opowiadał o sukcesach, ponieważ bezrobocie rosło, policja po raz pierwszy od lat nie miała kłopotu z narybkiem. Przeciwnie, można było starannie przebierać między kandydatami. Jedni przychodzili ze sportowego zacięcia. Drudzy, bo w Berlinie Zachodnim nie mogli być żołnierzami. Wszyscy, dla socjalnego zabezpieczenia.

Przed wielką malowaną panoramą, ustawioną między pagórkami ziemnymi i ukazującą domy, wieżę kościelną, płoty i drzewa, instruktor przystanął. Dziesięciu, dwunastu młodych mężczyzn, przeważnie nie mających dwudziestu lat, tylko dwóch pod trzydziestkę, niektórzy długowłosi, niektórzy wąsaci, wszyscy w ciemnooliwkowych mundurach polowych, w kurtkach z wielkimi kieszeniami na amunicję, czekało na wywołanie w niedbale sformowanym szeregu pod drewnianym dachem chroniącym od deszczu. Pierwszy obejmował jedną ręką szybkostrzelny karabin. Drugą ręką brał od innego instruktora, niskiego, żwawego mężczyzny z lokami na głowie, amunicję do karabinu. Instruktor z lokami miał na stoliku przygotowaną amunicję oraz jeszcze dwa pistolety.

- To jest karabin NATO, prawda? - spytała Katarzyna. - G3.

Obaj instruktorzy uśmiechnęli się. A młodzi mężczyźni spojrzeli wesoło na Katarzynę.

Na płaszczyźnie panoramy ukazała się ciemna tarcza. Miała kontury głowy i górnej części tułowia człowieka bez ramion. Młody mężczyzna odbezpieczył szybkostrzelny karabin.

- Oznaczenie celu - napomniął spokojnym głosem brodac, stojący koło Katarzyny.

- Cel dwie kreski na zachód od kościoła, na wprost przykryty płótem, odległość około trzydziestu metrów.

- Ognia.

Młody mężczyzna strzelił. Tarcza znikła. Mężczyzna zabezpieczył karabin, oddał lokowatemu nie zużytą amunicję.

Lokowaty przez stół podał Katarzynie jeden z pistoletów.

- Może chciałaby pani także, pani nadkomisarz, trochę poćwiczyć?

Na powierzchni panoramy pojawiła się nowa ciemna

tarcza z zarysem głowy i górnej części tułowia człowieka bez ramion. Młodzi policjanci spojrzeli na Katarzynę.

- Ja się uczyłam celować w ramię, rękę lub nogę - oświadczyła Katarzyna.

- My uczymy się celować w serce lub głowę. - Brodacz stał się odrobinę chłodniejszy.

- Tak - odparła Katarzyna - szukam właśnie ludzi, którzy już to umieją. Kiedy ich złapię, przekażę ich wam. Może was jeszcze czegoś nauczą. Na razie chciałabym mówić ze starszym sierżantem Wittem.

Powstała krótka przerwa. Młodzi policjanci odwrócili się, rzucali niezrozumiałe uwagi. Potem brodaty instruktor powiedział spokojnie:

- Starszy sierżancie Witt, proszę towarzyszyć pani Ledermacher do samochodu. Chodzi o zidentyfikowanie dowodu rzeczowego.

Młody, długowłosa mężczyzna wystąpił z szeregu czekających. Dotychczas Katarzyna nie zwróciła na niego uwagi. Teraz wydał jej się znajomy. Gdy szli z powrotem do samochodu, przypomniła sobie, że spotkała go przed laty na Gothaerstrasse. Miał nocny dyżur i wcześniej rano przyprowadził na przesłuchanie jakiegoś rockera. Niemal zasypiał przy tym ze zmęczenia.

- Pan chciał być kiedyś spawaczem, prawda?

- Tak - odparł Witt. - Pamiętam, że wówczas pytała mnie pani o to. - Nagle dodał: - I że o wiele za miękko potraktowała pani tego rockera.

Kos siedział jeszcze prawie na tym samym miejscu. Patrzył na nich z przekrzywionym łebkiem.

- Co pan ma na myśli? - spytała Katarzyna.

- A teraz nie podobają się pani nasze ćwiczenia w celowaniu.

Katarzyna milczała. Za nimi słychać było znowu G3.

- Rozumiem to. Lepiej byłoby, gdyby szło inaczej. Ale już nie idzie inaczej. Powiedziałem pani wtedy, że mój

ojciec jest spawaczem. Przez całe życie harował. A ja sobie myślałem, tylko nie dać się tak wykończyć, jak on. Teraz go już nie ma, nie dociągnął nawet do pięćdziesiątki. A ta drobna podwyżka płacy, kilka dni urlopu więcej, trochę wyższa renta, to wszystko, co on sobie zebrał, tego nie dostał od rockerów, anarchistów czy terrorystów. Zdobyl to sobie przez związek. I im więcej anarchiści gadają o robotnikach, tym gorzej idzie robotnikom. Bo ci, co mają pieniądze i władzę, odpierają ciosy. I trafiają w pierwszym rzędzie w robotnika. Widzi się to przecież teraz. Więc nic, tylko skończyć z tymi subtelnymi paniczami i ich przeklętymi hasłami, i ich przeklętą pychą, i ich przeklętymi bombami. Oni wszyscy mają robotnika w dupie. Przepraszam.

Katarzyna patrzyła na młodego człowieka, który stał teraz koło volkswagena-kabrioletu Roberta. Jego twarz była blada, wymęczona, jakby Herbert Witt nie spał od tamtego ranka przed trzema laty, gdy śmiertelnie znużony siedział koło rockera. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Powinna mieć czas na rozmowę. Ale go nie miała. Otworzyła bagażnik volkswagena.

- Chciałam pana zapytać, panie Witt, czy widział pan już kiedyś drąg tego rodzaju. - Trzymała żelazną rurę w górze. Witt wziął ją z jej ręki, obmacał miejsce przyspawania uchwytu.

- Gówno - mruknął. - Spawają jak ostatnie osły. - I odłożył rurę. - Tak - rzekł ku zaskoczeniu Katarzyny - widziałem. U tej rencistki w domu przy Adam-Nitze-Strasse. Kiedy Jugosłowianie wszystko tam porozwalali. Przyszliśmy przecież dopiero wtedy, gdy Jugosłowianie już dawno zwiali. Pamiętam, że chodziliśmy tam po gruzach. Wszędzie pełno rozbitego szkła i zniszczonych mebli. A w kuchni na jedynym całym krześle siedziała stara



kobieta. Przez dziury w oknach z gwizdem wdzierał się wiatr, a ona trzymała ten drąg w ręku i wyzywała. Zapomnieli zabrać, krzyczała, ale jeżeli wróca, dostaną nim po głowie. Wyjąłem jej z ręki żelazny drąg. Taki sam partacki szew jak przy tej maczudze. Mogli już sobie pozlepiać klejem „Uhu”.

- Co się stało z tym żelaznym drągiem u pani Baier?
- Nie mam pojęcia. Może go jeszcze ma.
- Dlaczego pan go nie skonfiskował?
- Nie było rozkazu.
- Czy widział pan drąg tego typu także w willi Am Sandwerder?
- Nie.
- Nie?
- W ogóle nie widziałem tam żadnych drągów. Poszedłem przecież za karetką pogotowia.
- Czy później, gdy karetka znikła, widział pan przed domem Am Sandwerder mikrobus-volkswagen z zasłonami w biało-czerwona kratkę?
- Nie.
- Dziękuję panu, panie Witt. To byłoby wszystko. - Miała uczucie, że powinna jeszcze coś powiedzieć. Ale Witt pożegnał się już, odwrócił i odszedł.

## 15.

Harke to była nazwa martwego ramienia Sprewy, które w latach trzydziestych miało być rozbudowane na kanał łączący. Ale wojna przerwała prace przy regulacji i umacnianiu brzegów. A po wojnie kanał łączący już nie był w tym miejscu potrzebny. Harke stało się więc miejscem zbiorczym dla barek lub statków odrzańskich, które po

roku 1949 przybyły z NRD. Dla łodzi tych zbiegłych żeglarzy droga wodna z Berlina do Łaby była zamknięta, a niewielka ilość zleceń przewozowych po wodach Zachodniego Berlina ledwie starczała dla miejscowych marynarzy. Ale przybysze z NRD nie chcieli rozstawać się ze swoimi łodziami i tak jak inni w podobnej sytuacji wyjechać drogą lotniczą do Republiki Federalnej. Tak więc zostali z rodzinami i wychudzonymi psami na swoich łodziach w Harke. Częściowo były to jeszcze łodzie drewniane. Te zostały stopniowo porąbane przez właścicieli i w ciągu dwóch, trzech zim sprzedane na opał. Dopóki się dało, mieszkali na wypatroszonych, wciągniętych na stok brzegu resztkach łodzi, wyglądających jak wielkie szkielety ryb. Wielu nie chciało opuścić miejsca, gdzie przemienili swoje łodzie w drzewo opałowe. Chociaż już nie byli właścicielami barek, pragnęli pozostać nad wodą. Miasto więc w połowie lat pięćdziesiątych wybudowało na brzegu Harke kilka prymitywnych baraków. Od samego początku uważano warunki sanitarne za niezadowalające. Ale wierzone, że w ciągu kilku lat można będzie rozebrać baraki, gdy ostatni marynarze skapitulują przed nędzą i naciskiem władz.

Dwadzieścia lat później przebudowane tymczasem baraki nad gnijącymi, cuchnącymi wodami służyły za przytułek bezdomnym. Był on otoczony zardzewiałym płotem, umocowanym bezpośrednio nad brzegiem, żeby bawiące się dzieci nie mogły wpaść do Harke. Do tych zbudowanych z cementu, jednopiętrowych budynków, które stały bezładnie, zawilgocone, szare, jakby powiązane ze sobą tylko sznurami do bielizny, kablami elektrycznymi i antenami telewizyjnymi, prowadziło coś w rodzaju bramy wjazdowej.

Katarzyna zostawiła samochód Roberta przed nią, na szutrowanej drodze powyżej Harke, obok dwóch powyginanych, zardzewiałych altan, od których, jak stwierdziła

wysiadając, nie odróżniał się zbyt wyraźnie swym łatanym dachem kabrioletu.

Podczas gdy Katarzyna obchodziła kałuże i szukała numeru baraku, gdzie miała mieszkać Maria Remper, widziała, że anteny były uszkodzone, a sznury do bielizny nie używane. Część budynków zaś nie zamieszkała. Wydawało się, że obóz nie jest w pełni zasiedlony. Widocznie miał być zlikwidowany. Katarzyna zobaczyła tylko troje dzieci, przykucniętych u wejścia do domu, i zamiast sfory włóczących się psów wyszedł jej naprzeciw jeden, który też zaraz zawrócił i pobiegł za dom. Niewielu mieszkających tu dorosłych poszło zapewne do pracy lub na poszukiwanie zajęcia, kilku pozostałych kryło się może za zasłonami. Katarzyna wiedziała, że mieli doskonałe oko na to, gdy zbliżał się ktoś z opieki społecznej lub policji, i że dokładnie śledzili, na kogo tym razem trafi.

Maria Remper od razu zaczęła się bronić. Katarzynie nie udało się jej przekonać. Kobieta miała trzydzieści kilka lat, przysadzista, fartuch w kształcie kitla, gęste ciemne włosy przedzielone starannie, miękka twarz. Jej głos był cichy, lecz nie zrezygnowany. Siedziała z Katarzyną w większym z dwóch małych pomieszczeń, przysługujących jej i jej pięciorgu dzieciom. Na gołej cementowej ścianie za nią wisiał obraz Matki Boskiej z pustym wazonikiem na kwiaty, pod nim stało trzypiętrowe metalowe łóżko. Z sąsiedniego pokoju docierały krzyki dzieci. Uderzyła pięścią w cienką ściankę działową i dzieci ucichły. Na Harke terkotała łódź. I jakiś daleki sąsiad nastawił radio na cały regulator.

- Posłano panią, żeby mi je zabrać, nie? - powiedziała Maria Remper. - Ale ja ich nie oddam!

- Myli się pani. Nie chcę pani zabierać dzieci - odparła spokojnie Katarzyna.

- Nie, pani chce zabrać dzieci.

- Ależ nie. Niepotrzebnie je pani zamyka. Nie zabiorę ich.

W ten sposób rozmawiały parę minut. Dzieci znowu zaczęły szaleć i pisać, pani Remper znowu uderzyła w ścianę. Potem złożyła ręce przed sobą na świeżo prasowanej, wyblakłej serwecie.

- No tak, sama już nie wiem - powiedziała. - Być może mąż uciekł z więzienia, co? Być może, nie, żeby nas stąd wydostać, uciekł z więzienia. A teraz pani tu jest, żeby go zabrać.

- Pani mąż nie uciekł z więzienia.

Ale pani Remper nie słuchała. Wciąż się usprawiedliwiała.

- Na procesie nic nie mówiłam, co tam miałam dużo gadać, i tak wszystko było rozstrzygnięte. Ale co było, to było, właściciel domu, gdzieś mieszkali, zgłosił, że potrzebuje mieszkania dla siebie, czy jak, nie, i musieliśmy się wynosić. I tak było, że nie znaleźliśmy żadnego mieszkania, nigdzie. Kiedy słyszano: siedmioro dzieci, zaraz nic nie było, zupełnie nic. Firma też nic nie znalazła. Przy tym mogliśmy zapłacić, trzysta, trzysta pięćdziesiąt! Tysiąc siedemset przynosił do domu, ze wszystkimi dodatkami, nie? Ale nigdzie nie było mieszkania, nigdzie. Mój mąż zawsze powtarzał, że jeszcze pójdziemy między bezdomnych, tak właśnie, i tego baliśmy się, i on martwił się, przestał kapować, nagle chwyciło go...

Maria Remper urwała, ale zanim Katarzyna zdążyła wreszcie wyjaśnić powód swoich odwiedzin, mówiła dalej.

- No i jesteśmy tutaj, na to nam przyszło. Gdybym nie miała mojej wiary, nie wiem, co byłoby ze mną i z dziećmi. Chowam dzieci w szacunku dla ojca, zawsze był dobrym ojcem, tylko kiedy alkohol, ale dzieci wiedzą o tym, nie? Że mają dobrego ojca. Że nie muszą się go bać. To, co go napadło, było tylko...

Maria Remper zamilkła. Katarzyna milczała także. Zrozumiała, że nie trafi do tej kobiety ze swymi pytaniami. Maria Remper uderzała, jakby mechanicznie, w ścianę, chociaż dzieci rozmawiały cicho i chichotały.

- Mały Jürgen - powiedziała. - Mały Jürgen. I mała Zofia, tam na górze. One mu przebaczyły.

Znowu przerwa. Potem innym tonem:

- Rano i wieczór chodzę sprzątać. W sobotę i niedzielę, do dwunastej w nocy, pracuję u Paula od boulette, na Uhlandstrasse. A po południu przychodzi dziadek, on jest jeszcze bardzo żwawy i pilnuje małych. One mają swój ustalony tryb. Heidi ma już trzynaście, duża, dobrze pomaga, czekam tylko, aż skończy szkołę, wtedy będzie mogła zarabiać.

Znowu uderzenie w ścianę, za którą dzieci zachowywały się zupełnie spokojnie.

- One nigdzie nie pójda, nie zabierze mi ich pani.

- Naprawdę, pani Remper. Chcę panią tylko o coś spytać.

- Bo jakby on o tym usłyszał i wiedział, tam w więzieniu, Gerhard, kiedy jego tam odwiedzam i on pyta, jak mieszkamy, od dawna wie, że musieliśmy się wyprowadzić stamtąd, gdzieśmy mieszkali, ja mu to dawno powiedziałam, nie? Wtedy był całkiem bły na twarzy, jak wówczas, potem. Za każdym razem mówiłam, że wkrótce się stąd wyrwiemy. Ale nie wierzyłam w to, moja pani, nie wierzyłam. Tylko ostatnio, kiedy spotkałam znowu doktora...

- Jakiego doktora? - wtrąciła szybko Katarzyna.

- Jeremy się nazywa. Kiedyś mnie leczył, miałam coś na piersi, po ostatniej, Monice. I u Paula, w sobotę ubiegłego tygodnia, chciał boulette, a kiedy mu podałam, poznał mnie. I spytał. Powiedziałam, jak jest. A on mówił, że zobaczy, czy coś znajdzie dla nas.

- Doktor Jeremy nie żyje - powiedziała Katarzyna.

Chciała to zrobić ostrożniej. Ale nie udało jej się. Nie zdobyła się też na to, by dodać: został zamordowany.

Pani Remper patrzyła na nią nieruchomo. Potem skinęła głową.

- Prawie uwierzyłam, że to możliwe stąd się wydostać. Prawie, nie? - szepnęła. - Ale jednak nie. Człowiek uważa na siebie, dba o czystość, ale jednak deszcz przecieka. A ci inni tutaj, to wykolejeńcy, nie mamy z nimi żadnych stosunków. Nie, nie - podkreśliła. - Ale sami się stąd nie ruszymy, musimy tu zostać, skoro doktor nie żyje. A gdyby nas stąd wypuścili, poszlibyśmy tylko do innego przytułku, nie? Bo tutaj chcą zamknąć. Tak, więc musimy czekać na Gerharda, tu lub gdzie indziej. Może przecież być, nie, że mój Gerhard nas stąd wydostanie, on byłby jedyny, który mógłby to zrobić, ależ tak, jedyny, nie? Tylko czasami, tak to przychodzi, wtedy myślę, co ty masz za męża, twoje dzieci morduje, nie? Czasem przychodzi, ale mija.

Obok zaczęły się znowu krzyki i hałasy. Pani Remper nie reagowała. Szepiała:

- Jak bachory wołają tu za moimi dziećmi: dziecko mordercy, dziecko mordercy. - Potem zdjęła ręce ze stołu i powiedziała: - Byłabym rada, gdybym go tu teraz miała, Gerharda. Byłby nam potrzebny, nasz ojciec. Ale musimy jeszcze czekać latami, no nie?

Przedszkole mieściło się na parterze, w lokalu dawnej drogerii. Ulica leżała w jednej z cichych dzielnic mieszkalnych Friedenau i dlatego też trzeba było zamknąć drogerię: brak przechodzącej klienteli. Ale przedszkole prosperowało, Katarzyna zauważyła to natychmiast. Stała w pomieszczeniu umeblowanym małymi krzeselkami i stolikami. Ściany i meble były pomalowane na różne kolory. Wszędzie leżały samochodziki, lalki i misie. Pomiędzy nimi podarta „Berliner Morgenzeitung”. Widać było

wyraźnie nagłówek: „Znany berliński ginekolog zamordowany!” Z tylnych pokoi dobiegał rytmiczny hałas. Dzieci uderzały w garnki i blachy i śpiewały głośno. Katarzyna znała tę piosenkę. Coś podobnego, tylko nie tak po berlińsku, śpiewała jeszcze z dziećmi w Dillingen, w południowych Niemczech, jako seminarzystka, wieczorem w sypialni, cichutko, bo kierowniczką domu była przeciwna tej pieśni. Uważała ją za wulgarną, nieodpowiednią dla kształtowania delikatnych dziecięcych duszyczek.

W niedzielę pół do trzeciej  
Rodzina Meier dzieci  
Nad Schlachtensee prowadzi,  
Bo spacer nie zawadzi.

A jest ich piętnaścioro,  
Rejwachu czynią sporo,  
Wałówka w błoto wpada,  
Więc matka głośno biada.

Błada, szczupła kobieta weszła przez otwarte drzwi z sieni. Była o kilka lat młodsza od pani Remper. Jasne włosy spadały jej na ramiona i czoło, miała nawyk odsuwania ich nerwowym ruchem ręki. Bardzo jasne oczy patrzyły uważnie na Katarzynę. Pod prawym okiem drgał drobny mięsień.

- Proszę? - spytała. - Pani chciała ze mną mówić?  
Z tyłu dzieci krzyczały:

Hop, hop, hop,  
Co zbliża się tuż, tuż?  
Hop, hop, hop,  
Więzienny jedzie wóz.

Hop, hop, hop,  
Kto może jechać nim?

Pan, pani Meier to  
Z zabitym dzieckiem swym.

Dwie małe dziewczynki, półnagie, z garnkami i wielkimi drewnianymi łyżkami, wbiegły do pokoju, krzyczały, objęły Elisabeth Bordihn, usiłowały pociągnąć ją za sobą. Ale młoda kobieta łagodnie i stanowczo uwalniała się od dzieci: - Biegnijcie ż powrotem do Ines i Ewy, muszę coś omówić z tą panią - a dzieci, po wielokrotnym: - Dlaczego? Jak długo? - dały się wypchnąć z pokoju. Elisabeth Bordihn zamknęła za nimi drzwi.

- Tak. Mój Boże, to jest od miesiący ich ulubiona piosenka. Czy chce pani zapisać dziecko?

Katarzyna potrząsnęła głową.

- Jestem z policji kryminalnej, i Elisabeth Bordihn wlepiła w nią wzrok.

- Czy coś z moimi dziećmi?

- Nic z pani dziećmi, pani Bordihn. Ani też z pani mężem - dodała szybko, uprzedzając następne pytanie. - Przyszłam z powodu doktora Jeremy'ego.

Pani Bordihn spojrzała na gazetę na podłodze.

- Ach - powiedziała z ulgą - przychodzi pani po karty. Mnie to tylko na rękę. Może je pani zabrać. W ubiegłym tygodniu były tutaj gliny i stawiały takie pytania, z powodu Lorenza zapewne. U moich przyjaciół porozwalali mieszkanie. Lepiej, żeby to znikło. Czy pani jest samochodem? Możemy zaraz pojechać. Powiem tylko Ines.

Elisabeth i jej dzieci mieszkaly razem z rodziną pewnego ekonomisty w sześciopokojowym mieszkaniu w Tempelhof. Podczas jazdy, z wieloma pauzami, gdy odsuwała spadające włosy lub tylko patrzyła na ulicę, Elisabeth opowiadała zwięzłe szczegóły odnoszące się do kartoteki doktora Jeremy'ego. Mniej więcej co sześć miesiacy robił



on fotokopie swoich kart i przynosił pani Bordihn. Ona przechowywała je w dwóch dużych walizkach. Przed mniej więcej dwoma tygodniami zadzwonił i oznajmił, że przyjdzie odebrać obie stare walizki. Teraz Katarzynie wyjaśniła się notatka na karcie pani Bordihn: „Odebrać k.”. Czego nie rozumiała, to: dlaczego doktor Jeremy robił fotokopie kartoteki i składał je poza domem. Elisabeth Bordihn nie umiała tego wyjaśnić. Doktor Jeremy nigdy nie podawał powodu.

- Nie dziwiło to pani?

- Owszem. Ale myśleliśmy, że wie, co robi. Mieliśmy po prostu zaufanie do niego.

- Pani i pani mąż znaliście zatem dobrze doktora Jeremy'ego.

- Bernward był nie tylko znakomitym lekarzem. Był najlepszym przyjacielem Martina i moim.

- Dlaczego pani męża nie dopuszczono w Hamburgu do służby państwowej?

- Po co chce pani to wiedzieć?

- Chciałabym zrozumieć, dlaczego doktor Jeremy powierzył pani swoją kartotekę.

- Czy nie ma pani w aktach dosyć o Martinie?

- Ach, akta... - powiedziała Katarzyna. - Przecież pani wie, co to są akta.

Elisabeth Bordihn odpowiedziała dopiero po dłuższej przerwie:

- Wie pani, co pomyślałam sobie, gdy pani powiedziała, że jest z policji kryminalnej? Że Martin się wykończył. - Znowu przerwa. - Nie byłoby to dziwne po tym wszystkim, co ma za sobą. I on przecież wie, co ludzie mówią teraz o nas. Boję się - dodała - że go odmienicie.

Katarzyna skoncentrowała się na tym, żeby wyminąć ciężarówkę, która z przeciwnego kierunku wyprzedzała autobus i jechała wprost na nią.

- Byłabym za nerwowa na prowadzenie wozu -

powiedziała Elisabeth Bordihn. A potem, po jednej z pauz, podczas których zdawało się, że z trudem się koncentruje:

- Wówczas były dwie sprawy. Po pierwsze opór władzy podczas wielkiej antyspringerowskiej demonstracji na Wielkanoc 1968, po zamachu na Rudiego Dutschke. Funkcjonariusze w cywilu skoczyli na niego z tyłu, bronił się, przecież nie wiedział, że to policjanci. A ponieważ dawniej był w Federalnej Straży Granicznej...

- W czynnej służbie?

- Tak, w czynnej. Podporucznik. W każdym razie nauczył się tam kłaść na łopatki podstępnie atakującego przeciwnika. Druga sprawa była później, w 1973, jego zachowanie w szkole, jak to określono. Chciał na przykład w inny sposób prowadzić lekcje niemieckiego. Zamiast beznadziejnie wałkować klasyków. Chciał pokazać kulisy społeczne, stosunki socjalne. U niego więcej się mówiło o płacach dla nauczycieli, chłopów i robotników z manufaktur w 1825 roku niż o „Nocnym śpiewie wędrowca”, więcej o rzeczywistym dławieniu wolności niż o dramatach, które Schiller napisał na ten temat. Ale oczywiście zawsze wychodził od „Nocnego śpiewu wędrowca” albo od „Don Carlosa”. To się nie podobało kierownictwu szkoły, nawet zatwierdzony już profesor gimnazjalny nie może sobie pozwolić na to, żeby tak daleko odbiegać od programu nauczania. Poza tym jako gość współpracował przez kilka miesięcy z grupą nauczycieli z DKP i to pewnie zadecydowało. Członkiem partii nigdy nie był. Jednocześnie mnie, po czteroletnim okresie próbnym, oznajmiono, że również nie mogę zostać nauczycielką z powodu dawniejszej przynależności do Związku Niemieckiej Socjalistycznej Młodzieży Robotniczej. Byłam wtedy właśnie w ciąży, ale o tym nie wiedziałam. Miesiączkowanie nie ustało, żadnych nudności, apetytu na śledzie lub czekoladę. Byliśmy zawieszeni w próżni, bez środków do życia, bez widoków na cokolwiek, podczas gdy koleżanka z Lubeki,

członek zarządu NPD, właśnie została profesorką gimnazjalną. Łykałam wtedy mnóstwo środków przeciwdepresyjnych. Tak. I dopiero tu, w Berlinie Zachodnim, dowiedziałam się, że jestem w czwartym miesiącu.

- Dlaczego przeniosła się pani do Berlina?

- Moja przyjaciółka, Ines, otworzyła tutaj przedszkole. Mieszanka dawniejszej antyautorytatywnej ochrony ze zwykłą. Liberalni, dobrze zarabiający rodzice oddawali tu dzieci. I Ines stała się przedsiębiorcą.

- Przedsiębiorcą?

- W dziedzinie przedszkoli. Teraz ma ich pięć. I mieszkanie własnościowe nad jeziorem Garda. Tak. Ona też była kiedyś socjalistką.

- Dlaczego socjalistką nie miałyby mieć mieszkania własnościowego nad jeziorem Garda? - mruknęła Katarzyna.

- No, jasne. Dlaczego socjalistką nie może być przedsiębiorcą? Tak właśnie mówię.

- Ines sprowadziła panią?

- Tak. Mimo wszystko pozostała dobrym kumplem.

Teraz następna przecznica.

Katarzyna zrozumiała, że nie dowie się od Elisabeth Bordihn, dlaczego doktor Jeremy akurat u Bordihnów złożył kopie kart. Będzie musiała zapytać o to Martina Bordihna w więzieniu Tegel.

- Czy pani zna panią Remper?

- Kiedyś ją krótko widziałam. Gdy Martin pracował przy oczyszczaniu ulic, przyprowadził kiedyś pijanego Gerharda Rempera z knajpy do domu. A pani Remper miała coś z piersią.

- Wtedy pani poleciła doktora Jeremy'ego?

- Tak.

- Nie ma już pani kontaktu z panią Remper?

- Nie mogę. To byłoby za... Po prostu do tego nie dośladam. - Przerwa. - Tak, tutaj.

Katarzyna zahamowała.

- Wie pani - powiedziała Elisabeth Bordihn - po porodzie byłam tak potwornie wykończona, sama bym to zrobiła, gdybym nie była taka wykończona. Sama bym je zabiła, niech mi pani wierzy.

Wysiadając Katarzyna spytała spokojnie:

- Dlaczego pani mi to opowiada?

- Bo mnie pani o to nie pytała - odparła Elisabeth Bordihn. Sposób, w jaki to powiedziała, skłonił Katarzynę do obejrzenia się. To, co zobaczyła w jasnych oczach pani Bordihn, to była nienawiść. Żona ekonomisty, która przyrządziła właśnie obiad dla wszystkich, i Elisabeth Bordihn przyglądały się z sieni, jak Katarzyna znosi jedną walizkę po drugiej. I patrzyły z okna, jak Katarzyna otwiera bagażnik wozu, żeby je w nim umieścić. Nie ruszyły palcem, żeby jej pomóc. Pani Bordihn nawet się nie pożegnała. Napuściła wody do wanny, żeby wyprać dziecięce koszulki.

## 16.

Krótko przed dwunastą Katarzyna przyjechała zupełnie przemarznięta na Gothaerstrasse. Wlokła walizki do portierni, przy czym znów nikt jej nie pomógł. Dyżurny funkcjonariusz czytał gazetę, mianowicie relację o zamordowaniu doktora Jeremy'ego i jego młodej, pięknej żony. Krótko po dwunastej przeszła obok swego biura i weszła kilka pokoi dalej do sekretariatu szefa, skinęła głową sekretarce i zanim ta zdążyła powiedzieć, że na nią czekają, była już w pokoju kierownika wydziału zabójstw.

Szef siedział z Neringiem, kierownikiem ośrodka prasowego, przy chwiejącym się stoliku z przyborami do

palenia, przed biurkiem. Sam nie palił. Fajki leżały nie używane na płycie. Usuwał sobie strzępki papierowej chusteczki do nosa z kącików ust, kichnął, szukał nowej chusteczki. Nering miał przed sobą akta i na swój charakterystyczny sposób poruszał dolną szczęką, jakby żując czy mieląc, co oznaczało, że ma jakiś problem. Odnosił się on, jak się zaraz okazało, do doktora Jeremy'ego.

- Pytają nas, czy istniał jakiś związek między jego sprawą a sprawą martwej dziewczyny w willi nad Wannsee - powiedział, gdy Katarzyna mimo zapraszającego gestu szefa nie usiadła na skrzypiącym, drewnianym krześle, lecz nadal stała.

- Żadnego związku.

Kierownik wydziału spojrzął na nią.

- Dla opinii publicznej - mówiła dalej. - Nie chciała-bym, żeby dwaj podejrzani dowiedzieli się, że ich zidentyfikowaliśmy. Bliższe szczegóły później.

Kierownik wydziału skinął głową i wyławiał dalej strzępki papieru z kącików ust.

- A w ogóle - powiedziała Katarzyna - ani słowa o mnie w doniesieniach. Dochodzenia prowadzi nadal Gerfried i basta. - Myślała o swoim spotkaniu z Schulzem. Gdyby opinia publiczna dowiedziała się, że dochodzenia w sprawie śmierci dziewczyny w willi nad Wannsee prowadzi kobieta, Schulz mógłby sobie snuć niepożądane myśli na temat pani Boncoeur. Prawdopodobnie i tak snuł je od dawna.

Kierownik wydziału kichnął. Pod papierami Neringa udało mu się w czas znaleźć nową chusteczkę i przytrzymał ją przy nosie. Potem spojrzął na nią zdeprymowany.

- Kierownik magazynu dowodów rzeczowych - powiedział nie odrywając wzroku od chusteczki - wyraził poważne zaniepokojenie historią ze szwajcarskimi paszportami.

- Podzielam jego zaniepokojenie - odparła Katarzyna.

- Ja też mam zastrzeżenia - rzekł szef.
- Podzielam pańskie zastrzeżenia.

Kierownik wydziału uśmiechnął się, rzucił chusteczkę obok kosza do papierów koło Neringa, drugą ręką najpierw potarł sobie łysą czaszkę, potem pogładził pielęgowaną szpakowatą brodę i skierował wreszcie wzrok na Katarzynę, która wciąż jeszcze stała czekając.

- A co u pani, pani Ledermacher?

- Wymawiam - powiedziała Katarzyna. Nering przestał mleć ustami, szef przerwał poszukiwania nowej chusteczki. Nagle przyszło Katarzynie na myśl, że szef mógł się zarazić grypą od Doris. Ta myśl ją rozbawiła. Uśmiechając się mówiła dalej: - Wymawiam sobie prawo zbierania podpisów pod rezolucją protestacyjną.

- Rezolucją protestacyjną?

- Jeżeli przejdzie jako ustawa to, co już teraz robi się w praktyce. Funkcjonariusze policji kryminalnej nie są żołnierzami. Żołnierze są zobowiązani do zabijania przeciwników. Ja jestem zobowiązana doprowadzić przeciwnika do sędziego. W razie konieczności mogę uczynić go niezdolnym do walki lub poruszania się. Już to wydaje mi się dostatecznie trudne. Jeżeli policjanci zostaną wezwani do zabijania przeciwników, wolnościowy ustrój naszego praworządnego państwa będzie zagrożony.

- Ona mówi o wstępnym projekcie jednolitej ustawy o policji - wyjaśnił szefowi Nering. Wyglądał nagle tak, jakby składał kondolencje kierownikowi wydziału.

- No - odparł szef - o tych sprawach będzie się dopiero dyskutować na konferencji ministrów spraw wewnętrznych. Bardzo wątpliwe, czy przejdą jako ustawa. Sądzę - dodał łagodnie - że nie będzie pani musiała bronić wolnościowego ustroju i praworządnego państwa, pani Ledermacher.

- Zawsze jestem do tego zobowiązana - rzekła Katarzyna. - Poza tym płacą mi za to.

Panowie westchnęli.

- Jutro otrzyma pan na razie notatkę do akt. Proszę mi teraz wybaczyć. Bardzo się spieszę. Do zobaczenia, u Möllinga.

W biurze siedział Gerfried i czekał na nią. A obok Gerfrieda Doris, blada, choć znowu wyraźnie żwawa, lecz z matowymi włosami, skrytymi częściowo pod chustką. Katarzyna ujęła Doris za ramiona, powiedziała parę słów na temat grypy jako bodźca do wyższego stopnia rozkoszowania się życiem, zauważyła za późno, że ta uwaga była znowu niewłaściwa, usiadła szybko na kaloryferze i słuchała sprawozdania Gerfrieda z tajnej rewizji mieszkania Maurice Phelza. Taśmy magnetofonowej nie znalazł. Skinęła głową.

- A gdzie się podziewają Baumann i Leo?

- Baumann i Leo były zajęte gdzie indziej - odparła Doris. - Musiały zatroszczyć się o dziesięcioletniego chłopca, który w Spandau, pod oknem jakiejś rencistki, mieszkającej na parterze, śpiewał: „O, ty radosna”. Rencistka strzeliła mu za to z łuku dla dzieci w brzuch. Chłopiec wyjdzie z tego.

- Ale kto wobec tego zajął się Lotti Bensch? - spytała zaniepokojona Katarzyna.

- Ja - odparła Doris. Była szczęśliwa, że znowu tkwi w pracy.

Katarzyna uśmiechnęła się.

- No, to proszę opowiedzieć.

- Lotti z Vogelsbergu - powiedziała Doris - stała już dziesięć minut wcześniej na rogu Schlüter-Kantstrasse. Punktualnie o dziewiątej nadjechał mikrobus volkswagen z kierowcą i kobietą.

- Z kierowcą i kobietą - powtórzyła Katarzyna. - Czy mikrobus miał może zasłony w kratkę?

- Tak. Biało-niebieskie.

- Biało-niebieskie?

Doris wstała, otworzyła okno. Katarzyna i Gerfried stanęli obok niej, patrzyli w dół na ciemnoszary mikrobus, stojący na skraju chodnika. Z jego okien zwisały zasłony w biało-niebieską kratkę. - To z powodu światła księżycy - wyjaśnił Gerfried.

- Nie znoszę biało-niebieskich - mruknęła Katarzyna.  
- Do kuchni nadają się tylko czerwono-białe. - Pozostała przy oknie, patrzyła na mikrobus. - Proszę dalej, Doris.

- Pojechali z Lotti natychmiast w kierunku Zoo, potem do dzielnicy Hansa. Ja z Petersenem i Drögerem za nimi.

- Do szwedzkiego domu - wtrącił Gerfried.

- Nie wprost. Pod koleją miejską, między Tiergartenem a Bellevue, są cztery wielkie garaże. Mikrobus-volkswagen pojechał do garażu przy Lessingstrasse. Stary człowiek, który jest tam portierem, znał mikrobus, pozdrowił, wpuścił go. Jestem pewna, że portier nie widział ani Lotti, ani kobiety. Bo już na Kantstrasse zaciągnęły starannie zasłony w oknach.

- Mikrobus-volkswagen miał swoje miejsce w garażu?

- Tak. I to w ostatniej hali. Z tej hali małe drzwi prowadzą na zewnątrz. Odstawiwszy wóz nie trzeba więc koniecznie przechodzić koło portiera. Każdy wynajmujący miejsce otrzymuje klucz do tych małych drzwi. W tym czasie większość kierowców od dawna siedzi w biurach. Praktycznie biorąc przed południem garaż jest pusty i tylko z rzadka ktoś przechodzi. Gdyby pomimo to ktoś przeszkadzał podczas zabiegu, kierowca szybko zapanuje motor, tak jakby musiał manewrować pojazdem. Zabiegu dokonuje się jak zwykle na przytomnej klientce. Kiedy już jest po wszystkim, klientka, kobieta dokonująca zabiegu i kierowca opuszczają garaż przez małe drzwi. Tam czeka taksówka, zawczasu zamówiona i odwozi klientkę do domu.

- Godne uwagi - rzekła Katarzyna i zamknęła okno. - Zatem przesłuchiwała już pani kierowcę i jego towarzyszkę?



- Tak. I taksówkarza. Ale ten właściwie nic nie wie-  
dział. Tamtych dwoje chce zresztą dalej zeznawać tylko w  
obecności adwokata. Bo wśród narzędzi kierowcy znalaz-  
łam dwa interesujące przedmioty. Po pierwsze hantle.

- Hantle - Katarzyna odwróciła się od okna ku Doris.

- Takie do podnoszenia i gimnastyki?

- Tak.

- Jaki ciężar?

- Pięć kilo. Po drugie ssak próżniowy. W laborato-  
rium znaleziono już ślady krwi, grupa AB plus.

Katarzyna skinęła z uznaniem. Doris efektownie podała  
swoje nowiny.

- Grupa krwi Hildegardy - rzekł Gerfried. Stał przed  
planem miasta, który trochę zżółkły i wystrzępiony wisiał  
na ścianie. - Innymi słowy, tych dwoje naknociło przy  
Hildegardzie, a gdy odsysanie źle się skończyło, wezwali  
pana Schulza albo braci Höpnerów, którzy ze swej strony  
zamówili karetkę pogotowia Kaisera do „domu szwedz-  
kiego”, położonego, o ile dobrze widzę, w odległości naj-  
wyżej pięciuset metrów od garaży pod koleją miejską. No,  
proszę. Mamy już. - Gerfried nie mógł ukryć swojej ulgi.

- Nazwiska tych dwojga? - spytała Katarzyna.

Doris szukała w notatniku.

- Ferdy Müller i Berta Börner - powiedziała. - Ferdy  
wygląda tak, jakby naprawdę trenował hantlami. Petersen i  
Dröger przeszukują właśnie jego mieszkanie w Steglitz.

- Siostra Berta - rzekła Katarzyna. - A zatem... -  
Zauważyła, że mówi już jak Gerfried. Bała się, że usłyszy  
nazwisko Hannelore Krause.

- O Schulzu nic nie można się było dowiedzieć od  
siostry Berty i brata Ferdy'ego? - spytała.

- Ani słowa.

Katarzyna zwróciła się do Gerfrieda:

- Chciałabym z nimi porozmawiać.

Gerfried zatelefonował.

- A Lotti Bensch? - spytała Katarzyna.
- Była zła - odparła Doris. - W tym mieście nic a nic się nie udaje, powiedziała. I zaraz pojechała na lotnisko.
- Bez bagażu?
- Bagaż miała ze sobą. Bilet powrotny był już wykupiony.
- Chciała zaraz po zabiegu wsiąść do samolotu?
- To przecież nic takiego, powiedziała. Jestem zdrowa, mam niespożyte siły, mogę dużo wytrzymać. Coś takiego.

Lotti Bensch o niespożytych siłach siedziała już w pociągu z Frankfurtu do Nieder-Ellmoos. A Katarzyna nie pogadała z nią dłużej. Tak samo jak za mało rozmawiała z Herbertem Wittem, Elisabeth Bordihn, Marią Remper. Uczucie bezsilności, które miała jako wychowawczyni, a które znikło podczas pierwszych lat służby w policji, teraz znowu wróciło. Odpędziła je. Zamiast tego pomyślała o robotnicy leśnej, która będzie teraz chowała następne dziecko, dziecko Lotti. I zazdrościła Lotti jej matki.

Kobieta siedziała zupełnie z przodu na jednym z drewnianych krzeseł w pokoju przesłuchań i trzymała solidną torebkę ze sztucznej skóry na kolanach. Miała koło pięćdziesiątki i na pierwszy rzut oka robiła sympatyczne, budzące zaufanie wrażenie. Spod chustki wydobywały się jasne loki o popielatym odcieniu. Berta Börner z pewnością nie należała do tych, które z zaciętymi wąskimi wargami, pełne protestanckiej czujności dziesiątkami lat pielęgnują cierpiących i konających. Dawniej na pewno była wrażliwa. I tylko dzięki narzuconemu sobie chładowi mogła oprzeć się współczuciu. Było to po niej widać: wymuszona twardość dokoła ust i oczu. Mężczyzna obok niej robił wrażenie na wpół poczciwego, na wpół ociężałego. Siwe włosy okalały łysinę czołową, oczy poruszały się szybko i z zatroskaniem, tu i tam. Pulower i marynarka

opinały się na brzuchu i piersiach. Skrzyżowane ramiona wydawały się niezwykle silne. Między Ferdy Müllerem a siostrą Bertą stało puste krzesło. Dla Katarzyny było jasne, że siostra Berta zważa na dystans.

Katarzyna powiedziała swoje nazwisko, oboje podnieśli się i mruknęli również swoje.

- Proszę usiąść - powiedziała Katarzyna.

Ale oni stali. Przytrzymywali się, ona prawą, on lewą ręką, oparcia krzesła, które stało między nimi.

Katarzyna również nie usiadła. Oparła się o gołą ścianę pokoju przesłuchań, patrzyła na siostrę Bertę, brata Ferdy'ego i drzemiącego funkcjonariusza w mundurze, który siedział pod ścianą między oknami, a więc dokładnie pod miejscem, gdzie dawniej wisiał widok Neu-Ruppina.

- Pani była dawniej pielęgniarką? - spytała Katarzyna.

Kobieta skinęła potwierdzająco.

- A pan? Pielęgniarem?

Mężczyzna skinął potwierdzająco.

- Od kiedy nie jesteście nimi?

Milczenie.

- I dlaczego nie pracujecie w swoim zawodzie?

Milczenie.

Weszła Doris, w płaszczu. Przyniosła kartkę, którą położyła Katarzynie na stół. Spieszyła się.

- Pójdziemy teraz - rzekła. Chciała jeszcze raz przetrząsnąć z Gerfriedem zapieczętowany gabinet doktora Jeremy'ego w poszukiwaniu taśmy. Katarzyna skinęła głową i czytała kartkę, Doris tymczasem zniknęła. Mężczyzna i kobieta nieufnie obserwowali Doris. Teraz patrzyli nieruchomo na kartkę.

- Proszę - powiedziała Katarzyna. - Jeżeli chcecie się poinformować. - I podsunęła im kartkę. Mężczyzna sięgnął po nią z ociąganiem i trzymał tak, żeby kobieta też mogła czytać. Na kartce była zaznaczona poprzednia karalność ich obojga: pielęgniarka Börner przed dwoma laty w

prywatnej klinice „Salus” z zamkniętej szafy z zastrzeżonymi lekami ukradła środki nasenne zawierające opium. Pielęgniarsz Müller przed czterema laty kilkakrotnie dopuścił się drobnych defraudacji w klinice w Steglitz. Poza tym podano wynik rewizji mieszkań obojga: w mieszkaniu Börner nie znaleziono nic szczególnego. W mieszkaniu Müllera: ciężkie hantle i odważniki do podnoszenia.

- Co pani robiła od czasu zwolnienia? - spytała kobietę Katarzyna.

Wzruszyła ramionami.

- Opieka nad dziećmi. Zastępstwo. Pomoc w godzinach przyjęć. Zawsze tak długo, dopóki sprawa się nie wydała.

- A pan?

Mężczyzna również wzruszył ramionami, zgniótł kartkę w ciężkiej dłoni.

- Co się trafiło.

- A co się trafiło?

- W hali targowej. Wyładowywanie warzyw. Rzeźnia, zapędzanie bydła. Podnoszenie, ciężarów na jarmarkach w Republice Federalnej.

- Jako Ferdy, najsilniejszy mężczyzna świata?

Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

- Tak, coś takiego.

- Pani Börner, po co były pani wówczas potrzebne środki nasenne?

Milczenie.

- A panu, panie Müller, na co były potrzebne pieniądze?

Milczenie.

- Kiedy poznał pan Schulza?

Milczenie.

- Chcielibyśmy - powiedział wreszcie mężczyzna - najpierw porozmawiać z adwokatem.

- W porządku - odparła Katarzyna i poszła w stronę drzwi. W drzwiach odwróciła się, spojrzała na zaskoczone twarze tamtych, spytała:

- Po co właściwie pojechaliście za karetką Kaisera do transportu chorych? Czego chcieliście na Sandwerder?

Milczenie.

- Powiem wam - rzekła Katarzyna. - Kiedy dziewczyna umarła wam podczas zabiegu, bo w idiotyczny sposób próbowaliście pracować przy pomocy ssaka, o którym nie mieliście pojęcia, wtedy obleciał was oczywiście wielki strach. Zadzwoił pan do Schulza, prawda? A on zarządził, żeby bracia Höpnerowie umieścili zwłoki w domu Am Sandwerder, prawda, pani Börner?

Katarzyna zauważyła lekkie drgnienie koło oczu kobiety na dźwięk nazwiska Höpner.

- Przecież pani zna Kurta i Kuna Höpnerów, prawda?

Kobieta odruchowo skinęła głową. Mężczyzna spojrział na nią ze złością, puścił oparcie krzesła.

- Ale kiedy Höpnerowie dawno już odjechali ze zwłokami, wpadł pan na lepszy pomysł, panie Müller, prawda? Pojechał pan z panią Börner do mieszkania i zabrał do mikrobusu ciężarkę i hantle. Chciał pan wyciągnąć dziewczynę i zatopić w Wannsee. Zgadza się?

Mężczyzna nie odpowiadał.

- W Kanale Teltowskim - powiedziała cicho kobieta. Trzymała się teraz oburącz oparcia i nie zważała na zaklinające spojrzenia mężczyzny. - Żeby popłynęła na wschód, gdyby ją prąd jednak zniósł.

- Czy zna pani nazwisko dziewczyny?

Kobieta potrząsnęła głową.

- O nazwiska nie pytamy.

- W jej odzieży nie było żadnego dowodu?

- Nasze klientki przeważnie nie mają dowodów przy sobie, kiedy do nas przychodzą. Tylko pieniądze.

- Ile miała pani takich klientek?

- Może dwieście. W ciągu półtora roku. Nigdy nic się nie zdarzyło.

- I nigdy nie było kłopotów z rozliczeniem?

Katarzyna spytała o to mężczyznę. Ale ten dalej milczał.

- Nigdy - powiedziała kobieta. - On nie zatrzymałby nawet feniga, który do niego nie należy.
- Dlaczego mówisz? - spytał z rozpaczą mężczyzna.
- Muszę się tego wreszcie pozbyć - odparła kobieta.

Resztę popołudnia Katarzyna spędziła na sprawdzaniu przezfotografowanych kart doktora Jeremy'ego, nazwisko po nazwisku. Tymczasem otrzymała telefoniczną wiadomość, że braci Höpnerów widziano w Malmö, w Rzymie i w „Knajpie Furmanów” w Alt-Spandau, że Hildegardy wciąż jeszcze nie zidentyfikowano i że koledzy z Bremy przyrzekli na jutro rano odpowiedź na pytanie o bremeńskie Towarzystwo Handlowe. Poza tym dzwoniła żona adwokata, żeby dowiedzieć się o stan garderoby pani Boncoeur.

Krótko przed osiemną doszła do litery K i znalazła pod nią nazwisko Krause, Hannelore. Trzymała kartę spokojnie w ręku, zastanawiała się, zapalała i gasiła lampę na biurku. Wtedy właśnie wezwano ją do kierownika wydziału.

Mölling siedział już w pokoju. Obaj panowie toczyli, zdaje się, podniecającą rozmowę. Katarzyna widziała, że Mölling był zdecydowany zachować spokój i uprzejmą postawę. Odpowiadało to jej własnym zamysłom.

Najpierw rozmawiali o ładnych miejscowościach urlopowych. Mölling znał Teneryfę, ale niestety nie znał Lanzarote, gdzie musi być wyjątkowo pięknie. A przy wszelkich złych stronach masowej turystyki jest jednak zjawiskiem pocieszającym, że dzięki niej wzrasta standard życiowy miejscowej ludności.

- Wzrasta? - powiedziała Katarzyna. - Nie wiem. Rozmawiałam z ludźmi, którzy mieszkają na lawie. Ci w każdym razie nie mają nic z turystyki, pieniądze, przywożone

przez turystów, wracają z powrotem na stały ląd, a robotnicy, którzy budują hotele i bungalowy, pochodzą z Madrytu, a potem stają się znowu bezrobotnymi. Rybacy potrzebują nowych, stabilnych kutrów, nowoczesnego sprzętu rybackiego, przemysłu przetwórczego w portach, szkolnego autobusu, który zabierałby dzieci z daleko leżących, pojedynczo porozsiewanych gospodarstw do szkoły. Teraz muszą one iść często do czterech godzin dziennie, jeżeli chcą się czegoś nauczyć. Jeden z mężczyzn, z którymi rozmawiałam, był marynarz, znał trochę niemiecki i angielski, sam nauczył się czytać. Na „Don Kichocie”.

Znowu pomyślała o matce Lotti. Wyobraziła sobie, jak pani Bensch sylabizowała „Fausta” Goethego w lesie, siedząc na pieńku drzewnym.

- Taak - rzekł Mölling przeciągle - to ładnie, kiedy można nawiązać rozmowę z ludźmi.

- Wtedy się człowiek dowiaduje - mówiła Katarzyna - co robi tamtejsza policja, kiedy ludzie publicznie wyrażają swoje żądania i dyskutują.

- Wielogodzinne przesłuchania, rewizje w mieszkaniach, aresztowania, prawda?

- Tak - odparła Katarzyna.

- Zupełnie jak tutaj, prawda? To przecież chciała pani powiedzieć. Kilku młodych ludzi wypowiada się oficjalnie za urzędzeniem centrów młodzieżowych, gdzie można by pomagać robotnikom cudzoziemskim albo młodocianym narkomanom. I już mają policję na karku i w mieszkaniach.

- Tak - odparła Katarzyna.

- No - Mölling rozparł się wygodnie na trzeszczącym krześle. - Chciałbym na tej planecie zobaczyć choć jedną jedyną państwową policję, która nie zachowywałaby się podobnie. Hiszpanie będą być może uważali żądania swoich rybaków za uzasadnione. A ja uważam za słabą stronę naszego porządku społecznego, że nie potrafi on zintegrować

cudzoziemskich robotników. Albo ukazać licznej rzeszy młodych ludzi innego ideału poza pompowaniem w siebie alkoholu lub narkotyków. Ale zadaniem policji nie jest naprawianie społeczeństwa. Często już to podkreślałem. Zadaniem policji jest chronić państwo jako całość i obywatela jako jednostkę przed ludźmi gwałcącymi prawo. O naprawę społeczeństwa muszą troszczyć się sami obywatele i wybrani przez nich politycy. Na Boga, pani Lederma-cher - mówił Mölling - wie pani przecież, że Guardia Civil za pani rybakami musi niestety węszyć separatystów lub wywrotowców. Tak jak my tutaj mamy do czynienia z wielką szarą masą sympatyków anarchistów.

- Nie - odparła Katarzyna - nie wiedziałam, że żyję wśród pańskiej szarej masy.

Mölling patrzył na nią zastanawiając się.

- Nie obwijajmy zatem w bawełnę - odpowiedział w końcu. - Po oswobodzeniu Lorenza musieliśmy iść za śladami. Zresztą otrzymaliśmy szczegółowe wskazówki i listy z federalnego urzędu kryminalnego. Gdyby zaszyły nadużycia, przeprowadzę dochodzenia. Powiedziałem to już w telewizji. W pani wypadku jestem gotów specjalnie panią przeprosić. Ja osobiście ...

Katarzyna zrobiła gest odmowy. Równocześnie kierownik wydziału mimo woli wykonał podobny ruch ręką. Oboje bali się tego samego: że Mölling zechce wyskoczyć z dziewięciu tonącymi, których osobiście wyratował ze Sprewy i Haweli. Występował z nimi zawsze, ilekroć krytykowano pogotowie policyjne. Ale Mölling mówił dalej:

- ... jestem zresztą zdania, że byłoby rzeczą chybioną uważać panią za osobę zagrażającą bezpieczeństwu. - Przed słowem „chybioną” Mölling zrobił krótką przerwę, jakby szukał innego słowa. - Kolega z Hamburga - rzekł Mölling - wypowiedział się w tym kierunku.



Katarzyna, omijając wzrokiem Möllinga, patrzyła w okno i obserwowała chmury nad Berlinem. Powstała pauza.

Kierownik wydziału kichnął, wyczyścił nos i bez zadowolenia patrzył na to, co ma na chusteczce. Mölling zaś spoglądał na swoją odznakę za uratowanie życia. Nosił ją na rewersie i mógł oglądać, gdy popatrzył w dół, wciągawszy podbródek sportowca.

W końcu mówili jeszcze o błahych notatkach w aktach. Katarzynie spieszyło się do swego biura.

Oto siedziała, znowu zapalała i gasiła lampę i myślała o Hannelore Krause i rozmowie z Möllingiem. Była głodna. I zbyt zmęczona, żeby jechać na Giesebrechtstrasse. Nawet zbyt zmęczona, żeby zaraz jechać do domu.

- Halo, profesorze. Jak tam z wypracowaniami?
- Będą je pisać w środę. Postarałem się już o godziny.
- A poza tym?
- Czytam właśnie nowe analizy zasad przyjęcia na studia. Nie nastraja to człowieka bardziej pogodnie. Zastanawiam się, na co w ogóle jestem.
- Ja też się zastanawiam, na co tu jestem.
- Ty masz dopomóc sprawiedliwości do zwycięstwa, bardzo proste.
- Ty masz wykształcić odpowiedni narybek dla uniwersytetów. Też proste.
- Tak, moja ślicznotko. Tak to jest.
- Tak, stary. Słyszałeś coś o moim dziecku?
- Słyszę z kuchni odgłosy jedzenia, wydawane przez twoje dziecko. Wydaje się, że wróciło z wygnania. A jak wygląda u ciebie?
- Nie mam pojęcia, jak u mnie wygląda. Ale spotkałam żonę jednego takiego, który chciał w taki sam sposób

nauczać niemieckiego, jak ty. Nie dopuszczono go do służby państwowej.

- No, jasne - rzekł Robert. - Taki sposób nauczania niemieckiego można wprowadzić dopiero, gdy się już jest na służbie państwowej.

Pół godziny później siedziała w fotelu na biegunach w gabinecie Roberta. Robert miał lekcje w szkole wieczorowej. Pochłaniała kanapki z szynką, piła na przemian wino i ciepłą herbatę miętową, zatelefonowała do wikarego w Nieder-Ellmoos, żeby natrzeć mu uszu za jego „przeklętą, pseudopostępową lekkomyślność”, jak Robert to nazwał, i stanowczo zalecić mu, żeby nie posyłał ciężarnych dziewcząt po prostu do Berlina, ponieważ kilku głupich studentów teologii bajało mu coś o pewnym panu Schulzu. Wikary robił wrażenie zakłopotanego. Może zresztą tylko dlatego, że słyszał twarde słowa z ust funkcjonariuszki policji kryminalnej, która równocześnie żuła, przełykała i wymyślała mu. Trochę później zadzwonił ojciec Katinki. W czasie świąt wielkanocnych chciał pojechać z nią do Florencji, Rzymu, Neapolu i Paestum. Katarzyna nie miała ochoty długo z nim rozmawiać, więc zaraz zawołała Katinkę. Dziewczyna przywlokła się w złym humorze ze swego pokoju, w którym mieszkała, jak oświadczyła, „tylko przejściowo”, chwyciła słuchawkę, długo słuchała, trochę protestując, nagle powiedziała z nieoczekiwanym zdecydowaniem: - To wypchaj się od razu ze swoimi zafajdanymi starożytnościami - i odwiesiła słuchawkę. Był to zdaje się wieczór twardych słów.

- Czy z tobą też tak zawsze robił? - spytała Kalinka. - Najpierw należy przeczytać stos książek o sztuce, a on kontroluje, czy się je przeczytało. A gdy stoi się przed daną kolumną czy kościołem, jeszcze raz coś czyta i trzeba

stać cichutko w prażącym słońcu i robić zachwyconą minę. Może on ma bzika.

- Ależ chce twego dobra - powiedziała Katarzyna.

- Tak bardzo chciał twego dobra - odparła Katinka - że ty też wcale go nie opuściłaś! - Wycofała się znowu do swego pokoju, wyszła jeszcze raz, żeby powiedzieć, że od jutra naprawdę nie będzie tutaj mieszkała, i zniknęła ostatecznie.

W tej chwili zadzwonił Gerfried.

- Pani Ledermacher, mamy taśmę.

- Gdzie była?

- Tutaj.

- Co znaczy: tutaj? Giesebrechtstrasse?

- Gothaerstrasse. Służba śledcza.

- Służba śledcza?

- Tak.

- Niech pan opowie - powiedziała z niejakim trudem.

- Kolega nie miał dosyć folii i plastikowych torebek przy sobie, gdy wezwano go do gabinetu doktora Jeremy'ego. Potrzebował czegoś do zapakowania, przyjemniaczek. Wtedy zobaczył na biurku osłonę taśmy magnetofonowej.

Katarzyna jęknęła.

- Tak, pani Ledermacher. Wetknął taśmę do kieszeni płaszcza, a pudełko wziął na swoje faramuski.

Katarzyna pomyślała, że Zobel nigdy nie zjawił się przy zwłokach bez toreb od Neckermanna czy innych.

- A dziś wieczór przypomniało się poczciwcowi - rzekł Gerfried. - Akurat gdy Doris i ja wróciliśmy z Giesebrechtstrasse. Zupełnie wykończeni, mogę panią zapewnić.

- Wierzę - odparła Katarzyna. - Dlaczego nie wziął po prostu koperty z biurka?

- Nie chciał nic zmieniać - rzekł Gerfried.

- Cóż za takt.

- Tak - odparł Gerfried - zachował się bardzo taktownie. Doris i ja nie byliśmy wobec niego taktowni.

Powiada, że żona go opuściła. Całą noc z soboty na niedzielę zalewał się wódką i piwem. Był zupełnie skołowany, powiada, gdy przyszedł do gabinetu. Czy mam napisać raport?

- Najpierw z nim porozmawiam. Jutro.
- A taśma?

Katarzyna chciała powiedzieć: też jutro. Ale powiedziała: - Na pewno już przesłuchaliście.

- Tak.
- No i?
- Rodzaj miłosnej historii.
- O, mój Boże.

- Studenci. Ona oczekuje dziecka. Jego przyjaciel pośredniczy w sprawie przerwania ciąży w Szwajcarii. W początkach sześćdziesiątych lat zdarzały się takie rzeczy. I to wszystko opowiadają oni oboje na przemian. Raz on, raz ona. Nic z tego nie rozumiem. Ale to brzmi fachowo. Doris też tak uważa. Niejaki Günter stawia pytania, na które oni oboje odpowiadają. Ale sam Günter już się nie pojawia.

- Jak się nazywają?
- Roswita i Michael. Nazwisk nie podano. Oboje mają awantury z rodzicami. Jej ojciec jest praktykującym lekarzem, jego inżynierem.
- A przyjaciel?
- On występuje z pełnym imieniem i nazwiskiem:

Henry Lülldorf. Producent filmów reklamowych. Pozwala im wystąpić w filmie reklamowym, żeby zdobyli pieniądze na przerwanie ciąży.

- Czy ktoś z nich wchodzi w grę jako Schulz?
- Trudno powiedzieć. W zasadzie tak. Nie widzimy jednak konkretnych punktów zaczepienia. Może Lülldorf. Może chłopak. Michael jest jednym z tych upartych, przekornych idealistów. Studiuje medycynę, żeby później zostać wiejskim lekarzem. I zastanawia się nad tym, czy jako

przyszły lekarz może pogodzić pomoc przy przerwaniu ciąży z przysięgą Hipokratesa. Może nie został wiejskim lekarzem, lecz Schulzem. A poza tym jest mowa o ciotce Roswity, Kordel, w Heidelbergu, handlarce win. Może prawdziwy Schulz jest w ogóle kobietą, siostrą Roswity, Hildchen, której mąż sprzedaje glicerynę. Ona także oczekuje dziecka, bo bawiła się z mężem oraz jednym klientem i jego żoną w „doppelkopfa”.

- W „doppelkopfa”?

- To taka gra w karty - wyjaśnił Gerfried poważnie.

- Aha - powiedziała Katarzyna. Przypomniał jej się stół dla komisarzy, gdzie zbierano się co trzeci wtorek w knajpie przy Bayerischer Platz. Dawno tam nie była. Obawiała się małżeńskich problemów kolegów, których musiała wysłuchiwać po wielu kieliszkach Maltesera, dyskutować, brać je poważnie. Komisarze natomiast bali się jej jako partnerki do skata, ponieważ grała zupełnie niepoważnie i często się przelicytowywała. Postanowiła zagrać w skata we wtorek przyszłego tygodnia.

- Chciałabym zaraz usłyszeć taśmę - powiedziała Katarzyna. Nagle opuściło ją zmęczenie. - Proszę mi ją tu przysłać.

- Zaraz to zrobię.

- Razem z magnetofonem.

Co prawda używanie służbowych magnetofonów poza pokojami służbowymi nie było dozwolone. Ale Katarzyna nie umiała obchodzić się ze skomplikowanym sprzętem Roberta. Oczekiwała, że Gerfried chrząknie z dezaprobatą.

Ale on rzekł tylko:

- Jasne.

Pół godziny później dwaj policjanci przynieśli magnetofon i stare pudełko, w którym od przeszło dwunastu lat przechowywano taśmę. Pismem doktora Jeremy'ego było napisane czerwonym ołówkiem i dużymi literami:

SCHULZ. Drobnym pismem Gerfrieda było jeszcze dodane: szybkość 4,5.

Wkrótce potem przyszedł Robert. Ale posłuchał tylko początku, ziewnął i poszedł spać. Katinka nie pokazała się więcej. Katarzyna siedziała sama w fotelu na biegunach Roberta, wygasiała wszystkie lampy z wyjątkiem stojącej na biurku i nastawiła dźwięk najciszej jak mogła. Wypiła resztę herbaty miętowej i dalej słuchała ciemnego głosu młodej kobiety, która opowiadała, w Heidelbergu, o swoich studiach, o pracy doktorskiej na temat francuskiego autora bestsellerów z XII wieku, o tym, że samotność nie wystarczano Michaelu, o lęku przed dzieckiem. Przysłuchiwała się też jasnemu głosowi młodego mężczyzny, opowiadającego w Berlinie, jękając się, o Roswicie, która nie chce wyjść za niego za mąż, o swoim zwątpieniu we własne siły, o przyjacielu Lülsdorfie, ciotce Kordel, pijącej wiśniówkę przeciwko działaniu fohnu, o swoich listach do Roswity i braku odpowiedzi na nie.

Koło pół do pierwszej poszła do łóżka. Robert przewracając się na bok mruknął: - Masz swojego Schulza? - i zasnął, zanim zdążyła odpowiedzieć. Tak, chciała powiedzieć, prawie na pewno.

## 17.

Nazajutrz wczesnym rankiem zawałiła się ściana nośna willi Am Sandwerder. Komin stracił przez to podparcie. Zapadł się więc także do środka. Sąsiadom zdawało się, że oprócz huku słyszeli jeszcze krzyki. Przywołana policja odkryła pod gruzami ściany i komina części kartoteki doktora Jeremy'ego.

Około piątej wezwano do willi Katarzynę. Było zimno

i ciemno, zaczynał padać śnieg z deszczem. Z powodu niebezpieczeństwa zawalenia się ona i Gerfried musieli znowu włożyć hełmy strażackie. Chodzili po ruinach w świetle reflektorów i obserwowali strażaków, którzy ostrożnie podnosili warstwy gruzu i usuwali je na bok, poszukując zasypanych. Po godzinie nie ulegało już wątpliwości: nie było zasypanych. Spoceni, przemoczeni, zmarznięci strażacy opuścili ruiny. Gerfried i Katarzyna wypytywali jeszcze kilku niechętnych sąsiadów, którzy po zakłóceniu nocnego spoczynku położyli się właśnie znowu do łóżek.

Pozostawiali ślady gliny i plamy od deszczu na cennych perskich dywanach i wykładzinach. Ale nie dowiedzieli się niczego. Nikt nie widział ludzi, którzy zanosili w ruiny walizki lub torby. Nikt nie widział ludzi stojących przy ruinach. I nikt nigdy nie widział mikrobusa volkswagena z zasłonami w kratkę.

Gerfried zasiadł za kierownicą samochodu Roberta, gdy jechali przez Avus do domu. Katarzyna nie chciała prowadzić. Siedziała obok niego, trzęsła się i ziewała. Na tylnym siedzeniu leżał magnetofon i taśma.

- A zatem nic nie widzieli - rzekł Gerfried. - Ale słyszeli krzyki.

- Krzyki sówki - odparła Katarzyna i znowu ziewnęła.

- Krzyki sówki?

- Albo dzików.

Gerfried spojrział na nią spod oka.

- Albo kotów. Widziałam przedtem kota. A może to była chwiejąca się, skrzypiąca rytna. Świadkowie lubią przyjmować do wiadomości coś, czego nie ma. A nie widzą tego, co jest. Wiemy przecież o tym.

- Mogą tu pomóc tylko pytania sugerujące - rzekł Gerfried. Zdusił ziewanie. A Katarzyna odparła poważnie:

- Tak.

- Ale pani nie stawiała im sugerujących pytań.

- Byłam zbyt zmęczona - odparła Katarzyna. - Poza tym po co? Nikt przecież nie leżał pod gruzami. A mikrobus mamy.

Kolejna pauza.

- Höpnerowie kradną kartotekę doktora Jeremy'ego. Możemy przyjąć, że nie mieli zamiaru zastrzelić doktora i jego żony.

- Nie.

- Stało się to, ponieważ zostali zaskoczeni. Bo są początkujący. W tej dziedzinie.

- Tak.

- Nie liczyli się z tym, że Jeremy'owie bywają w pokojach ordynacyjnych również w niedziele.

- Słusznie.

- Dalej możemy przyjąć, że Höpnerowie działali z polecenia Schulza.

- Możemy.

- Jeżeli to prawda, możemy również przyjąć, że Schulz był zły z powodu zamordowania doktora Jeremy'ego.

- Z pewnością.

- Wtedy Höpnerowie ze złości na postępowanie Schulza wyrzucili kartotekę w gruzy, zamiast oddać ją Schulzowi.

- Nie wiem.

- Nie?

- Sądzę raczej, że wyrzucili kartotekę z zamięłowania do porządku.

Gerfried znowu spojrzął na Katarzynę spod oka, ale milczał.

- Bo są porządnymi ludźmi - powiedziała Katarzyna.

- Bo uważają, że to się powinno znaleźć tam, dokąd zanieśli Hildegardę. Musi być coś takiego. Bo Schulz nie był wcale zainteresowany kartoteką. Pojęłam to nagle, w ruinach. - Ziewnięcie. - On był zainteresowany tylko w tym, żeby zniknęła. Żeby kradzież doszła do publicznej



wiadomości. Żeby klientki tak popularnego i dobrego ginekologa zostały odeń odstręzione. I rozejrzały się za lepszym, za dyskretnym fryzjerem. Właśnie za Schulzem. Dlatego też inni popularni lekarze, zapisani w notatniku Hildegardy, mieli również w przyszłości stracić swoje kartoteki. Byli tam przecież tylko po to wpisani, żebyśmy się nimi zajęli. Żebyśmy skonfiskowali kartoteki. Ponieważ ani my, ani nasi koledzy od polityki tego nie zrobili, robi to Schulz. I wzmocni propagandę trwałej ondulacji. Dokładnie tak, jak zapowiedział pani Boncoeur. Innymi słowy bracia Höpnerowie według wszelkiego prawdopodobieństwa nie są w Malmo czy Rzymie, tylko w drodze do Hof, Rottweil czy Husum.

- O ile nie są w Spandau - odparł Gerfried i ziewnął teraz również bez ukrywania. - Poza tym chciałbym wiedzieć, czy pani Boncoeur spotka się dziś wieczorem z panem Schulzem.

- Ja też chciałabym wiedzieć.

- I jak się do niego zwróci.

- Myślę - Katarzyna ziewnęła równocześnie z Gerfriedem - że powie: dobry wieczór, panie Lülldorf.

W biurze było ciepło i wprost przytulnie. Doris nalała do trzech filiżanek gorącej wody z pokrzywionego elektrycznego garnka, zamieszała cukier i neskę. Normalny dzień roboczy powinien się zaczynać od co najmniej dwóch filiżanek kawy. O tyle był dziś pierwszy normalny dzień roboczy od czasu powrotu Katarzyny z urlopu.

Gerfried cofał taśmę, tymczasem Katarzyna czytała nowe sprawozdanie z Adam-Nitze-Strasse. Na dworze powoli się rozjaśniało.

Szóste sprawozdanie

Zebranie siedemnastu obecnie osób okupujących dom.

Skoro senat i właściciel domu cofnęli swoją zgodę na planowaną umowę, ponieważ wbrew porozumieniu nocował w domu młodociany poniżej osiemnastu lat, co prawda u pani Baier, lecz zostało to przez obie strony ocenione jedynie jako wybieg, trzeba teraz przedyskutować, co będzie dalej. Duża brama domu jest już zabarykadowana, do domu można dostać się tylko tylnym wejściem ... (niezrozumiały) bardzo wąskie, poza tym ... (niezrozumiały).

Okupujący (kobieta):... twoje zdanie, Helmut... (głosy... niezrozumiały)...

Helmut(?): Dotychczasowy rozwój wypadków pokazał, że pertraktacje nie posuwają nas naprzód. Na gwałt pomaga tylko gwałt. Musimy się bronić i to tak długo, aż robotnicy, studenci i uczniowie w całym mieście zaczną się z nami solidaryzować i demonstrować masowo na naszą rzecz, ponieważ zrozumieli, że tutaj... (niezrozumiały) na Adam-Nitze-Strasse 15, walczy się o ich sprawę.

Głosy: Jasne stanowisko... (niezrozumiały) ... Anno, teraz ty.

Anna: Jestem przeciwna przemocy. Nie zaprowadzi nas dalej. A w oczekiwanej solidarności nie wierzę. Nie może nawet powstać, bo robotnicy, studenci, uczniowie wiedzą o nas za mało, ach, prawie nic. Jestem za biernym oporem. Niechaj nas pojedynczo i z wielkimi trudnościami wynoszą, wywlekają, wyciągają z mieszkania. Zatrzymają nas jeden, może dwa dni, przeprowadzą śledztwo, potem puszcza. A wypuszczeni wrócimy tutaj. Jeżeli zrobimy to kilkakrotnie, staniemy się znani i wielu naszych przyjaciół przyjdzie, żeby nam pomóc. Żeby okupować dom, podczas gdy nas przesłuchuje policja, i zostać razem z nami, gdy wrócimy. W ten sposób powoli stworzymy solidarność. Pomijając to, czym mamy się bronić? Czym, Helmut?

Helmut: Mogę dostać broń. Pierwszorzędną. Już ją mam.

Głos męski: Gdzie?

Głos kobiecy: Co za broń? ... (niezrozumiałe)...

Głos męski: Bzdury, broń (rozmowy, niezrozumiałe)...

Głos kobiecy: Niech Manfred też coś powie.

Manfred (?): Nie wiem. Gwałt to takie słowo. Uczyłem się, że kiedy pierwszy strzeli kogoś w mordę, już mnie ten w mordę nie strzeli. Ale w końcu wyszła z tego tylko ta szczotka do zębów, którą musiałem szorować sień, i ucieczka do was, i trudności, które wy teraz z mego powodu... (niezrozumiałe)...

Pani Baier: Jeżeli ja mogę coś o tym... (niezrozumiałe)...

Głos męski: Babcia Baier, tak, ona powinna też...

Pani Baier:... chciałam powiedzieć, mianowicie, są takie momenty, gdy ci z góry maglują nas, wszystko jedno, co robimy, walą nas po pysku. I taki moment nadszedł teraz znowu. (Rozmowy. Niezrozumiałe).

Helmut (?): Jeżeli nadszedł teraz znowu taki moment, lepiej bronić się, zanim nas wkręcą do magła. Może magiel się wtedy zepsuje... (niezrozumiałe)...

Głosy: Karol chce coś powiedzieć, Karol.

Karol: Helmut ma rację. Musimy dać przykład. Dawaj broń. Zobaczycie, ludność jest po naszej stronie. Dziesiątki tysięcy... (niezrozumiałe)...

Głos kobiecy: Bzdury. Zamknij się.

Głos męski: Co to za broń... (niezrozumiałe, rozmowy).

Anna: Nie ma żadnej broni!

Męskie i kobiece głosy, jedno przez drugie: Głosowanie, głosowanie...

Wynik głosowania: czternaście do trzech za Anną, a więc za biernym oporem.

Katarzyna odsunęła papiery i jednym haustem wypila kawę.. Wiedziała już, kto był szpiclem. I wiedziała, że w ciągu następnych dni policja wykurzy okupujących dom. Czego nie wiedziała, to: czy ten Helmut bluffuje, mówiąc

o broni. Czy ma ją naprawdę. Czy ma oba granaty. Taśma została cofnięta i była gotowa do startu. Doris mieszała kawę, nie pijąc. Miała szarą i zmęczoną twarz, jakby nie spała. I wydawało się, że ma znowu gorączkę. Katarzyna pomyślała, że właściwie ponownie powinna wysłać Doris do domu. Ale tym razem Doris na pewno by się sprzeciwiła. Katarzyna szukała w torebce kartki, na której zanotowała kilka cyfr. Spojrzała na nie i puściła taśmę.

- Tutaj mniej więcej - szepnęła. - Tutaj powinno to być. - Wcisnęła dwa klawisze, przekręciła regulator dźwięku. Natychmiast rozległ się ciemny głos młodej kobiety, zduszony, bo taśma odtwarzała monotonie, ale wyraźny.

- Trochę za wcześnie - powiedziała Katarzyna. - Zraz będzie Lülldorf.

Młoda kobieta chodziła tam i z powrotem po pokoju, głos zbliżał się i oddalał w nieregularnym rytmie.

- ...karmiłaby zapewne dziecko chlebem z kiełbasą i rieslingiem, a w dni föhnu wiśniówką, ale by je wychowała. A ja między wykładem a seminarium, między językiem prowansalskim a niemieckim i po każdym rozdziale mojej latami wlokącej się pracy doktorskiej byłabym matką.

Wyobraziłam to sobie dokładnie. I wtedy zrozumiałam, że to niemożliwe. Jestem za słaba. Dla mnie wchodzi w grę tylko: albo - albo. Albo wykonywać pracę mężczyzny, albo kobiety. Może później, gdy skończę, gdy zdobędę coś takiego jak baza, może uda mi się być kobietą i mężczyzną jednocześnie. Teraz muszę pozostać przy tym, żeby być mężczyzną, bo inaczej zrobię z mego życia zlepek samych połowiczności. A w tym uciążliwym przygotowaniu, gdy usiłuję przyzwyczajać mój mózg do ścisłości i systematyczności, każde kobiece uczucie wyrzuciłoby mnie z toru. Mój mózg jest zdolniejszy, ruchliwszy, logiczniejszy niż większość męskich mózgów dookoła. Tak. Chociaż pan się uśmiecha, Gunter. Nigdy nie zadowoliliby się tym, żeby

dyrygować wyłącznie gospodynią i matką, zrobiłby się złośliwy z powodu braku zajęcia, w ciągu lat podstępnie zatruliby gospodynię i matkę. Nie mogę się cofnąć. I nie chcę. Gdybym miała dziecko, nie mogłabym myśleć inaczej niż: moje dziecko. Zarabiałabym pieniądze jakąkolwiek mechaniczną pracą. Andreas Capellanus i Hartlieb wymknęliby mi się, mój mózg już by ich nie pojmował. Nigdy. A moje dziecko miałoby czułą, zatrutą, nieznośną matkę. Natychmiast rozległ się jasny głos młodego mężczyzny w innym pokoju.

- Teraz - powiedziała Katarzyna.

- Potrzebowaliśmy pomocy, a pomoc mógł tylko mój przyjaciel Lülisdorf. Henry Lülisdorf, którego karta wizytowa ze złotą obwódką i małą koroną z prawej, u góry... - Młody człowiek przerwał, zaczął znowu: - On zawsze twierdzi, że Lucchino Visconti i on są jedynymi na świecie reżyserami filmowymi, pochodzącymi ze starej arystokracji. Ale dotychczas nie widziano żadnego filmu Henry'ego, a co do starej arystokracji... Chociaż zawsze nosił przy sobie fotokopię dokumentu z trzynastego wieku, w którym jest mowa o hrabim Lülisdorfie na Lülzburgu.

Henry często miewa pieniądze, a przede wszystkim ma stosunki. Wówczas studiował socjologię i ekonomię w Monachium, ostatni semestr, przeważnie siedział jednak w kantynie Bawarii. I jeździł małym alfa romeo. Poszedłem do niego i opowiedziałem mu o wszystkim. Powiedział, że to kosztowałoby tysiąc marek i legalnie da się zrobić tylko w Szwajcarii.

Reguły gry były proste. Henry przybył do Heidelbergu, specjalnie dla nas, żeby nas ich nauczyć. Poza tym przywiózł tysiąc marek. Musieliśmy podpisać, że otrzymaliśmy honorarium za film „Najszczęśliwszy dzień”.

Uważałem to za jeden z jego zwykłych pomysłów. Na przykład gdy wchodził do domu, zawsze wkładał sobie małą, wyblakłą czapkę kardynalską, nawet gdy szedł do

teatru, kina czy na uniwersytet. Miał bowiem dosyć dużą łysinę i cierpiał z tego powodu. Ale jak tylko znalazł się na dworze, zdejmował czapeczkę. Ponieważ mocno wierzył, że słońce, deszcz, wiatr dobrze robią na porost włosów. Mówił, że Roswita i ja... Mamy wywoływać wrażenie, że się nienawidzimy. Raczej ja miałem być niezainteresowany, zły, zimny, a Roswita tak przejęta obrzydzeniem na myśl, że musi urodzić dziecko tego mężczyzny, iż można się było obawiać o jej psychiczną równowagę... No tak, samobójstwo miało tu być realną możliwością.

Henry przygotował Roswitę na pytania testowe, mówił o braku ciągłości i bezradności, zostawił adres jakiegoś heidelberskiego psychologa i zniknął. Jeszcze z auta krzyknął nam, że jesteśmy na najlepszej drodze, tylko odwagi, wszystko automatycznie obróci się ku dobremu...

Dobrze, jestem studentem medycyny. Wiadomo, że każdy lekarz składa przysięgę Hipokratesa. Między innymi, że nigdy przeciw rodzącemu się życiu i tak dalej. Pominąwszy fakt, że byłem w tym zaangażowany...

Katarzyna trzymała środkowy palec na klawiszu. Ale wahała się.

- Nie mam poglądu. Nie, mam zbyt wiele poglądów. Mogę przyjąć każdy punkt widzenia. Albo raczej: nie jestem w stanie nie przyjąć go. O czymkolwiek myślę, rozważam argumenty za i przeciw, a prawie zawsze znoszą się one nawzajem. Mój ojciec... On zawsze wie, co jest dobre, a co złe. Może więc pozwolić sobie z widokiem na powodzenie na przyjemność samooszukiwania się. Natomiast ja... Ale tego nie chciałem powiedzieć. Może złożę przysięgę. Może zrobię jednak coś zupełnie innego i nie złożę jej. Ale tego też nie chciałem powiedzieć. Potrzebuję Roswity. Ona jest dokładnie taka sama jak ja, tylko odważniejsza. Ona decyduje się mimo wszystko. Zawsze.

Jadące auto. Deszcz. Szum wycieraczek. Głos młodej kobiety:

- W ciągu tych dziesięciu, dwunastu dni, zanim pojechaliliśmy do Bazylei, kochałam go. Byłam wolna, nie musiałam wychodzić za mąż, ja...

Katarzyna wcisnęła guzik, spojrzała znowu na kartkę z cyframi.

- Dobrze - rzekł Gerfried, podczas gdy taśma z piśkiem obracała się naokoło szpuli. - Nie będzie to chłopak, to się słyszy wyraźnie za drugim razem. Ale dlaczego Lülldorf?

Katarzyna milczała. Nagle wpadło jej na myśl, że musi zrobić przykrość swojej przyjaciółce Hannelore. I że niepotrzebnie każe Doris i Gerfriedowi jeszcze raz przestudiować taśmę, jeżeli nie mówiła im o Hannelore. Ale puściła taśmę, teraz już z normalną szybkością.

Głos młodej kobiety, w pokoju, bliżej i dalej:

- ... miły starszy pan z białą brodą, w binoklach, typowy lekarz domowy, dziadek-doktor, zupełnie nie jak ginekolog lub chirurg... Miał za zadanie zadać mi możliwie dużo bólu, żebym ... żebym nie przychodziła ponownie. Raz na zawsze. Pamiątka. Pedagogiczna. Dokonali też tego. Zbierało mi się na wymioty, gdy zbliżał się Michael. Miłość zabita, wszystko puste... Wróciliśmy każde osobno. Proszę zostawić, Gunter. Niech się pan o to nie troszczy. Płaczę tylko tak sobie, to zaraz minie. Myślałam, że mogę teraz... Że mogę już o tym mówić. Ale chyba jeszcze nie...

Bezpośrednio po tym młody mężczyzna:

- Roswita jest twarda w przyjmowaniu. Ani słowa wówczas, żadnej skargi, żadnej łzy. Ale nic już nie można było zrobić. Skończyło się. Ciągłe próbowałam nawiązać z nią kontakt na nowo... Potem przeniosłem się do Berlina. Piszę do niej, dosyć często, lecz ona nie odpowiada.

Widzieliśmy się jeszcze tylko raz, przed kościołem Świętego Benedykta, kiedy pan nas poznał. Tego nie dało się uniknąć. Nie mogliśmy zrobić kłopotu Henry'emu

Lülsdorfowi. Zawsze był bardzo porządny w stosunku do nas. Ten film reklamowy stanowił jego pierwszą realną szansę. Poza tym podpisaliśmy przecież. „Najszczęśliwszy dzień” już grają, powiada Henry. Firma samochodowa jest podobno bardzo zadowolona.

Henry oczywiście przesadza. On jest dosyć próżny. Pomysł z młodą parą, która prosto z kościoła wsiada do nowego samochodu, nazwał pomysłem roku w dziedzinie reklamy. Taki jest Henry.

Znowu jadący samochód i głos młodej kobiety:

- W domu było źle. Nie trzeba było tam jechać. Ale czułam się zbyt wykończona. Ta sentymentalność, czy co to jest, tęsknota za bezpieczeństwem, chęć ukrycia się w rodzinnej jaskini.

Moja siostra była tu także, Hubert musiał gdzieś polecieć w interesach, a Hildchen oczekiwała dziecka. Mama chodziła koło niej na palcach, pełna uwielbienia, tata z powodu zbliżającego się radosnego zdarzenia odprawił wdowę, którą się właśnie zajmował, i nawet rozmawiał ze mną. Dom był przesiąknięty uroczystym nastrojem, mama mówiła: - Roswito, czy nie zechciałabyś zanieść Hildchen poduszki? - A tata mówił: - Lepiej, żeby Roswita słała łóżko Hildchen, ona musi się oszczędzać! - a Hildchen, która musiała się oszczędzać, miała tysiąc życzeń w ciągu dnia, nożyczki, czasopismo, śledzia, Hildchen siedziała, zuchwała i rozleniwiona, na krześle, kwitnące życie, i pozwalała rosnąć swemu dziecku, owocowi zabawy w „doppelkopfa”, glicerynowemu dziecku, mieszanemu, małżeńsko-handlowemu dziecku, gdy tymczasem ja nie mogłam się utrzymać na nogach ze słabości i utraty krwi. W końcu, żeby mnie już zostawili w spokoju, powiedziałam im, co mam za sobą. Nastęstwa były okropne, mama nic tylko płakała, tata nie rozmawiał ze mną i znów zajmował się swoją wdową, a Hildchen krzywiła się, bo okradłam ją z widowiska. Wyjechałam. Co miałam...



Przez długi czas tylko deszcz i szum wycieraczek. Potem młoda kobieta mówiła dalej:

- Powiem panu jeszcze coś, Gunter. Gdy zaczęłam pić z panem herbatę i jeździć samochodem, myślałam sobie, że kiedy opowiem wszystko jeszcze raz, bez zakłamania, jak u psychologa, lecz prawdę, to, co zaszło na prawdę, kiedy ktoś będzie mi się przysłuchiwać i pozwoli mi opowiedzieć tę prawdę, stanę się znowu normalna. Jestem już teraz znowu jako tako normalna. Ale zawdzięczam to Henry'emu Lülldorfwowi. Bo nie tylko pan odwiedzał mnie w ostatnich miesiącach. Henry bywał jeszcze częściej. Wyjeżdżałam nawet z nim w tym czasie na dwa tygodnie. Żeby pan i to wiedział. Henry jest jednym z tych, którzy... On bije. Nie może inaczej. Po tych bólach, po tym, co dziadek-doktor w Bazylei... inaczej nie mogłabym już z żadnym mężczyzną. Z żadnym mężczyzną nie mogłabym. Henry uzdrowił mnie biciem. Dziś rano wysłałam dwa listy. Jeden do Henry'ego, pożegnalny. Drugi do Michaela. Nie wiem, czy kiedyś, później, będę mogła zostać żoną...

Katarzyna wyłączyła magnetofon. Potem włączyła znowu i cofnęła taśmę.

## 18.

Podczas gdy taśma odkręcała się, Doris walczyła znowu z rozklekotanym elektrycznym garnkiem. Coś tam nie kontaktowało. Od miesięcy Doris musiała nim wielokrotnie potrząsać, zanim zaczynał grzać. Kiedyś jeszcze przepali nim główny bezpiecznik policji kryminalnej.

Gerfried palił papierosa, Katarzyna milczała. Doris poklepywała garnek jak położna noworodka i pytała:

- A co teraz?

Obok zadzwijał telefon. Gerfried przeszedł do swego pokoju. Katarzyna słyszała, jak pozdrawia kolegów z Bremy.

- Teraz wszyscy trochę potelefonujemy - powiedziała. - Proszę zadzwonić do Maurice Phelza i spytać go o człowieka z telewizji lub filmu nazwiskiem Henry Lülldorf. Ja spróbuję zrobić to samo z reżyserem w Rzymie. Jak on się nazywa?

- Henrichsen. - Doris podsunęła jej spis nazwisk z notatnika Hildegardy. Starając się uzyskać połączenie z Rzymem, Katarzyna słuchała dialogu między Phelzem a Doris. To nie było fair, że kazała dzwonić Doris. Poza tym należałoby podziękować panu Phelzowi za jego przezorność, jeśli chodzi o Höpnerów. Musi to jeszcze nadrobić. W tej chwili nie chciała bezpośrednio wysłuchiwać skarg i oskarżeń, jakie z tego powodu musiała znieść Doris w charakterze filtra. Bo Phelz zauważył oczywiście, że ktoś był w jego mieszkaniu. Podejrzał o to zarówno policję kryminalną, jak kumpli morderców doktora Jeremy'ego. Bardziej jednak policję. Czuł się zagrożony ze wszystkich stron. I po ludzku rozzarowany tak bardzo cenioną panią komisarz. Doris przez powtarzanie tego, co mówił Phelz, nie omieszkła zapewnić Katarzynie współudziału w rozmowie. Poza tym Phelz złożył skargę przeciw nieznanemu sprawcy i wpisał swoje nazwisko na listę tych, którzy protestowali przeciwko dewastacji mieszkań i innym nadużyciom policji. Rozmawiał już obszernie z sympatycznym nauczycielem, który koordynował wszystkie te protesty.

Phelz na liście Roberta, Katarzyna omal się nie roześmiała. W tym wypadku zachowa się jak Mölling. Nic nie będzie wiedziała o nadużyciach podlegającego jej funkcjonariusza. I była zła na żonę, która uciekła koledze ze służby śledczej akurat w tych dniach. Powinna była zrobić to wcześniej. Albo łaskawie poczekać jeszcze parę dni.

Po dziesiątej czy dwunastej próbie połączenia się zgłosiła się żona reżysera. Niemal równocześnie Doris udało się spytać Phelza o Henry Lülldorfa. I podczas gdy żona reżysera oświadczyła znużona, że już wielokrotnie wyjaśniała włoskiej policji, federalnej policji kryminalnej i berlińskiej policji, że jej mąż kręci coś obecnie dla telewizji w Kolonii, Doris dowiedziała się, że Phelz nigdy nie słyszał nazwiska Lülldorf.

Doris rzuciła słuchawkę na widełki i spojrzała na garnek. Woda kipiała. Słyszały, jak obok Gerfried powtarza cyfry. Potem nazwisko:

- Schmöller 51 procent? Tak, to interesujące. To jest bardzo interesujące.

Doris znowu napełniła filiżanki gorącą wodą, zamieszała neskę, a Katarzyna zatelefonowała do Kolonii, przepytowała się przez wiele działów telewizji, posługując się swoim najbardziej urzędowym głosem, wszędzie uprzejmie łączona dalej lub z powrotem, dwa razy rozmawiała z tą samą sekretarką, popijając kawę, wreszcie dotarła do młodego człowieka, który nerwowo przyznał, że pan Henrichsen znajduje się w odległości dziesięciu metrów od niego.

- Ale ma właśnie próbę.  
- Jaką próbę? - spytała niecierpliwie Katarzyna.  
- Co proszę?  
- Czy nie mógłby przerwać na chwilę próby?  
- Czy pani pokryje koszty, jeżeli z pani powodu przeciągnie próbę?  
- A czy pan pokryje koszty, jeżeli z pańskiego powodu nie będę mogła rozmawiać z panem Henrichsenem?

Młody człowiek odwrócił się od telefonu i zawołał w stronę pomieszczenia, skąd dochodziły do uszu Katarzyny odgłosy:

- To pilne. - A potem, z bliska, do Katarzyny: - Chwileczkę. Już idzie.

Później trochę zbyt uprzejmie brzmiący baryton:

- Henrichsen.
- Nadkomisarz Ledermacher, policja kryminalna, Berlin Zachodni. Mam nadzieję, że nie przeszkodzę panu na długo. Ale w sprawie dziewczyny, w której notesiku pan się znalazł, mamy jeszcze jedno pytanie.
  - Wciąż jeszcze nie posunęliście się dalej? Wasi polityczni dosyć mi już krwi napsuli.
  - Czy zna pan reżysera filmowego czy telewizyjnego nazwiskiem Henry Lülldorf ?
  - Lülldorf, Lülldorf. Znałem kiedyś jakiegoś Lülldorfa. Ale to było przed laty. Dziś jest podobno w przemyśle. Wówczas robił filmy reklamowe, to prawda. Co z nim jest?
  - Potrzebujemy go jako świadka. To z filmami reklamowymi może się zgadzać. Czy pamięta pan, kiedy poznał pan Lülldorfa?
  - Około dwunastu lat temu. To musiało być w sześćdziesiątym drugim, trzecim. Poznałem go przez ludzi, z którymi przeprowadzałem wywiad. Pracowałem wówczas dla radia.
  - O co chodziło w wywiadzie? Pamięta pan jeszcze? Katarzyna mówiła szybciej niż przedtem.
  - Skomplikowana para miłosna. - Wydawało się, że zainteresowanie Katarzyny pochlebia Henrichsenowi. - Ona przeszła przerwanie ciąży i siedziała w Heidelbergu, on studiował w Zachodnim Berlinie. Jeździłem wciąż od jednego do drugiego. Mój ty Boże, ile zainwestowałem w tę rzecz!
- Katarzyna przejrzała tymczasem jeszcze raz spis nazwisk z notesika Hildegardy. Długopisem wskazała na niemalże nieczytelne wskutek błędu maszynowego imię obok nazwiska Henrichsen: Günter. Doris uderzyła się lekko łyżeczką w czoło.
  - Człowieku - rzekła najlepszym tonem Zobla - że też nikt z nas tego nie zauważył!
  - A Henry Lülldorf - mówił dalej Henrichsen -

pomógł tym dwojgu zdobyć pieniądze na przerwanie ciąży. Mam nadzieję, że nikogo nie obciążam tą informacją.

- Bez obaw, panie Henrichsen.

- Lülldorf był zresztą dosyć próżny. Już wówczas obstawiał przy tym, żeby go wymienić pełnym nazwiskiem. Pomimo możliwych konsekwencji prawnych. Użył tych dwojga do filmu reklamowego dla firmy samochodowej. Zapomniałem, jaka to była marka. Pomysł na ówczesne stosunki niezły: młoda para opuszcza kościół i wsiada do nowego auta, odjeżdża. Przechodziłem przypadkiem, gdy to kręcono. I od razu wpadłem na myśl: zrobisz z tego O-ton-feature.

- Co takiego?

- O-ton. Oryginalny głos. Tak to się nazywa. Mój Boże, to były jeszcze czasy.

Henrichsenowi przestało już się spieszyć.

- Przez Henry'ego Lülldorfa dostałem się w ogóle do telewizji. Myślałem sobie: co może Henry, może też Henrichsen. - Głos Henrichsena brzmiał tęsknie. - Ale ówczesne radio, poczciwe, stare radio parowe. Telewizja nigdy nie będzie tak piękna. Tak - krzyknął w głąb - pokoju. - Zaraz!

- Czy kiedy poznał pan Lülldorfa, mieszkał pan już w Rzymie?

- Tak. Mieszkam w Rzymie od 1962. Na moje prace radiowe przyjeżdżam zawsze tutaj.

- Czy znał pan doktora Jeremy'ego? - spytała Katarzyna bez przejścia. Ale Henrichsen nie był zaskoczony.

- Tak, z tamtych czasów. Właśnie osiedlił się w Berlinie. To znaczy moja żona go znała. Ja go nigdy nie widziałem. Ona co prawda nie była jeszcze wtedy moją żoną. Sądziła, że doktor Jeremy musi wygłosić naukowy komentarz do moich wywiadów. Posłała mu, zdaje się, roboczą kopię. Ale jakoś do tego nie doszło. Albo kopia zaginęła. W każdym razie komentarz wygłosił szwajcarski psycholog. I z tym komentarzem, z małymi zmianami, rzecz

została też później nadana. Co jest z doktorem Jeremym?

- Nie żyje - odparła Katarzyna. - Może pan o tym przeczytać. Gazety donosiły obszernie.

- Podczas pracy nie czytuję gazet. Ale bardzo mi przykro. Moja żona bardzo go ceniła. Zamiast „doktor Jeremym” mówiła: „doktor cher ami”. Musiał to być lekarz jak z książki z obrazkami. Przy biednych pacjentach dopłacał, przy bogatych odbijał sobie. Czy może już pani uwolnić mnie od dalszych pytań? Inaczej zawali mi się tu wszystko.

- Tak, panie Henrichsen. Dziękuję panu. Bardzo nam pan pomógł.

- Ależ proszę. Cała przyjemność po mojej stronie. Ale proszę nie brać za złe, jeśli dodam: oby po raz ostatni.

Gdy Katarzyna podniosła oczy, stał przed nią Gerfried i wywijał kartkę.

- Stosunki w bremeńskim Towarzystwie Skupu i Handlu są nieco nieprzejrzyste - powiedział Gerfried. - Ale jest pewne, że dostarcza papier pakunkowy tamtej szwajcarskiej firmie zabawkarskiej i to z nadrukiem. Poza tym jest pewne: 51 procent firmy...

- ...należy do Schmöllera - uzupełniły Doris i Katarzyna.

- A 49 procent należy do Henry'ego Lülldorfa - mówił dalej Gerfried. Cieszył się bardzo z wyrazu twarzy Doris i Katarzyny.

## 19.

W ciągu następnych godzin przedpołudniowych i wczesnym popołudniem Katarzyna miała kilka rozmów z właściwym sędzią śledczym i właściwym prokuratorem.

Na szczęście nie był nim Lohmann, z którego zawsze energicznie zaciśniętych ust trudno było wycisnąć rzeczowe wypowiedzi. Natomiast nadprokurator doktor Kleedorn był uprzejmym, rozważnym, na wskroś wytwornym starym kawalerem, który chętnie grywał w kwartecie smyczkowym z sędzią i dwoma internistami.

Kleedorn żył i myślał tak daleko od Katarzyny, że nigdy nie zetknęli się ze sobą. Z wielkiego dystansu posyłali sobie uprzejme sygnały, które potrzebowały odpowiednio długiego czasu, by adresat odebrał je i mógł na nie odpowiedzieć. Dlatego oboje nie mówili rzeczy zbędnych, od razu przechodzili do istoty zagadnienia, argumentowali wyłącznie rzeczowo i po godzinie byli zgodni co do wszystkich punktów. Tak więc w dobrym porozumieniu z prokuraturą Katarzyna mogła skoncentrować poszukiwanie Kurta i Kuna Höpnerów na kilku zaledwie miejscowościach i przygotować aresztowanie człowieka, którego pani Boncoeur poznała jako Schulza. Co prawda postanowiła tym razem zrezygnować z pani Boncoeur.

- Istnieją trzy możliwości - tłumaczyła Gerfriedowi i Doris. - Po pierwsze: Lülldorf nie pokaże się już w Zachodnim Berlinie, bo zrobiło mu się tu nieprzyjemnie po aresztowaniu brata Ferdy'ego i siostry Berty. Wtedy zabierzemy go sobie z Bremy. Ponieważ jest prózny, nie będzie uważał za możliwe, żebyśmy wiedzieli o nim tyle, ile wiemy. I nie będzie chciał zrezygnować po prostu ze swoich 49 procentów, żeby polecieć, dajmy na to, do Południowej Ameryki.

- Albo do Liechtensteinu - rzekła Doris.

- Słusznie. Po drugie, brata Ferdy'ego i siostry Berty może się nie obawiać, bo oni rzeczywiście niewiele o nim wiedzą. Przyjdzie więc dziś wieczór na spotkanie z panią Boncoeur, o ile pani Boncoeur wydaje mu się dostatecznie godna zaufania. Nie jestem tego pewna. Przygotujemy dyskretne zatrzymanie go w restauracji lotniska Tempelhof.

Ale sędzę, że z większym prawdopodobieństwem znajdziemy go gdzie indziej. I dlatego musimy, po trzecie, przygotować aresztowanie go na Breitenbachplatz.

Kiedy wyjaśniała, w którym mieszkaniu spodziewała się Lülsdorfa, Gerfried spojrzął na nią krótko, ale nie stawiał żadnych pytań.

Na Breitenbachplatz dzielnice Wilmersdorf i Steglitz przechodzą w dzielnicę willową Dahlem. Łączą się tu ze sobą harmonijnie: ongiś światowe południowo-zachodnie korso, obok leciwa już kolonia artystów, potem kilka sklepów, z trudem konkurujących z centrum handlowym w Steglitz, i z wysiłkiem utrzymywane na dobrym poziomie domy mieszkalne. Udana architektonicznie elipsa placu została obecnie rozdzielona przez budowę drogi szybkiego ruchu, która ma prowadzić w poprzek niego na wysokości drzew. Harmonia i architektura zostały naruszone, ale protesty mieszkańców senat najpierw zbył lekceważąco, a potem, po rozpoczęciu robót, odrzucił z wyjaśnieniem, że teraz nie można już tego zmienić.

Zapadał mrok. Ruch związany z zakończeniem pracy w biurach kłębił się koło budowy. Żeby dojść do mieszkania Hannelore Katarzyna musiała przeciskać się między prącymi naprzód ludźmi, wracającymi do domu po pracy, brnąć przez zerwany asfalt i mokre gruzu. Jak ona może spać w dzień przy hałasie z budowy, myślała Katarzyna i rozglądała się. Samochody policyjne były dyskretnie zaparkowane w bocznych ulicach, możliwe drogi ucieczki zabezpieczone.

Drzwi domu obok jasno oświetlonej cukierni stały otworem. Katarzyna powoli wstępowała na schody. Jej rozważania były proste: Hannelore sypiała zwykle do czwartej po



południu. Dopiero potem miała czas dla przyjaciół. Jej ulubionymi perfumami był Irish moos. Kiedy pani Boncoeur spotkała się z Schulzem, pozostał jeszcze na jego ubraniu ślad tego zapachu. Zatem nie tylko telefonował do Hannelore. Prawdopodobnie odwiedził ją, zanim poszedł na spotkanie z panią Boncoeur. Co prawda, wychodząc z tego tylko założenia, zuchwałością byłoby wnioskować, że Schulz będzie się znowu tego samego trzymał. Lohmann nie poszedłby na podobną przygodę. Ale doktor Kleedorn, od miesięcy zajęty niepojętą harmoniczną śmiałością ostatnich kwartetów Beethovena, uznał plan Katarzyny za przekonujący.

Zbliżając się do trzeciego piętra Katarzyna myślała: co jej powiem? Hannelore, mogłaby powiedzieć, powinnaś była od razu wyjaśnić, że twoim aktualnym bijącym kochankiem jest właśnie Schulz. I że Schulz w rzeczywistości nazywa się Lülldorf. I mogłaś również przyznać, że od dawna nie jesteś pacjentką doktora Troncka, prawdopodobnie dlatego, że nie ufasz już tak staremu lekarzowi. Zamiast tego, powiedziałaś, zadzwoniłaś ostatniej soboty do nowego lekarza. Może jednak chciałaś współpracować z Schulzem. Ale po rozmowie ze mną poczułaś się niepewna. Spróbowałaś więc dowiedzieć się od doktora Jeremy'ego czegoś o Schulzu. Przy tym zapewne napomknęłaś, że Schulz nie nazywa się Schulz, tylko Lülldorf. Tak musiało być. Doprawdy, oszczędziłaś mi mnóstwa okrężnych dróg, gdybyś zaraz opowiedziała o Lülldorfie i doktorostwo Jeremy może by jeszcze żyli.

Stała przed drzwiami mieszkania na trzecim piętrze. Drzwi miały dwa zamki. Jeden z nich był patentowy. Jeżeli Katarzyna słusznie oceniała przyzwyczajenia Hannelore, zamykała ona drzwi na ten ostatni zamek tylko, gdy spała. Jeżeli nie spała lub miała gości w domu, patentowy zamek był otwarty. Katarzyna nasłuchiwała chwilę. Na klatce schodowej cisza. Żadnych odgłosów z ulicy. Również

od strony mieszkania nic nie było słyhać. Przykro mi, że muszę wam przeszkodzić. I wyjęła z torebki wytrych. Drzwi mieszkania lekko skrzypiały. Katarzynie udało się zamknąć je bezszelestnie. Stała w ciemnym przedpokoju, wyłożonym welurem. Tylko z przymkniętych drzwi sypialni padało słabe światło. Katarzyna widziała, że telefon na delikatnym stoliku garderoby był wyłączony. Długi sznur prowadził do sypialni. Ostrożnie pchnęła drzwi i spojrzała na dwuosobowy tapczan.

Tapczan był oświetlony stłumionym światłem stojącej lampy, obwieszanej pluszem i frędzlami. Na zgniecionym, pomarańczowym prześcieradle spały dwie młode nagie kobiety i nagi młody mężczyzna. Tylko jego nogi były otulone wełnianym kocem. W pokoju było bardzo ciepło i zupełnie cicho. Trzy śpiące osoby oddychały lekko i równomiernie. Dopiero po pewnym czasie Katarzyna zrozumiała, co widzi. Bo jedną z młodych kobiet była Katinka. Leżała, chuda i kanciasta, na wpół w ramionach, na wpół na okrągłościach pulchnej Hannelore. Lewa ręka Hannelore spoczywała czule na biodrach Katinki. Prawa ręka Katinki leżała na matowo połyskującej piersi młodego mężczyzny.

Z wzniesień i zagłębień spokojnie wyciągniętych ciał rozchodził się łagodny zapach wydzielin i Irish moos. Katarzyna, zmieszana, nawet przez moment bezradna, ostrożnie wycofała się do ciemnego przedpokoju.

Około trzech godzin później Katarzyna patrzyła od wejścia do restauracji na lotnisku Tempelhof na puste stoły i krzesła. Czterech mężczyzn siedziało w sporej odległości jeden od drugiego i jadło w milczeniu, dwaj kelnerzy obserwowali ich. Z dołu zgiełk głosów, zapowiedzi przez głośnik w hali odpraw, od czasu do czasu wycie silników z zewnątrz. Jeśli było to miejsce spotykania się agentów,

Katarzyna знаła osobiście połowę tu obecnych. Należeli do policji kryminalnej i stali dyskretnie przy wszystkich wejściach i wyjściach. Samotnie jedzący mężczyźni musieli być mistrzami konspiracyjnej sztuki wprowadzania w błąd. W ogóle nie zwracali uwagi na siebie nawzajem. Na wpół ukryty za kolumną siedział piąty mężczyzna, z do połowy opróżnioną szklanką piwa przed sobą. Schulz. Katarzyna nie ważyła się mieć na to nadziei. Szła w jego kierunku.

Schulz patrzył na nią, jeszcze nie pojmował, zastanawiał się, zrozumiał, chciał podskoczyć, sięgnął po ciężką torbę podróżną na sąsiednim krześle, rozejrzał się. Popatrzył na pomarszczoną twarz Gerfrieda, stojącego w wejściu, na lekko zaróżowioną twarz Doris przed wejściem do kuchni, zobaczył w głębi dwóch panów z rękami w kieszeniach płaszczy. Kelnerzy zniknęli. Schulz wypuścił uchwyt torby podróżnej, podniósł się powoli.

- Dobry wieczór, panie Siebert - powiedziała Katarzyna i usiadła naprzeciw niego. Schulz także usiadł równie powoli, jak się podniósł. - Albo panie Harding - rzekła Katarzyna. - Jeżeli nie woli pan jednak ładniejszego nazwiska, Lülsdorf. Co do mnie, możemy pozostać przy Schulzu. Żeby było wygodniej. Widzi pan, że zrezygnowałam z peruki. Może zechce pan również zrezygnować ze swego kosmyka włosów na łysinie. A zwłaszcza z gorsetu. Naprawdę bardzo pana uciskał podczas pańskiej rozmowy z panią Boncoeur.

- Zostawmy tę konwersację - odparł Schulz chłodno. - Mówmy o interesach. - Zacytował panią Boncoeur. Ale ironia nie udała mu się. - Dlaczego pani oddziały pomocnicze nie rzucają się na mnie? Nie zakładają mi kajdanek? Nie wloką mnie na przesłuchanie? Co?

Katarzyna milczała. Z zadowoleniem stwierdziła, że Schulz nie pachnie perfumami Irish moos.

- Czego pani chce ode mnie? - spytał w końcu Schulz.

- A więc - powiedziała Katarzyna - dużo myślałam o panu, panie Lülsdorf. I chciałabym się dowiedzieć, czy myślałam słusznie. Zastanawiałam się na przykład, z jakich punktów widzenia zestawiał pan nazwiska w notesie Hildegardy.

- Hildegardy?

- Czy nazywała się inaczej? - spytała szybko Katarzyna.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Najpierw wyszukał pan przypadkowe nazwiska z książek telefonicznych. Potem przemieszał je pan z nazwiskami kilku lekarzy, których uważał pan za konkurentów na rynku przerywania ciąży. Ale mieszkający w Rzymie reżyser nie pasuje do tego. Zastanawiałam się nad tym, dlaczego wpisał pan między tamte adresy znajomego z dawnych lat.

- Ja? Dlaczego ja?

- Albo kazał wpisać. Sprawdzą to nasi grafologowie. Poza tym zastanawiałam się, czy nazwisko doktora Jeremy'ego pojawiło się wśród adresów dlatego, że należał do uciążliwych konkurentów. Czy dlatego, że był również znajomym z dawnych lat.

- Nie znam doktora Jeremy'ego.

- Być może. Ale może słyszał pan o nim wówczas od Henrichsena.

- Wówczas?

- Gdy pomógł pan Roswicie wyjechać do Szwajcarii.

- Ach.

- Sądzę, że to był, żeby się tak wyrazić, pański debiut jako organizatora przerywania ciąży.

Milczenie. Schulz spojrział na torbę podróżną. Katarzyna śledziła jego spojrzenie. Gdyby próbował ją otworzyć, Gerfried, Doris i obaj funkcjonariusze rzuciliby się na niego.

- Dalej zastanawiałam się - mówiła Katarzyna - dlaczego kazał pan zawieźć ostatnią ofiarę organizowanego

przez siebie przerywania ciąży akurat do willi Am Sandwerder. I wtedy przypomniał mi się pewien mężczyzna z Lichtenrode.

- Nie pojmuję tego powiązania. Lichtenrode?

- Lichtenrode. Zamordował on swoją żonę - wyjaśniała uprzejmie Katarzyna. - Gdy sąsiedzi pytali go o nią, mówił: „Uduśliłem ją i zagrzebałem w moim ogrodzie obok słoneczników”. I pokazywał sąsiadom świeżo rozkopaną ziemię. Sąsiedzi uważali to za makabryczny dowcip męża, którego opuściła żona. Byli przekonani, że żyje ona w Republice Federalnej z innym mężczyzną. Ktoś twierdził nawet, że ją widział przed katedrą w Kolonii, z szoferem, który niósł za nią pączki. W każdym razie wszyscy byli uspokojeni. Wiedzieli, o co chodzi. Nikt nie pytał już tego człowieka o żonę. Dziesięć lat później, przez przypadek, okazało się, że naprawdę ją uduślił i zakopał obok słoneczników. Widzi pan, panie Lülldorf, w pańskim wypadku było podobnie. Prawda? I to nas zmyliło, muszę przyznać. Bo przybył pan tutaj z polecenia pana Schmöllera, żeby przygotować możliwie szybkie i gruntowne zniszczenie domów Am Sandwerder i przy Adam-Nitze-Strasse. Bracia Höpnerowie mieli dostarczyć granat podburzonym przez pana ludziom okupującym dom. Tymczasem nastąpiła śmierć tej dziewczyny. I pan nie oczekiwał zapewne tak szybkiego wystąpienia policji wobec okupujących dom Am Sandwerder. Trzeba było prędko rozwiązać dwa problemy: usunięcie zwłok i dostarczenie granatu tamtym ludziom. Chciał pan skombinować jedno z drugim. Ale coś przy tym nie zagrało. W każdym razie siostra Berta i brat Ferdy nie zrozumieli w ogóle pańskiego planu i chcieli zwłoki zabrać z willi i wrzucić do Kanału Teltowskiego. Otóż zastanawiałam się nad tym: dlaczego zwłoki miały być umieszczone koniecznie w willi Am Sandwerder? Kanał Teltowski byłby z pewnością właściwszy. Zastanawiałam się też, dlaczego granat został zapakowany akurat

w papier, który pańskie Towarzystwo Handlowe z Bremy dostarcza do Szwajcarii. Myślałam sobie, czy nie skonstruował pan tego tak niezwykle wyrafinowanie po to, by nas zmylić. Żebyśmy sobie powiedzieli: Ktoś chce w najbardziej niezręczny sposób zniesławić Towarzystwo Handlowe z Bremy, zatem nie ma ono ze sprawą nic a nic wspólnego. Czy też to wszystko miało oznaczać coś zupełnie innego. Mężczyzna, który zakopał żonę koło słoneczników, oświadczył nam po aresztowaniu: „Chwała Bogu. Mówiłem przecież dosyć wyraźnie, wciąż powtarzałem. Bałem się pójść na policję. Myślałem, że ktoś przyjdzie i pomoże mi. Ale potrzebowaliście na to dziesięciu lat”. W pańskim wypadku, panie Lülsdorf, nie potrzebowaliśmy aż tyle czasu.

Katarzyna przerwała i patrzyła, jak Schulz wyjmuje ze złotej papierońnicy z wygrawerowaną małą koroną papierosa ze złotym ustnikiem. W papierońnicy były trzy papierosy. Ręce mu nie drżały, gdy zapalał papierosa. Ale był bledszy. Milczał.

- Sądzę - mówiła Katarzyna - że te kombinowane interesy z kasacją i przerywaniem ciąży przerosły pańskie umiejętności. Że przestraszył się pan własnych pomysłów. Że chciał się pan wycofać. Zwłaszcza po śmierci dziewczyny. Tym bardziej po śmierci doktora Jerem'yego i jego żony. Zakładam to. Nie jest pan twardym człowiekiem interesu, którym chciałby pan być. Jest pan wrażliwy. Pozwala pan toczyć się sprawom, które zostały nakręcone. Nawet rozkręca je pan skrzętnie dalej. Ale równocześnie chciałby pan nie mieć z tym nic wspólnego Twardy człowiek interesu i znawca wszelkich krętych dróg nie poszedłby na niepewne spotkanie z taką podejrzaną panią Boncoeur. Przynajmniej drugi raz. Chyba że w głębi duszy chce, żeby się sprawa ujawniła.

Schulz złamał papierosa w popielnicze.

- Dlaczego miałbym tego chcieć - mruknął. - Robię przecież coś dobrego, prawda? Pomagam, gdzie nikt nie pomaga.

- I to bezinteresownie - dodała Katarzyna.

- Niebezinteresownie. Ale efektywnie.

- Patrz Hildegarda - odparła Katarzyna. I bez przejęcia spytała: - Gdzie są oba granaty?

Schulz patrzył na swoje popielatoszare paznokcie, wzruszył ramionami.

- Gdzie są Höpnerowie?

- Czy to przesłuchanie?

- Nie. - Katarzyna wstała. - Byłam tylko ciekawa pana. Przesłuchiwać będzie sędzia śledczy.

Gerfried i Doris podeszli bliżej. Schulz patrzył na nich bez wyrazu, podniósł się również.

- Chciałbym porozmawiać z moim adwokatem.

- Proszę to powiedzieć sędziemu śledczemu.

Spod przylepionego kosmyka włosów pot spływał na czoło Schulza. Wciąż był bardzo blady i teraz drżała mu ręka, gdy trzymał się krzesła.

- Pan pozwoli? - spytał Gerfried i przeszukał Schulza dyskretnie i gruntownie, czy nie ma broni.

- Gorset - powiedział do Katarzyny.

Katarzyna skinęła głową.

- Ten człowiek ze słonecznikami - zaczął Schulz, gdy Gerfried odstał od niego.

- Proszę?

Ale Schulz nie mówił dalej. Patrzyła, jak Gerfried podniósł torbę i postawił obok szklanki piwa.

- Pan pozwoli? - spytał znowu Gerfried. I otworzył torbę. Oboje z Doris szybko sprawdzili zawartość. Składała się ona z bielizny, aparatu do golenia, szczotki do zębów, papieru listowego, koszul, pulowerów, spodni i trzech powieści kryminalnych.

- Właśnie pan przyjechał? - spytała Doris.

- Nie - odparł Schulz.
- Chciał pan odlecieć?
- Nie - rzekł Schulz.
- W takim razie przygotował się pan już na areszt śledczy, co?

Schulz milczał. Gerfried i Doris spojrzeli na Katarzynę.

- Chciałabym się jeszcze dowiedzieć - powiedziała Katarzyna - czy Roswita jest teraz matką czworga dzieci i żoną wiejskiego lekarza.

- Matką dwojga dzieci - odparł z wahaniem Schulz. - Tak. Jest nauczycielką w pobliżu Celle. - Wydawało się, że chce coś dodać, zrezygnował, chwycił torbę podróżną, potem jednak powiedział: - Poza tym jest bardzo podobna do pani. Jak siostra. - A po chwili przerwy: - Także jak siostra pani Boncoeur.

Idąc powoli do wyjścia z restauracji lotniska, starał się robić wrażenie ważnego, choć zmęczonego męża stanu w otoczeniu swoich przybocznych strażników. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Czterej siedzący mężczyźni nie dali przeszkodzić sobie w kolacji. Katarzyną została, żeby kelnerowi, który się zbliżył, zapłacić za piwo Henry'ego Lülsdorf a, za pokwitowaniem.

Godzinę później Gerfried obstawał przy tym, żeby Katarzyna odwiozła go tym razem tylko na dworzec Zoo, a nie do domu. Samochód miał odebrać jutro z warsztatu.

Chrząknął.

- Czy pani wie, że przymusowe opróżnienie domu przy Adam-Nitze-Strasse nastąpi jutro rano o siódmej? - spytał.

- Nie - odparła Katarzyna. - Nie wiedziałam.
- No to chyba zapomniano przekazać to pani.
- Zapewne. Ale panu przekazano?

Gerfried znowu chrząknął:



- Tak.
- Zatem musiał ktoś wykazać dosyć specyficzny brak pamięci - odparła spokojnie Katarzyna.
- Bardzo możliwe - rzekł Gerfried najswobodniej, jak tylko mógł, swoim twardym głosem.

## 20.

Około pół do piątej rano zadzwonił telefon. Wydawało się, że sprawa Hildegardy to pominąwszy wszelkie inne aspekty przede wszystkim poranne wyrwanie ze snu.

Ale to była Katinka.

- Mamo? Obudziłaś się? - odezwał się cienki głosik.
- Nie za bardzo - mruknęła Katarzyna niechętnie i usiadła na biurku. Była rozgoryczona z powodu głębokiego snu Roberta. Jeszcze nigdy telefon go nie obudził.
- Mamo - powiedziała Katinka. - Ale to ważne. Proszę, obudź się.
- Staram się. Co się dzieje? Czy jesteś na Krumme Strasse?
- Nie jestem w twoim mieszkaniu. Byłam wczoraj - miałam coś do załatwienia.

Coś do załatwienia. Katarzyna odczuła niejasny żal. Życzyła swojej córce, przynajmniej na początek, wielkiej miłości, według dobrej romantycznej recepty. Zamiast tego wyszła mieszanina sportowej imprezy i czułości. Może to nie najgorsze, myślała Katarzyna, gdy człowiek uczy się duchowych radości w ramionach przyjaciółki. Może to ja muszę zmienić pogląd.

- Potem poszłam na Adam-Nitze-Strasse - rzekła Katinka - żeby tam nocować. Jako delegatka mojej szkoły. Z solidarności, rozumiesz. Są tu jeszcze z innych szkół.

Dyskutowaliśmy całą noc. Do teraz. Słyszysz?

- Tak - powiedziała sennie Katarzyna.
- Nic nie mówisz.
- Co mam powiedzieć?
- Chodzi mianowicie o to, że pomyliłam się. Kiedy byłaś na Lanzarote, rozmawialiśmy przez telefon, pamiętasz! Powiedziałam ci, że oni nie mają nic wspólnego z granatami.

Katarzyna rozbudziła się zupełnie.

- No i?
- Oni jednak coś mają. Przynajmniej dwóch z nich. Helmut i Karol.

- To znaczy, że mają granaty?
- Tak. Sama widziałam. W skrzyni obok materaca Helmuta. Dwie sztuki.

- Co to za jeden ten Helmut?
- Poza tym w porządku. Tylko zbyt fanatyczny.
- Sądzisz, że rzuci te granaty?
- Nie wiem.
- A Karol?
- Tego znam mniej. Ale on jest może jeszcze bardziej fanatyczny niż Helmut. Zwycięstwo lub śmierć, powiada
- Czy Karol rzuciłby granaty?
- Nie wiem. Inni są przeciwni. Zwłaszcza Anna. Pauza. Potem: - Mamo, ja po kryjomu zviałam.

- Skąd telefonujesz?
- Budka na rogu Muskauer.
- Co zamierzasz zrobić?
- Dlatego dzwonię, mamo.
- Chcesz wrócić?
- Myślę, że tak. Nie wiem.
- Czy tamci wiedzą, jaki zawód ma twoja matka?
- Tak. Od razu powiedziałam.
- No i?

- Helmut widzi we mnie zagrożenie. Z twego powodu. Mam się wykazać.

Katarzyna zaśmiała się.

- We mnie też widzą zagrożenie. Z twego powodu.

Katinka nie śmiała się.

- No i? Wykazujesz się? - spytała poważnie.

- Nie mam pojęcia. Nie chcę tylko wykazywać się.

Kto chce się wykazać, z góry przegrywa.

- Dlaczego?

- Bo nie ma jasnej głowy.

Pauza.

- Katinka?

- Tak. Zapomnij teraz, że jesteś w policji. Co byś zrobiła, gdyby twoi przyjaciele wariowali? Opuściłabyś ich? Czy nie zostałabyś przy nich właśnie dlatego, że szaleją? Czy nie powinnam wrócić do tamtych? Ale jeżeli do nich wrócę, będę ze względów politycznych idiotką. Jeżeli nie wrócę, będę po ludzku biorąc świnią.

- Albo - albo. To jest sposób myślenia Karola. Zwycięstwo lub śmierć. Idiotka albo świnią. Dziewczyno, masz przecież rozum. Użyj go łaskawie.

- Ale Anna...

- Musi zdecydować się, tak jak ty.

Pauza. Potem spokojny głos Katinki:

- Wiesz, mamo, jedno jest pewne: cokolwiek zrobię, coś zostanie zniszczone.

- Tak - potwierdziła Katarzyna.

- Albo już zostało zniszczone. Obiektywnie biorąc, jestem teraz czymś takim jak szpicel. Bo powiedziałam ci o tych granatach. Ale dobrze, postąpię właściwie. Nie bój się.

- Katinka...

Niestety, Katinka odwiesiła już słuchawkę. Katarzyna pocila się na całym ciele i marżała zarazem. Miała takie uczucie, jakby rozstrzygnęła o życiu i śmierci córki. Uważała

to uczucie za głupie, niegodne. Ale nie mogła się go pozbyć.

Zapaliła światło w pokoju Katinki. Nie był to już jej pokój. Wszystko, co należało do życia Katinki, znikło: adapter, suknie, dzinsy, książki. Zgasiła światło i poszła do łazienki. Tam ubrała się, napisała kartkę do Roberta i położyła ją obok niego na poduszce, wyjęła z lodówki pół kury, butelkę mleka, butelkę soku owocowego i cicho wyszła z mieszkania.

Na dworze było ciemno i zimno. Metalowe powierzchnie zaparkowanych samochodów błyszcząły w świetle lamp ulicznych. Stara kobieta chodziła powoli, cicho rozmawiając z psem, między pisuarem a kościołem. Pan i pani Mòrschel. Na jezdni Krumme Strasse zataczał się spóźniony pijak, wracający do domu, i ryczał. W Charlottenburgu często słychać takie ryki, przy pełni księżyca, przy nowiu, a zwłaszcza w dni wypłat. W przedpokoju swojej kawalerki znalazła złożone w stos rzeczy Katinki. Posłała świeżą pościel na tapczanie, wstawiła kurę i napoje do lodówki. Potem zatelefonowała do Gerfrieda.

Gerfried ku jej zdziwieniu był zupełnie rozbudzony i przytomny.

- Co słyszać, pani Ledermacher?
- Bardzo mi przykro, Gerfried. Ale granaty ręczne są na Adam-Nitze-Strasse. Proszę, niech pan powiadomi Möllinga. Nie mogę tego zrobić w tej chwili.
- Czy pani chora?
- Nie wiem. To się okaże.
- Pojadę tam.
- Nie potrzeba.
- A jednak, zrobię to. Życzę poprawy.

Potem Katarzyna usiadła przed swoim pustym, zakurczonym biurkiem i czekała. Patrzyła na równie zakurzoną półkę na książki obok biurka, gdzie siedział Horst, zniszczony miś Katinki, używany tylko do odkurzania płyt.

Pysk Horsta był starczo otwarty i swoim jedynym okiem miś patrzył gdzieś poza Katarzynę. Myślała o Karolu, szpiclu Urzędu Ochrony Konstytucji, który bąał o zwycięstwie i śmierci. Pomyślała o reszcie wódki w lodówce. Ale nie ruszyła się z miejsca. Po rozmowie telefonicznej była zdolna tylko do tego, żeby czekać. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi siedzę tu i czekam na moją córkę, pomyślała. Matka Solveig. Zawsze sobie tego życzyłam.

Katinka nie przyszła. Krótko po wpół do siódmej Katarzyna zamówiła taksówkę i kazała się zawieźć na Adam-Nitze-Strasse.

Przygotowania policji były zakończone. W pewnej odległości od domu przy Adam-Nitze-Strasse stała armatka wodna, dwa samochody z policjantami, dwa wozy pancerne, cztery pojazdy straży pożarnej i karetka pogotowia ratunkowego. Policjanci przykucnęli za tarczami ochronnymi, za drzewami i w bramach opuszczonych lub na wpół zniszczonych domów po przeciwnej stronie ulicy. Szary mrok, w którym ciemne sylwetki pojazdów i ludzi czekały bezszelestnie. Żadnego dźwięku, żadnego blasku światła za zabarykadowanymi oknami pierwszego piętra obleganego domu.

Mölling wykombinował, że okupujący dom śpią jeszcze o tej porze najgłębszym snem, bo nie mają dzieci, a kładą się zwykle spać dopiero we wczesnych godzinach rannych. Poza tym mniej się trzeba było obawiać przeszkód ze strony sympatyków, gdyż ci albo jeszcze spali, albo musieli iść do pracy, a zatem spieszyli się. Pomimo to Katarzyna zobaczyła na rogu, w końcu ulicy, gdzie zatrzymała się taksówka, około dwudziestu przeważnie młodych ludzi, wśród nich kilku Turków, poza tym kilku włoścuchów, przy czym wszyscy w milczeniu patrzyli na dom odległy o pięćdziesiąt metrów i na kilku funkcjonariuszy, którzy stali przed nimi nie pozwalając się zbliżyć. Jeden

z nich podszedł do Katarzyny, żeby ją odsunąć. Kiedy był już dostatecznie blisko, poznała go.

- Pan także tutaj, panie Witt! - spytała, wiedząc, jak nieporadna jest ta uwaga. Powinna się raczej spytać, czy został poinformowany o granatach. Na bladej twarzy Witta, pozbawionej przez mrok konturów, nie widać było żadnego poruszenia. Pomachał krótko tarczą tam i z powrotem.

- Tak - powiedział - mam zdaje się abonament na ten dom. - Prawdopodobnie był zaskoczony zobaczywszy tutaj Katarzynę. Ona nie bardzo mogła mu wytłumaczyć, że nie przyszła tutaj służbowo, tylko z powodu córki.

W tej chwili usłyszała z jednego z opancerzonych wozów grzmiące trzaski głośnika. Ktoś próbował mówić, ale głośnik zawiódł. Równocześnie przeszukujący reflektor pochwycił w snop światła dwóch mężczyzn w dzinsowych ubraniach, którzy zbliżali się do pojazdów od drugiego końca ulicy, i gruby, twardy strumień wody z armatki wystrzelił na nich. Krzyczeli, próbowali uciec, potykali się, zostali wepchnięci w bramę obleganego domu i tam przewróceni. Obaj mężczyźni zerwali się, podnieśli ręce w górę i szli ociekając wodą i klnąc do samochodów policyjnych, od których odpędził ich strumień wody.

- To są ci z ochrony konstytucji - rzekł Witt i uśmiechnął się.

W głośniku rozległ się cichy trzask. Od pierwszego z wozów pancernych zbliżał się mężczyzna w trenczu. Trzymał megafon wzmocniony baterią i nastawił go w kierunku fasady domu numer 15.

- Uwaga! - Bez wątpienia głos Gerfrieda. Może kazał mu mówić, bo był w cywilu. Miało to zapewne dobrze oddziaływać na okupujących dom. Podszedł zupełnie blisko. Nie zwróciło to niczyjej uwagi.

- Wracaj, Gerfried - krzyknęła Katarzyna.

Gerfried nie słyszał. Tylko Witt spojrział na nią.

- Uwaga, tu mówi policja - grzmiał z trzaskiem i gwizdami wzmocniony głos Gerfrieda. - Zwracamy się do okupujących dom Adam-Nitze-Strasse 15. Prosimy o dobrowolne opuszczenie domu. Wierzcie nam, że również policji nie sprawia przyjemności ochranianie tych, którzy z zamieszkałych mieszkań wyrwali futryny okien i drzwi, i występować przeciw tym, którzy je znowu wstawili. Ale zarówno my jak i wy musimy trzymać się prawa. Walczcie o zmianę praw. Ale nie walczcie przeciwko nam.

Cisza. Oczekiwanie. Witt podszedł do Gerfrieda i wciągnął go za swoją tarczę, a potem cofnął kilka metrów. Nagle pięć ślizgających się smug światła reflektorów skierowano na fasadę. Natychmiast nabrała wyglądu oświetlonych kulis teatru na wolnym powietrzu. Do tego nie wzmocniona komenda Möllinga za samochodami policyjnymi: - Opróżnić! - Policjanci, mijając Gerfrieda, rzucili się na bramę domu, rozbili siekierami barykadę przed wejściem, porąbali resztki drzwi, wdarli się do sieni. Chwilę później padł z domu strzał, następnie rozległa się detonacja. Jedno z zabarykadowanych okien na pierwszym piętrze wyleciało, kamienie, drzewo, odłamki szkła z łoskotem runęły na ulicę, chmura pyłu wydobyła się z jamy okna.

- Idioci! - krzyknął Gerfried. - Rzucili granat w pokoju!

- No i co? - odkrzyknął mu ktoś. - Wolałbyś, żeby eksplodował pod twoją dupą?

Katarzyna patrzyła na rozerwaną dziurę okna, z której wydobywał się teraz gęsty dym. Ledwie zauważyła, jak Gerfried pobiegł do domu, wdrapał się po belkach i resztkach drzwi i zniknął w wejściu. Patrzyła w blask ognia za dymem. Powoli tynk opadał na biegających bezładnie i krzyczących ludzi, na reflektory, tarcze, nosze. Z wyciem

syren nadjechały wozy policyjne i strażackie, strażacy i sanitariusze z pogotowia przebiegli koło Katarzyny. Ona stała nieruchomo przed płonącym domem i czekała. Patrzyła na zranionych, jęczących, okrytych tynkiem chłopców i dziewczęta, których policjanci wyprowadzali lub wywlekali z domu.

Jakiś strażak niósł przewieszoną przez ramię nieprzytomną, młodą, ciemnowłosą kobietę. Stara, siwowłosa kobieta leżała na noszach skomląc i przyciskając ręce do oczu. Młody, jasnowłosy mężczyzna o poparzonej twarzy i rękach krzychał ciągle, gdy go niesiono koło Katarzyny: - Puśćcie mnie, świnie, puśćcie mnie, świnie! - Nagle powtórzony echem głos Möllinga poprzez ulicę: - Natychmiast opróżnić dom, dojazd dla straży pożarnej.

A potem, wśród kłębow dymu, w wejściu, Gerfried w czarnym od sadzy trenczu, podpierający policjanta, którego spodnie zwisały w strzępach. Z prawego uda rytmicznie tryskała krew. Katarzyna podbiegła do nich. Dobiegła jeszcze przed strażakiem, chwyciła Witta, ostrożnie położyła go na bruku. Witt był jeszcze przytomny. - Nic strasznego - szeptał ciągle, podczas gdy Katarzyna klęczała przy nim i starała się uciskać tętnicę.

- Halo, pani Ledermacher - powiedział Gerfried, jak gdyby wrócił właśnie z podróży. Oczy mu łzawiły i chwiały się na nogach. Ale bronił się przed strażakiem, który chciał go odprowadzić. Katarzyna przykucnęła przy nieprzytomnym już sierżancie i czekała, aż wzięto go na nosze. Potem wstała, otarła sobie z twarzy krew Witta i spojrzała na Gerfrieda.

- Jestem przytomny - szepnął Gerfried koło niej. Kaszłał, trzymał chusteczkę przy czole. To tylko drobne zadrapanie. Jeżeli pani na kogoś czekała, pani Ledermacher, to ci, co byli w tym pudle, są teraz wszyscy na dworze. I nie ma wśród nich nikogo, kogo by pani знаła.

Strażak odepchnął ich oboje. Dom płonął. Z trzaskiem



pękały dachówki. Byli w odległości niecałych dwudziestu metrów, gdy dom, zdawało się, eksplodował.

- Drugi granat - rzekł Gerfried. I z hukiem, sypiąc iskrami, w trzeszczącym ogniu zapadł się budynek Rose-niusa za secesyjną fasadą.

## 21.

Na Gothaerstrasse Katarzyna weszła pod prysznic, przebrała się. Na wszelki wypadek miała zawsze bieliznę i ubranie w szafie biurowej. Dotychczas nigdy nie używała tych rzeczy. Poinformowała krótko kierownika wydziału, który już wiedział, ale nie uczestniczyła w natychmiast zwołanej konferencji wszystkich urzędników na kierowniczych stanowiskach.

Na biurku zastała trzy wiadomości. Kartkę od Zobla: „Jestem na szkoleniu. Wracam w przyszłym tygodniu. Pozdrowienia także dla D, i G. - Zobel”. Potem odtworzenie przyjętej przez centralę telefoniczną wiadomości od matki Doris: „Panna Wingert leży znowu z wysoką gorączką w łóżku”. - Wreszcie dalekopis z Husum. Aresztowano Kuna i Kurta Höpnerów.

Miała już słuchawkę w rękę, żeby zadzwonić do Husum, gdy usłyszała kaszel w przedpokoju.

- Gerfried - powiedziała, gdy drzwi się otworzyły. - Miał pan zostać na razie w szpitalu.

- Byłem tam przecież - rzekł Gerfried, podszedł bliżej, miał plaster na czole, kaszłał. - Jestem zaziębiony - powiedział i spojrzął na biurko. - Ale teraz mógłbym pojechać na odpoczynek. Co pani o tym sądzi?

Katarzyna spojrzała na niego.

- Nad Morze Północne - rzekł zachrypnięty Gerfried.  
-Bad Husum. Złapię jeszcze ranny samolot do Hamburga.

Resztę dnia zajęło Katarzynie przygotowywanie aresztowania Schmöllera. Telefonowała do senackiego urzędu do spraw budownictwa, do Bremy i co najmniej dziesięć razy do kolegów frankfurckich. I przeforsowała u kierownika wydziału, że poleci do Frankfurtu. Późnym popołudniem telefon z Husum. Głos Gerfrieda charczał gorzej niż kiedykolwiek, wydawał się czarny od dymu i sadzy. Ale brzmiał wesoło.

- Bliźniaki podpisały, pani Ledermacher.  
- Co podpisały?  
- Piękne, soczyste przyznanie się. Jeremy. Sandwerder. Pistolet Mohrmanna. Wszystko. I że mieli od Sieberta polecenie wysadzenia Hildegardy w willi Am Sandwerder granatem ręcznym w powietrze. Tylko że przyszli za późno. Dlatego nie udało się. Dobre, co?  
- Bardzo dobre, Gerfried. Jak pan to zdobył?  
- O - rzekł Gerfried skromnie - na północnofryzyjski sposób. Podziałał na chłopaków.

Około wieczora otworzyła cicho drzwi kawalerki na Krumme Strasse. Nie pomyliła się. Katinka leżała na tapczanie i spała mocno. Mleko było wypite, kura zjedzona. Katarzynie zdawało się, że czuje lekki zapach Irish moos.

W nocy spała uczepiona Roberta. Nazajutrz rano zawiózł ją na lotnisko.

- Jesteś taka napięta - powiedział. - Martwi mnie to. Twoje ramiona były jak imadła.

Położyła sobie jego ręce na twarzy.

- To, co jest napięte, odpręż się - odparła. - Dziś wieczór wrócę bez imadeł.

Napężenie zluźniło się już trochę, gdy z biletem w ręku, w bufecie szybkiej obsługi przy hali odpraw, piła letnią kawę i równocześnie starała się tak trzymać „Tagesspiegel”, żeby móc go czytać. Tutaj też było tak ciemno, jak na górze w dużej restauracji. Przebiegła wzrokiem sprawozdanie z walki policji z okupującymi dom. Ale wyjaśnienie, jakie złożył rzecznik senatu wczoraj, na konferencji prasowej w związku z wypadkami na Adam-Nitze-Strasse, przeczytała dokładnie:

„W toku akcji policyjnej przeciwko ludziom okupującym dom przy Adam-Nitze-Strasse 15 funkcjonariusze musieli niestety użyć broni palnej. W nie wyjaśnionych dotychczas okolicznościach okupujący dom doprowadzili do wybuchu jednego granatu ręcznego. Drugi eksplodował wskutek działania gorąca podczas pożaru. Oba granaty są pochodzenia brytyjskiego. Nie wyjaśnione jest również, w jaki sposób dostały się do rąk okupujących. Podczas walki odniosło rany, częściowo ciężkie, dwóch funkcjonariuszy policji i dziesięć osób cywilnych. Lokatorka Teresa Baier wskutek uderzenia odłamkiem parkietu straciła oko. Znajduje się ona w szpitalu, a po zakończeniu leczenia zostanie przesiedlona do miejskiego domu opieki”.

Dodano krótki komentarz redakcyjny: „Zatem historyczna budowla Roseniusa po tak ciężkim uszkodzeniu nie będzie się nadawała do odbudowy. Odpadnie ochrona zabytków, dom stanie się ofiarą kilofa i spychacza. Z pewnością wkrótce na jego miejscu, położonym korzystnie przy przyszłej kreuzberskiej drodze szybkiego ruchu, ujrzymy kombinowany dom z biurami i apartamentami”.

Katarzyna odłożyła gazetę. Myślała o swoim locie na Lanzarote, o rybakach. Potem pomyślała, że wciąż jeszcze nic nie wie o Hildegardzie, której jakoś nikt nie poszukuje. Zastanawiała się, dlaczego ktoś, kto chce zmasakrować

zwłoki granatem, fałszuje dla denatki notes z adresami, który przecież ulegnie zniszczeniu razem z nią. Myślała o Elisabeth Bordihn, Marii Remper i Annie Hudetz. Dlaczego doktor Jeremy szczegółowo kopiował swoją kartotekę, a potem składał ją u Bordihnów? I jak Henry Lülldorf wpadł na Kurta i Kuna Höpnerów? Pomyślała też, że nie zrobiła notatki do akt w związku z ćwiczeniami strzeleckimi pogotowia policyjnego. I że w tej chwili jej koledzy i koleżanki uważają prawdopodobnie za słuszne, żeby mściciele zostali możliwie szybko zastrzeleni. W każdym razie zanim rzucą granaty. Myślała o krwawiącym starszym sierżancie Witcie. I czy agent Urzędu Ochrony Konstytucji jest między rannymi. I kto doprowadził do wybuchu granatu. W tej chwili przez głośnik nadano wezwanie: - Pani Katarzyna Ledermacher proszona jest do okienka informacyjnego. Pani Katarzyna Ledermacher. - Kiedy wstała i szła powoli przez halę do okienka informacyjnego, wpadło jej jeszcze na myśl, że zapomniała zaprosić bliźniaczki Gerfrieda do obejrzenia miejsca pracy ojca.

- Tak, pani Ledermacher - rzekł kierownik wydziału, masując sobie jak zawsze łysą czaszkę, i z troską patrzył na przegrzaną fajkę, w której cicho kipiało. W przeciwieństwie do Doris przezwyciężył chyba swoją grypę. - Bardzo mi przykro, ale nie będzie z pani lotu do Frankfurtu. Co pani miała naprawdę w ręku przeciwko Schmölleroowi?

- Przypuszczenia - odparła Katarzyna. - Pomówienia, jakby to pewnie nazwał Schmölller.

- Widzi pani - rzekł kierownik wydziału.

- Z wielkim stopniem prawdopodobieństwa.

Kierownik westchnął.

- Na przykład - powiedziała Katarzyna - nie wierzę, żeby Henry Lülldorf wpłacił 49 procent, które rzekomo wniósł do bremeńskiego Towarzystwa Skupu i Handlu.

Również koledzy z Bremy są przekonani, że zapłacił je za niego Schmölller.

- Żadnego dowodu?

- Jeszcze nie.

- Tak - rzekł kierownik. - Jeszcze nie.

- Lülsdorf jest jakby kierownikiem przedsiębiorstwa Schmöllera. Człowiekiem ze złotą koroną na papierośnicy i na wizytówce, który musi skakać dla Schmöllera. Załatwiać za niego przykre interesy. Na przykład zorganizować okupowanie willi Am Sandwerder. I firmę dokonującą zabiegów przerywania ciąży, co miało mu przynieść nowe pieniądze.

- Dowody?

- Mogłabym mieć natychmiast, gdybyśmy skonfrontowali ich obu ze sobą.

- Tak - rzekł kierownik. - Gdyby.

- Schmölller zbuduje na Adam-Nitze-Strasse wysoki wieżowiec.

- Bardzo prawdopodobne.

- Plany przygotował już trzy lata temu. Ale dopiero niedawno sprzedał partię brytyjskich granatów wojskowych starszego typu do Afryki. Tego typu jak ten, który znaleźliśmy w willi Am Sandwerder i który z pewnością był złożony na Adam-Nitze-Strasse. Przez swoją skargę Schmölller spowodował, że policja szturmem wzięła dom. Zniszczył go swoimi granatami.

- Najprawdopodobniej tak.

- Mój dziadek szmugłował broń - rzekła Katarzyna po chwili. - I jego ulubioną dewizą było: Dostarczaj obu stronom, wtedy nigdy nie stracisz.

- Pięknie - rzekł kierownik wydziału i skubał brodę. - Ta dewiza podobałaby się Schmöllerowi.

- Ale potem mój dziadek jednak przegrał. Został w Afryce zabity przez jednego z tych, którym dostarczał broń, i to z broni dostarczonej przez siebie.

- Tak, to były jeszcze czasy - rzekł kierownik.

Katarzyna spojrzała na niego:

- Dlaczego odwołał mnie pan z lotniska, szefie?

Kierownik wydziału odłożył fajkę. Nie gładził czaszki, nie skubał brody. Siedział spokojnie za biurkiem i ponad aktami patrzył przez okno.

- Bo - powiedział - nie jesteśmy już kompetentni.

- A kto jest teraz kompetentny?

- Ochrona konstytucji i „pralnia”.

- Dlaczego ochrona konstytucji? Z powodu granatów?

Kierownik potwierdził.

- Ach. A „pralnia”? Z powodu Towarzystwa Handlowego w Bremie?

Kierownik znowu potwierdził.

- Ach. A kto weźmie sobie teraz Schmöllera?

- Ba, kto. - Kierownik wydziału wciąż jeszcze patrzył przez okno. - Kiedy ten pan jest na kuracji. W Liechtensteinie.